

ZA KULISAMI WATYKANU

**Czy papież Franciszek
czekał na śmierć Benedykta XVI?**



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 4/562 22-28 STYCZNIA 2024
CENA 11,90 Zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

**Zwolennicy Tuska
zawiedzeni Tuskiem**

**WOJCIECH CEJROWSKI
UJAWNIA,
ZA CO AMERYKANIE
TAK BARDZO LUBIĄ
DONALDA TRUMPA**



**Jak obowiązkowy ZUS
niszczy polskie firmy**



W imieniu beprawia

**Minister sprawiedliwości
Adam Bodnar
„szuka jakiejś
podstawy prawnej”**

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



Nakład: 51 000 egzemplarzy

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



ZBRODNIĄ GALICYJSKA – ZAPOMNIANE LUDOBÓJSTWO UPA NA POLAKACH

Masowe mordy w cieniu Wołynia – Ukraińscy nacjonałiści mieli zabijać „tylko” mężczyzn. W rzeczywistości mordowali także kobiety i dzieci. Ofiarą zbrodni padło ponad 30 tys. Polaków

Piastówna na tronach wikingów – Córka Mieszka I była królową Szwecji, Danii, Norwegii i Anglii. Stała się bohaterką wielu sag, których treść przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie

Podziemne państwo „pacanów” – Pod butem sowieckiej dyktatury powstało państwo w państwie, osobny przestępczy świat, brutalny i bezwzględny, z własnym prawem i własną „moralnością”

Pomyłona ekspedycja Stanleya – Głośna wyprawa ratunkowa do Afryki, której przewodził najstęnniejszy odkrywca XIX w., szybko zamieniła się w jedną wielką farsę

Męczennica rewolucji – Dzięki swojej siostrze Ludwik XVI mógł umrzeć jak święty. Jej heroizm – okazywany do samego końca – sprawił, że Kościół uznał ją za służebnicę Bożą

Tambowscy chłopci przeciw Leninowi – Jednym z najokrutniejszych rozdziałów „czerwonego terroru” było zdławienie w 1921 r. chłopskiego powstania w guberni tambowskiej

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Kto ma bronić demokracji

Na jednej z niedawnych demonstracji PiS w Warszawie były premier Mateusz Morawiecki zwrócił się o pomoc do Zachodu, wskazując na łamanie przez rząd PO zasad demokracji. Pojawił się też pomysł, by Andrzej Duda opisał łamanie jej reguł w Polsce w listach skierowanych do różnych polityków zachodnich, w tym do prezydenta USA, Joe Bidena. Bardzo mnie to dziwi.

Pomijam już dość istotną kwestię, czy w ogóle tego rodzaju forma działania – ogłaszanie światu o niesprawiedliwościach, które mają miejsce w Polsce – jest właściwa. Czy nie jest ona dowodem bezradności i słabości? Czy takie zwracanie się do światowej opinii publicznej nie jest zaprzeczeniem wcześniejszej postawy polityków PiS, którzy za wywlekaniem na zewnątrz polskich sporów krytykowali poprzednią opozycję? Jednak wybór na adresata zażaleń prezydenta Bidena jest osobliwy z jeszcze innych powodów.

Wszystko wskazuje na to, że Waszyngton, wbrew temu, co z uporem godnym lepszej sprawy nie chcą i nie chcieli przyjąć do wiadomości politycy PiS, postawił właśnie na Platformę Obywatelską. Nie jest przypadkiem, że to prezydenta Warszawy, Rafała Trzaskowskiego, na przywódcę obozu liberalnego i tym samym na polityka przyszłości namaścił kilka miesięcy temu Mark Brzezinski, ambasador USA w Warszawie. Ten sam ambasador zresztą kilka dni temu wyraził publiczne poparcie dla zmian, które wprowadza w polskim wymiarze sprawiedliwości Adam Bodnar. „Podczas spotkania z Ministrem Sprawiedliwości Adamem Bodnarem miałem okazję pogratulować mu niedawnej nominacji. Stany Zjednoczone i Polskę łączy zaangażowanie na rzecz praworządności i niezawisłości sądów, co wymaga stałej determinacji i odnowy” – napisał ambasador Brzezinski. Zrobił to już po tym, jak Bodnar zaproponował ograniczanie praw sędziów powołanych przez zreformowany KRS, a których określa mianem „neosędziów”. Zrobił to po tym, jak Bodnar poparł przejęcie mediów publicznych przez ministra Bartłomieja Sienkiewicza.

Krótko: amerykańscy demokraci są ideologicznie znacznie bliżsi obecnie rządzącej koalicji centroliberalnej niż PiS-owi. Rządy prawicy postrzegali jako mniejsze zło albo jako dopust Boży. Politycy PO w ich oczach to orędownicy wspólnej sprawy globalizmu. Globalizm to zbiorowa nazwa innych, konkretnych zachodnich ideologii imigracjonizmu, klimatyzmu, aborcjonizmu i genderyzmu. To ministrowie PO mają być narzędziem wielkiej rewolucji, o której marzą rządzący Białym Domem demokraci. Do polskiej prawicy cały czas nie dotarło to, na czym polegają dziś „demokratyczne wartości”, które propaguje Waszyngton: na prawach ruchu LGBT i powszechnym dostępie do aborcji. Podobnie polska prawica, mam tu na myśli PiS, nie jest w stanie dostrzec głównej osi podziału światowego: po jednej stronie są siły wspierające globalizm, po drugiej obrońcy suwerenności. Inaczej rzecz wygląda w oczach polityków Zachodu (również USA): ten, kto nie chce rewolucji obyczajowej, z definicji nie może być demokratą i nie może liczyć na ich polityczne poparcie.

Nadzieja, że prezydent Biden będzie bronił demokracji w Polsce, jest tym bardziej dziwaczna, że obecny gospodarz Białego Domu ma z tym duże problemy u siebie. Biden jednoznacznie pokazał sam, jak należy traktować przeciwników politycznych. To on publicznie

głosi tezę, zgodnie z którą „wybór Donalda Trumpa na prezydenta USA będzie końcem amerykańskiej demokracji”. To Biden oskarżany jest przez opozycję o używanie przeciw Trumpowi i jego sympatykom FBI i innych służb. To wspierający Bidena demokraci uważają Trumpa za dyktatora i twierdzą, że należy powstrzymać jego wybór wszelkimi możliwymi środkami. W Ameryce Trump odgrywa rolę do złudzenia podobną do tej, którą w Polsce przypisano Jarosławowi Kaczyńskiemu.

Jak zatem można w takiej sytuacji liczyć na to, że prezydent Biden będzie bronił polskiej prawicy przed liberalnymi „demokratami”? Po co Amerykanie mieliby to robić? Ich interesy geopolityczne mogą równie dobrze obsługiwać politycy PO. Doskonale pokazuje to kwestia wojny na Ukrainie: kolejne wypowiedzi ministrów obecnej koalicji na temat wsparcia finansowego i militarnego dla Kijowa, zagrożenia ekspansją imperium rosyjskiego i konieczności zdania się na USA niczym nie różnią się od tego, co głosił PiS. Dla Zachodu, który wzywa na pomoc PiS, głównym zagrożeniem jest to, co w dyskursie liberalnym nazywa się pravicowym populizmem, a więc obrona suwerenności narodowej, opór przed otwarciem granic przed masową imigracją, troska o zachowanie tradycyjnej tożsamości kulturowej i religijnej.

Wielu zwolenników polskiej prawicy nadal wierzy w „nasze wspólne wartości zachodnie”: wolność słowa, rządy prawa i szacunek dla godności osoby. Wiara ta jest jednak przejawem naiwności. Na Zachodzie protesty polityków PiS będą znakiem, że koalicja polskich „demokratów” dobrze wywiązuje się ze swojego zadania, skoro dobrała się do skóry „pravicowym populistom”. ©

TEMAT TYGODNIA

14 ŁUKASZ WARZECHA

UPADEK ADAMA BODNARA

W imieniu bezprawia

18 ROZMOWA Z ROBERTEM HERNANDEM

NIEBEZPIECZNY CHAOS PRAWNY



NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 ROZMOWA Z PROF. GRZEGORZEM
KUCHARCZYKIEM

IV RZESZA CZY MITTELEUROPA?

Niemiecki plan dla Polski wciąż aktualny

48 JAN FIEDORCZUK

PIS STAŁ SIĘ OPOZYCJĄ TOTALNĄ

51 JERZY KARWELIS

MONOPOL NA PROPAGANDĘ

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI

PONTYFIKAT KRYZYSU

HISTORIA

56 ROZMOWA Z DAVIDEM TAYLOREM

DŁUGI CIEŃ ORWELLA

Nowa biografia autora „Roku 1984”

58 DAVID TAYLOR

ORWELLA ZŁOTO GŁUPCÓW

ŚWIAT

62 JACEK PRZYBYLSKI

TRIUMF TRUMPA

Republikanie idą po Białą Dom

64 PIOTR WŁOCZYK

SMOKOWI NIE W SMAK

66 MACIEJ PIECZYŃSKI

SPECJALNA OPERACJA ANTYPOLSKA

68 TERESA STYLIŃSKA

KAROCA KONTRA LIMUZYN

EKONOMIA

72 ROZMOWA Z ADAMEM ABRAMOWICZEM
(NIE)DOBROWOLNY ZUS

Trzeba dać ludziom wolność decydowania
o sobie

KRAJ

20 PIOTR SEMKA

MIEDZY ARESZTEM W RADOMIU A SZYDERĄ CELEBRYTEK

Więźniowie polityczni?

23 ZUZANNA DĄBROWSKA

ZAWIEDZENI TUSKIEM

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

ŚWIĘTY ADAMOWICZ, PATRON CENZURY

28 JAN BOGATKO

„NOWEJ EUROPY NIC NIE ZWYCIĘŻY”

30 ROZMOWA ZE SŁAWOMIREM SKIBĄ

BĘKARTY EKOREWOLUCJI

32 ŁUKASZ ZBORALSKI

UCIECZKA PRZED TESTOWANIEM

KULTURA

34 ŁUKASZ CZARNECKI

POCZTÓWKI Z ZAGINIONEGO ŚWIATA

Wystawa prac japońskiego mistrza krajobrazu

36 PIOTR GOCIEK

OBROŃA MA GŁOS

FELIETONY: SEMKA (5), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (60), PRZYBYLSKI (71), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (77), POŚPIESZAŁSKI, KARWELIS (79), JĄSTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

NA PIERWSZY OGIEŃ

Jaka piękna „żelazna miotła”



PIOTR SEMKA

Financial Times” opublikował niedawno tekst pana Macieja Kisilowskiego. Pan Kisilowski mieszka co prawda w Wiedniu, gdzie jest profesorem prawa i strategii na Uniwersytecie Środkowoeuropejskim, ale w opinii „FT” jest on najlepiej predestynowany do oceny zdarzeń nad Wisłą. Wydawałoby się, że wobec kryzysu politycznego w najważniejszych polskich organach prawnych dziennik mógłby zdecydować się na jakiś dwugłos. Ale w redakcji uznano, że Maciej Kisilowski wie najlepiej.

Autor nie używa w tekście języka wyważonego naukowca. Z wyraźnym uznaniem dla nowego rządu pisze: „Nowy rząd Donalda Tuska szybko i zdecydowanie umacnia swoją władzę”, „Tusk udowadnia, że demokracja potrafi się odgryźć”.

Parę dni po Kisilowskim międzynarodowy dziennik powtórzył entuzjastyczne oceny działań ekipy Tuska już w redakcyjnym edytoriale, w którym powtarza większość tez Kisilowskiego.

„Od objęcia władzy w zeszłym miesiącu po zwycięstwo w październikowych wyborach w Polsce

premier Donald Tusk opowiada się za radykalnym rozliczeniem z byłym populistycznym reżimem. Wczesne oznaki wskazują, że jego odważne podejście jest bardzo obiecujące” – pisze „Financial Times”.

Pozytywnie ocenia siłę aparatu państwowego pod rządami Tuska i wskazuje na słabość prezydenta, np. w przypadku zatrzymania Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika w Pałacu Prezydenckim. Zarzuty o bezprawność działań polskiego premiera dziennik wyraźnie bagatelizuje. „To prawda, że nowy rząd spotkał się z krytyką ze strony zdecydowanej mniejszości ekspertów kwestionującej legalność proceduralną niektórych ostatnich posunięć, ale wyniki (rządu) są godne uwagi”.

I wreszcie kluczowa teza edytorialu „FT”: „Donald Tusk daje pokaz siły demokratom na całym świecie [...]. Te zdecydowane działania podejmowane są w czasie, gdy demokraci na całym świecie szukają strategii radzenia sobie z populistami. Na przykład w USA toczy się intensywna debata na temat tego, czy przedłużające

się sprawy sądowe przeciwko Donaldowi Trumpowi wzmacniają jego kampanię na rzecz powrotu do Białego Domu. Być może postawa Tuska daje nadzieję” – czytamy.

Tekst w dzienniku uważnie czytany przez polityków i analityków na całym świecie ma jasne przesłanie. Stare pewniki demokracji liberalnej i zasady państwa prawa, których łamanie w Londynie, Genewie czy Helsinkach wywołałoby oburzenie, w warunkach Warszawy uznawane są za niepotrzebny balast. Wszystko w imię walki z arbitralnie definiowanym „populizmem”. To ważne ostrzeżenie dla włoskiej Ligi czy Braci Włochów, hiszpańskiego VOX czy amerykańskich republikanów. Gdy wyborcy źle skorzystają z prawa elekcji i wybiorą „nie tego, co trzeba”, obóz liberalny ma wolną rękę do zdecydowanego przeciwdziałania.

Feministki lubią używać sloganu „grzeczne już byliśmy”. Dzisiaj liberalowie zdają się mówić: „Praworządni już byliśmy – teraz musimy być skuteczni”. A Warszawa wydaje się być poligonem szerszej polityki „żelaznej miotły”. ©



FOT. COVER IMAGES/EAST NEWS

ISLANDIA: BUDZĄ SIĘ WULKANY

Lawa wyrzucana przez wulkan na Islandii zagroziła rybackiemu miasteczku Grindavík. Żywioł zdołał przerwać bariery z ziemi i skał, przez co strumienie wrzącej lawy wdarły się do miasta, powodując zniszczenia i pożary domów. Wszyscy mieszkańcy zostali wcześniej ewakuowani. To już piąta erupcja na półwyspie Reykjanes w ciągu dwóch lat. Zdaniem ekspertów aktywność sejsmiczna w regionie, w którym wcześniej przez ok. 780 lat wulkany pozostawały uśpione, może potrwać wiele lat. (jap) ©

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociak, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiński

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnicki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Toraniński, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieronieczny,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL: redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska**,
Anna Szczepańska, **Marcin Bugaj**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**,
Grzegorz Grzymowicz, **Dawid Sienkowski**, **Łukasz Żygadlo**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),

Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbkę zdjęć)
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Trzaski**
Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrzycka-Wemerowska**,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYŚOWNICY: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krysztopa**
Okładka: **Paweł Supernak/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka **Orle Pióro**, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej **PMPG Polskie Media SA**, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, **Jolanta Kloc**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl, tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, **Joanna Nowakowska**

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratapraczy@poczta.pl

www.poczta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829 Nakład: 51 000 egzemplarzy

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena

detałnicza ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adaptacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodroży Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„OZE destabilizują system”, rozmowa z prof. dr. hab. inż. **Władysławem Mielczarskim**, „DrZ” nr 1/2024

Profesor **Władysław Mielczarski** w rozmowie z **Tomaszem Cukiernikiem** w sposób klarowny i przekonujący wyjaśnił fatalne skutki tzw. transformacji energetycznej. Ten podstawowy dla przyszłości gospodarki i państwa problem jest od lat tematem publicznej debaty i licznych publikacji. Zwracam tu uwagę na aktywność **Guillaume Pitrona**, francuskiego eksperta Komisji Europejskiej. [...] Największą wartością publikacji **G. Pitrona** jest to, że ujawnia on bardzo kosztowne i bolesne dla matki Ziemi konsekwencje wielkich, powszechnie uważanych za „ekologiczne” przedsięwzięć, takich jak transformacja energetyczna.

Szanowni Państwo: sprzecznej z interesem Polski „transformacji energetycznej” powinniśmy się przeciwstawić z powodów ekonomicznych i technicznych wskazanych w opublikowanej rozmowie, ale nie one są powodem absurdalności całego programu, który teraz wydaje się „najsłabszym” celem Unii Europejskiej i rządów wszystkich „postępowych” państw. Główną wadą programu „walki ze zmianami klimatu” jest to, że opiera się on na fałszywych, sprzecznych z aktualnym stanem wiedzy naukowej założeniach, zgodnie z którymi człowiek jest w stanie wpłynąć na klimat w skali globu, i że za tzw. ocieplenie globalne odpowiada emisja dwutlenku węgla do atmosfery. Gaz ten, bez którego nie mogą egzystować rośliny, a więc od którego zależy życie na Ziemi, stanowi zaledwie ułamek promila składu atmosfery. Nigdy w geologicznych dziejach naszej planety nie było go tak mało. Powinno więc nam zależeć na zwiększeniu jego zawartości, a już celowe (i jakże kosztowne) ograniczanie jego wytwarzania, czyli dążenie do „bezemisyjności”, to nic innego jak działalność samobójcza.

Niestety, nasze media, także TVP za rządów PiS, robiły i robią wszystko, aby prawdę tę ukryć, a na portalach internetowych jest ona zagłuszana nasilającym się szumem informacyjnym, którego źródłem

są najrozmaitsze organizacje „ekologiczne”, organizatorzy szkolnych „strajków klimatycznych” spod znaku **Greta Thunberg** i różnej maści celebryci, którzy nawet nie kryją swojej ignorancji w zakresie geologii historycznej, fizyki atmosfery, nie mówiąc już o technologii wytwarzania paneli fotowoltaicznych, turbin wiatrowych czy aut elektrycznych. Takich nieuczynnych zamiarów na szczęście nie można przypisać tygrysiakowi „Do Rzeczy”, ale i tu widzimy, jak poniekąd słuszne, ekonomiczne i techniczne problemy „transformacji energetycznej” wykorzystane są do „przykrycia” pierwotnej przyczyny, którą jest uznanie dwutlenku węgla za substancję szkodliwą. **Tomasz Cukiernik** walczy więc z przejawami choroby, całkowicie pomijając jej pierwotną przyczynę. A przecież nie byłoby obowiązku wykupywania „praw do emisji”, gdyby wcześniej nie uznano dwutlenku węgla za substancję szkodliwą. Zachęcam do zapoznania się ze wskazanymi wyżej publikacjami.

Witold Wilczyński
Kraków

Szanowna Redakcjo, [...] zero informacji o ilości energii przejętej za darmo od prosumentów i jej wartości oraz o coraz bardziej niesprawiedliwych rozliczeniach z mikrokonkurencją. Marzenie o tym, żeby wszystko było tak, jak było, i lament, że pogoda jest zmienna, a stara sieć jest niewydolna i nie umie sama się dostosować do zmienionej sytuacji. Żadnych wiadomości o magazynach energii. Czyżby według autora były sprzeczne z prawami fizyki? Większość energii dostarczanej przez prosumentów nie przemienia się w sieci daleko. Za pieniądze zaoszczędzone na zakupach węgla i gazu powinny być budowane magazyny energii. Nowa sytuacja wymaga opracowania sprawiedliwych metod współpracy gigantów energetyki z prosumentami i posiadaczami samochodów elektrycznych, którzy w ciągu kilku lat będą w stanie przejąć nadwyżki energii. To jest pole dla sensownych działań branżowych ekspertów.

Życzę pomyślności w nowym roku
Bogumił Fic

Odpowiedź

Niezależnie od tego, jak sami siebie postrzegają prosumenci, w rzeczywistości są to uprzywilejowani producenci energii

elektrycznej, których istnienie zależy od znacznych subsydiów. Przy zakupie panelu fotowoltaicznego (PV) prosumenci mogą otrzymać dopłatę w wysokości 20 proc. kosztów zakupu, co przy nawet stosunkowo niewielkim panelu o mocy 6 kWp oznacza wsparcie w wysokości 5–6 tys. zł.

Prosumenci nie tylko nie płacą za koszt energii, lecz także nie ponoszą kosztów opłat przesyłowych (składnik zmienny) czy opłaty jakościowej, chociaż sami wysyłają i odbierają energię do i z systemu. Uniknięcie tych opłat to przychód prosumenta ok. 1800 zł rocznie, co w całym okresie eksploatacji instalacji, obliczanym na 25 lat, może wynosić ok. 45 tys. zł.

Prosumenci również nie ponoszą kosztów bilansowania, czyli wyrównania zmienności pracy ich instalacji. Cały koszt bilansowania odnawialnych źródeł energii (OZE) dokonywany poprzez Rynek Mocy to obecnie ponad 5 mld zł rocznie. Dodatkowo prosumenci nie ponoszą kosztów rozwoju sieci dla potrzeb rozwoju OZE szacowanych na ok. 6 mld zł rocznie.



Głównym problemem systemu prosumenckiego jest ściśle powiązanie z energetyką węglową. W okresie lata, kiedy system elektroenergetyczny nie jest w stanie przyjąć dużej produkcji energii z paneli PV, operatorzy systemu redukują moce elektrowni i odsyłają węgiel na hałdy. O okresie zimy, kiedy prosumenci nie produkują energii, a szczególnie kiedy posiadają pompy ciepła, elektrownie pobierają węgiel z hałd i z tego węgla produkowana jest energia dla prosumentów.

Elementem niezbędnym działania systemu prosumenckiego są elektrowniane hałdy węgla, na których operatorzy systemu przechowują energię dla prosumentów za niewielką opłatą

barterową wynoszącą 20 proc. wielkości energii zmagazynowanej. Jest to system nazywany „net-metering”, w którym działa ponad 90 proc. prosumentów. Postępująca dekarbonizacja spowoduje, że wraz z energetyką węglową będzie zanikał system prosumencki, ponieważ zastosowanie indywidualnych magazynów energii wiąże się z dużymi kosztami i cały system przestaje być opłacalny.

Brak prosumentów nie wpłynie istotnie na transformację energetyczną, która wymaga wielkoskalowej produkcji energii odnawialnej. Przy tej skali potrzeb instalacje prosumenckie to „energetyczne dymarki XXI w.”, mające ograniczony wpływ na przejście do niskoemisyjnej energetyki.

System prosumencki pozwolił na szybki rozwój produkcji energii z OZE w początkowej fazie transformacji, chociaż koszt subsydiów był i jest bardzo duży. Znaczne koszty poniosą również sami prosumenci przy demontażu i utylizacji instalacji, jak również utracie wartości domów popanelowych, na których montowano instalacje PV.

prof. Władysław Mielczarski

REKLAMA

PAWEŁ CHMIELEWSKI
PONTYFIKAT KRYZYSU
DLACZEGO USTĄPIŁ PAPIEŻ BENEDYKT XVI

49,90
34,90

NOWOŚĆ!

POZNAJ ODPOWIEDZI
NA NAJWAŻNIEJSZE
PYTANIA DOTYCZĄCE
PAPIEŻA
BENEDYKTA XVI

Czy papież Benedykt był zapowiadającym katechonem, który powstrzymywał przyjście Antychrysta? Czy na rezygnację papieża wpłynęła mafia z Sankt Gallen?

Zamów książkę na esprit.com.pl
lub pod numerem telefonu 12 267 05 69



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Niesmak pozostał

Wniosek Lewicy o odwołanie z prezydium Sejmu Krzysztofa Bosaka, motywowany tym, że Konfederacja nie relegowała Grzegorza Brauna po ataku gaśnicą na świecę chanukowe (gdyby to zrobiła, Bosak straciłby miejsce w prezydium z automatu, bo Konfederacja przestałaby być Klubem, a stałaby się Kołem Poselskim), wydał się jej zapewne zagranieniem niezwykle sprytnym, omalże założeniem Konfederacji „podwójnego nelsona”. W istocie okazał się niewypałem – praktycznie nikt poza samą Lewicą go nie poparł. Ale odegrał znaczącą rolę, bo przy okazji PiS skompromitował się kompletnie, zupełnie nie wiadomo po co i dla czego. W dniu głosowania gruchnęła rano wieść, że na klubie

poselskim PiS uchwalono, iż partia ten lewicowy wniosek poprze.

Wywołało to zgodne oburzenie niemal wszystkich komentatorów kojarzonych z szeroko rozumianą prawicą – odwołanie Bosaka poparł tylko Tomasz Terlikowski, ale ten, po swych licznych woltach, kojarzony jest z prawicą już tylko przez ludzi bardzo słabo zorientowanych i tylko z rozpędu. W chwili, gdy nowa koalicja rządowa dokonuje nieskrywanego zamachu na prawo i na państwo, gdy Krzysztof Bosak jest jednym z najlepszych pod względem merytorycznym krytyków tego zamachu, przyłączanie się przez PiS do lewicowej hucpy większość komentujących uznała za, w najlepszym razie, małostkowość, w najgorszym zaś – za fatalny sygnał, że tak w ogóle to

PiS walczy o Polskę, ale szczególnie walczy o to, aby to tylko on walczył o Polskę, a nie nikt inny.

Czy to z powodu ożywionej krytyki w Internecie czy może buntu w samym klubie – podobno część posłów oznajmiła, że odwołania Bosaka nie poprze, nawet gdyby zarządzono dyscyplinę partyjną – ostatecznie kierownictwo PiS z kompromitującej decyzji się wycofało. Ale w sposób idiotyczny. PiS nie zagłosował „za”, ale też nie zagłosował „przeciw” ani nie wstrzymał się od głosu, tylko wyjął karty do głosowania z maszyn i udawał, że go nie ma. Tak jak często robiła przy zbyt trudnych głosowaniach PO, z czego się słusznie nabijaliśmy.

Mleko rozlane, cnota stracona, rubla nie ma. Bravo! ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Naciągacze

Anarchia polityczna postępuje, ale nie dzieje się nic, co mogłoby zaskakiwać. Wiadomo było, że doktryna „żadna instytucja nie ma prawa przeszkadzać rządowi, który wygrał wybory” pewnego dnia obróci się przeciw prawicy – i przeciw Polsce. Jeśli przywódcy PiS mieli poczucie moralnej wyższości wobec przeciwników, to tym bardziej powinni być świadomi, że nie należy podważać obyczajów politycznych, które będą musiały w przyszłości chronić kraj przed bezmyślnym europopulizmem, wymierzonym w suwerenność, we wszystkie wartości narodowe i w polityczny dorobek PiS.

Oczywiście nie znaczy to, że władzy PiS brakowało umiaru.

Demonstrowali go w nadmiarze w sprawach życia i rodziny – unikając zaangażowania w debatę, odrzucając wspólnie z PO ustawy w Sejmie albo wypychając je do Trybunału Konstytucyjnego. Za patrona obrali sobie Maxa Webera i w imię jego niemieckich mądrości nauczali o „nieodpowiedzialności przekonań”. Mniej uczeni straszili „demokratycznym wahadłem”, które uderza tym gwałtowniej, im mocniej się je naciąganie. Straszili tak opinię chrześcijańską, domagając się jej milczenia, a jednocześnie wahadło naciągali bez przerwy: w programach informacyjnych TVP, w Trybunale Konstytucyjnym, w powtarzaniu do skutku nieudanych głosowań w Sejmie, w języku

sporów politycznych. Nie przypisuję tu głównej odpowiedzialności Jarosławowi Kaczyńskiemu. To wielki polityk, który zbudował największą partię w Polsce. A jeśli chodzi o otaczających go arywistów, to szkoda palców, by na ich temat tłuc klawiaturę.

Największą odpowiedzialność ponoszą PiS-owscy intelektualści. Ci, którzy widzieli, a udawali, że nie widzą, byle tylko nie stracić przychylności władzy. Oni powinni służyć Jarosławowi zastrzeżeniami i lojalnym sprzeciwem. Woleli wymądrzać się o Weberze. Lepiej zastanowiliby się nad przestrogą Heinricha Bölla, że najbardziej winni są ci, którzy milczą – bo wszystko dzieje się za ich zgodą. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Śmielej tam tam! prawo!

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Hajże na Meloni!

Tydzień temu donosiłem, że w Rzymie 150 neofaszystowskich kretynów, upamiętniając swoich trzech współwyznawców zamordowanych w 1978 r. przez lewackich terrorystów, wznosiło ręce w faszystowskim salucie rzymskim. Te żenujące spektakle bezwplywowych pogrobowców Mussoliniego odbywają się 7 stycznia od 45 lat i dotychczas nikomu nie wadziły. Jednak w tym roku włoski obóz postępu podniósł raban i obwiniał Meloni i prawicowy rząd.

Wydawało się, że na tym koniec. Tymczasem włoskim towarzyszom z odsieczą przyszli towarzysze z Parlamentu Europejskiego. Zorganizowali w Strasburgu 16 stycznia specjalną sesję niby poświęconą faszystowskiemu zagrożeniu

w Europie, ale tak naprawdę atakom na włoską premier i jej rząd. Niektóre wynurzenia świetnie rymowały się z tym, co mówi o Italii i Europie Zachodniej ruska propaganda.

14 stycznia telewizja Nove nadała wieczorny, niemal godzinny wywiad na żywo z papieżem Franciszkiem. Wszystko zapewne za sprawą prowadzącego Fabia Fazio, który już raz gościł papieża w RAI 3 (30 proc. oglądalności). Fazio jest apostołem poprawności politycznej i orędownikiem wszystkich postępowych idei razem wziętych. Należy do lewaczków dobrotliwych, stale się uśmiecha i łatwo się wzrusza. Postępowa publika go uwielbia. Wywiad z papieżem był jednym z elementów programu. Fazio, zanim połączył się z papieżem,

uciął sobie rozmówkę z zaproszonymi superpostępowymi dziennikarzami „La Repubblica”, „La Stampa” i „Avvenire”. Była to jedna z tych wypreparowanych dyskusji, w których wszyscy są tego samego zdania. Miliony czekające przed ekranem na rozmowę z papieżem znów dowiedziały się, że Italii grozi powrót faszizmu, a Giorgia Meloni jest w głębi duszy faszystką co się zowie.

Wreszcie w publicznej telewizji RAI, też 14 stycznia, by uderzyć w Meloni, odgrzano niechlubną, powszechnie znaną historię jej ojca, który opuścił rodzinę, gdy miała roczek, i zajął się handlem narkotykami, za co trafił do pudła. Zmarł w 2012 r.

Tak to się robi w Italii. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

DLA MIŁOŚCI WSZYSTKO

Ktoś mógłby pomyśleć, że życie celebrytów to bajka. Nic bardziej mylnego. Ich także dotyczą problemy szarego człowieka. Aktor Mateusz Damięcki wyznał, że w przeszłości lubił poszaleć z kasą, co ściągnęło na niego niemałe kłopoty. Damięcki postanowił kupić mieszkanie, na które absolutnie nie było go stać. Ciekawe są powody. „Byłem w sytuacji, w której żaden facet nie chciałby się znaleźć. Żeby zaimponować kobiecie, kupiłem 100-metrowe mieszkanie w centrum Warszawy. Na



FOT. MATEUSZ GABROCKI/EAST NEWS

kredyt, bo nie było mnie stać” – przyznał aktor w wywiadzie dla magazynu „Twój Styl”. Damięcki wspomina, że uwierzył w hasło „ryzykujemy, trzeba żyć marzeniami, wysoko mierzyć i doskakiwać”. Wtedy jednak zaczęły się kłopoty. „Frank zdrożał, wszystko się posypało. Rozstałem się z tą osobą, nie miałem pracy, bank pukał do drzwi. To doświadczenie nauczyło mnie pokory, ale i wiary, że nawet w beznadziejnej sytuacji zdarzają się punkty zwrotne” – opowiada. W tym trudnym czasie w jego życiu pojawiła się przyszła żona. „W najgorszym momencie życia poznałem Paulinę. Okoliczności nie były romantyczne... Na samym początku musiałem pożyczyć od niej 3 tys. i przez pół roku nie miałem z czego oddać” – opowiada Mateusz Damięcki. Choć początki nie były proste, to para pokonała wspólnie finansowe trudności,

a dziś cieszy się stabilnym, dostatnim życiem. Morał? Prawdziwa miłość nie wymaga pakowania się w dług.

UBAW PO PACHY

Portale zalała fala artykułów o nagłówkach takich jak „Żebrowski bezlitosny dla Dudy” czy „Sparodiował prezydenta. Hit sieci”. Człowiek z ciekawości klika, co tam mądrego ma nam do zaproponowania jeden z „aktorów zaangażowanych” i... szybko żałuje. Michał Żebrowski postanowił (kolejny raz) wcielić się w średnio zabawnego kabareciarza i – zgodnie z owymi nagłówkami – sparodiował głośne wystąpienie Andrzeja Dudy, wygłoszone podczas uroczystości związanych ze 150. rocznicą urodzin Wincentego Witosa.

– Szanowni państwo, chciałbym podzielić się z państwem pewną refleksją, pewną sugestią. Czynię to z okazji 150. rocznicy urodzin Wincentego Witosa. Chciałbym powiedzieć, że jeżeli po każdej frazie, po każdym zdaniu będę stawiał kropkę, raz prezentował swój prawy profil, raz prezentował swój lewy profil, jeżeli będę mówił wyżej, jeżeli będę mówił ciszej i zawsze będę robił pauzy – zaczął Żebrowski, kpiąc z wyrazistej mimiki prezydenta. Następnie aktor poruszył wątek zatrzymania polityków PiS – Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. – Chciałem powiedzieć, że dzisiaj, dzisiaj dochodzę do wniosku, że jeżeli hydraulik został skazany prawomocnym wyrokiem, został skazany prawomocnym wyrokiem hydraulik, od dzisiaj on się nazywa więźniem hydraulicznym. Tak jak każdy polityk, który został skazany prawomocnym wyrokiem, jest więźniem politycznym. To tyle – podsumował żartowniś Michał. Ze śmiechu aż brzuch boli.

SIOSTRZEŃSTWO I WSPARCIE, ALE NIE DLA KAŻDEJ

Sprawa uwięzienia polityków PiS wywołała w celebryckim światku niemałe

poruszenie. Co ciekawe, szczególnie chętnie obśmiano wypowiedź żony Macieja Wąsika, która w Telewizji Republika opowiadała, jak trudno jej funkcjonować bez męża. – Nie spodziewałam się tego, że zastanę taką rzeczywistość [...]. I takie prozaiczne rzeczy – jest za zimno, trzeba zrobić cieplej. Ale jak? To zawsze robił on. Wie pani redaktor, ja dzisiaj jak do niego przyszedłam, to się zapytałam, jak mam zwiększyć temperaturę na tym urządzeniu, żeby zrobiło się odrobinę cieplej. Wytłumaczył mi – opowiadała Roma Wąsik. Te słowa wyśmiać postanowiła żona Macieja Stuhra. „Trochę politycznie, ale bardziej feministycznie i ludzko. Męża nie ma, zimno jest. Na szczęście mąż nie łamał prawa, więc jest w pracy, a nie w więzieniu. A co ważniejsze – ja wiem, co zrobić i gdzie szukać pomocy, kiedy jej potrzebuję” – napisała na Instagramie Katarzyna Błażejewska-Stuhr. „Awaria pieca skłania mnie do tego, żeby o samodzielności kilka słów powiedzieć... Osoby każdej płci powinny umieć gotować, gospodarować finansami, zarabiać pieniądze i robić rzeczy, które są niezbędne do codziennego funkcjonowania. Tak wspaniale jest wiedzieć i czuć, że dam radę w każdej sytuacji!” – dodała. Przypomniało mi się takie ironiczne powiedzonko: kobieta kobiecie kobietą.

TYLKO FAJNOŚĆ

Uśmiechnięta Polska odcinek kolejny. Tym razem seria „powroty”. Po tym, jak w roli gospodarza „Teleexpressu” widzowie znowu mogą oglądać Macieja Orłosa (który ostatnie tygodnie poświęcił na krytykowanie poprzedniego kształtu TVP), do mediów publicznych wrócił Jarosław Kret. Pogodynek nie kryje ekscytacji. „Po długim czasie »wielkiej smuty« wróciłem do mojego »matecznika«. Wróciłem do TVP. Dziś od rana w TVP INFO” – pochwalił się na Instagramie. „Jak ja uwielbiam te poranki. Jest superenergia. Jakoś tak wszyscy wokół uśmiechnięci, szczęśliwi, radośni, rozpromienieni. Jest pięknie (mimo że większość z nas wstaje ok. 4”) – wskazuje Kret. Ale fajnie! ©©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, właśnie trwa w całym tym kraju celebrowanie dnia osobodziadka oraz osobobabci. Of kors ciągle jeszcze do powszechnej świadomości nie przedostało się określenie „dziabko” ukute przez lewicowych aktywistów, którzy słusznie założyli, iż przecież wiele osób płodzących osoby płodzące może być niebinarnych i wymykających się tradycyjnym cishetero podziałom.

My natomiast chcemy odważnie korzystać z tego sformułowania i zapytujemy was: Kto pamiętał o świecku swojex dziabko? Pewnie większość z was podeszła do tematu tradycyjnie. Ci, którzy mieszkają w wielkich ośrodkach i pozostawili swojx dziabko gdzieś na wsi podkarpackiej, małopolskiej czy – o zgrozo – świętokrzyskiej, pewnie wysłali tradycyjne kartki z kwiatuszkiem, słoneczkiem i uśmiechem, prawda?

Z kolei ci, którzy mieszkają nadal w małych ośrodkach albo których dziabko mieszka w wielkim ośrodku i mają okazję się z nix zobaczyć, przynieśli kwiatka, czekoladkę, a przy okazji obzarli dziabko, z czego tylko się dało, a resztę wynieśli w słoikach. Mamy rację, prawda?

Ręka do góry, kto z was pomyślał o tym, iż dni dziabko to świetna okazja, iżby wyrwać te osoby ze strefy komfortu i pokazać im, iż można celebrować tę okazję inaczej. Kto z was podjął się

przeprowadzenia pogadanki o tym, iż od teraz nie będzie mówił „babciu” ani „dziadku”, ale w zamian użyje zbiorczego określenia „dziabko”, i że to jest postępowe i tak trzeba? Kto z was pomyślał, iżby zabrać dziabko do jakiegoś modnego przemocowego teatru (chyba teraz takie są modne w progresywnych środowiskach) albo

Jak może zauważyliście, w części tego kraju trwają ferie zimowe. Oznacza to, iż rodzice rzadziej wożą dzieci do szkoły, nauczyciele siedzą w domach – w większych miastach od razu są mniejsze korki i lepsze powietrze. A zatem, logicznie, można uznać, iż za powstawanie korków i smogu odpowiadają dzieci i szkolnictwo.

A gdzie te wszystkie dzieci, ich rodzice i nauczyciele podziewają się w czasie ferii? W hotelach na obrzeżach turystycznych miejscowości, ale góra na trzy dni – bo tak taniej, jak czytamy na Onecie.

I wiecie co? To jest już całkiem nużące, że przychodzi kolejna tego typu okazja, a my znów musimy pisać o tej takiej polskiej mentalności, że trzeba byle taniej, nawet kosztem jakości i komfortu. Przecież w centrum miejscowości jest wygodniej, a jak się zostaje gdzieś dłużej, to też fajnie.

A przecież inflacja spada, po wyborach rynki są optymistyczne (nie pytajcie, co to znaczy, to są te neolibkowe giełdowe zakłęcia, których

w ogóle nie rozumiemy), nastroje konsumentów się polepszyły, a oni w sumie konsumują tak sobie.

Co więc zostało udowodnione: to nie kwestia sytuacji ekonomicznej, politycznej itd. To po prostu ten polski mental – znówu. ©©

Otwierać! Szukamy podstawy prawnej!



na zwykły spacer po wielkim ośrodku szlakiem miejskich aktywistów? Albo chociaż wyłączył w telewizorze Republikę i Trwam xD?

Rozumiemy, iż mamy jeszcze sporo do nadrobienia względem Europy, ale skoro my tu w tym kraju ciągle się jeszcze orientujemy, czy dziabko żyje czy nie, to zajmijmy się nimi jakoś porządnie, a nie tylko kwiatki i kartki.

PODSŁUCHANE

Gonić dziadów!

Marcin, chłopie, strasznie się cieszę, że znowu wszyscy będą ze mną grać!
Ja też się cieszę, Jurek.

Dobra, to ja bym tutaj chciał mieć eskortę pięciu radiowozów, może być nie sama policja, może być np. Straż Graniczna, nawet lepiej, bo pokażemy, że teraz oni są po jasnej stronie mocy.
Ale ta eskorta to dla ciebie?

No a jak? A dla kogo?
Stary, kto tę kręciołę robi jak nie ja?!

A jak będą pytać, dlaczego jeździsz z eskortą?

Tylko źli ludzie mogą pytać. Gonić dziadów!

Słuchaj, ale ja nie za bardzo mogę tak odpowiadać. To jednak państwowe służby...

A ty co? Chcesz, żeby chore dzieci umierały?! ©© Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Hydraulik w więzieniu to więzień hydrauliczny”.

MICHAŁ ŻEBROWSKI, aktor, w nagraniu wideo parodiującym wystąpienie prezydenta Andrzeja Dudy

Zaczynamy od tego, co najgorętsze. To reforma reformy wymiaru sprawiedliwości. Reformę reformy, dodajmy, zwie się potocznie rympałem. Jak wiadomo, Adam Bodnar chciał wysłać przymusowo na zaległy urlop trzech zastępców prokuratora krajowego. Zwrócili jednak (słusznie) uwagę, że takie polecenie może im wydać tylko prokurator krajowy, a nie generalny. Ale jest zabawnie: przy okazji wyszło na jaw, że do grona rekordzistów, jeśli chodzi o niewybrany urlop, należą nie osobnicy zwalczani przez Bodnara, tylko jego najbliżsi współpracownicy. Neoprokurator Bilewicz ma do wybrania ledwie 63 dni, Dariusz Korneluk – 138, a Jarosław Onyszczyk – 123 dni.

Gruchnęła wieść, że PiS ma plan na uwięzionych posłów Kamińskiego i Wąsika. Mieliby wystartować do europarlamentu jako jedynki i trafić do Brukseli wprost z więzienia, tak jak swego czasu Karpiński z PeŁo. Plan ma pewne wady. Nawet prawni eksperci PiS mają wątpliwości, czy Kamiński i Wąsik mogą kandydować. Ułaskawieni czy nie, jednak byli skazani. Pojawił się więc plan B – mogłyby kandydować ich małżonki.

Kwestia europarlamentu jest w ogóle jedną z najgorętszych w PiS. Mocno dopytuje o kandydaturę swojej osoby niejaki Jacek Kurski. Ale prezes jest mało przychylny. Prezes Julia Przyłębska nieustannie demontuje plotki, jakoby umówiony na jedynkę był Andrzej Przyłębski. A niektórzy inni zamiast antyszambrować, wręcz

odwrotnie, nie mają zamiaru kandydować ponownie – np. Jurgiel czy Moździanowska. Ale to się zmienia.

Czasem brak wiadomości jest sam w sobie ważną wiadomością. I tak jest właśnie tym razem. Chodzi o sztab wyborczy na wybory samorządowe

oraz sztab wyborczy na wybory do europarlamentu. Otóż wiadomość jest taka, że na razie sztabów, a zwłaszcza szefów kampanii brak. Bieżąca walka z rympałem zdominowała na razie wszystko. Pozwolimy więc sobie na oryginalną myśl, że wybory samorządowe same się nie wygrają, zwłaszcza że będą już za mniej niż trzy miesiące.

dwaj panowie **g**

Skoro o rympałach, to musi być o neo-TVP. Myliłby się ktoś, kto uważałby, że panuje tam sielankowa atmosfera po pogonieniu Adamczyka, Pereiry i Tulickiego. Wręcz przeciwnie. Zbliży się powoli koniec miesiąca, a nikt nie jest pewien, czy będą wypłaty. Neopracownicy i neodyrektorzy przez cały ubiegły tydzień zaglądali nawet po kilka razy dziennie do KRS, żeby sprawdzić, kiedy pojawią się tam wpisy o nowych władzach. A tam nadal jak byk stało napisane, że prezesem wciąż jest nawet nie Adamczyk, lecz Matyszkowicz.

No tak, odpowiedź co bardziej kumaci i śledzący uważnie ten serial, ale przecież Rada Mediów Narodowych w miejsce Matyszkowicza powołała Adamczyka. To prawda, ale sytuacji neopracowników neo-TVP to nie poprawia. Zdradzimy wam bowiem w wielkiej konfidencji, że Michał Adamczyk w bankach zrobił zastrzeżenie, żeby nie uruchamiać żadnych środków dla neowładz. A banki w takiej sytuacji też zerkają do KRS.

Nic dziwnego, że w tej sytuacji niektórzy mogą odchodzić od zmysłów. Niektórzy, bo innym – jest takie podejrzenie – mogło się to przydarzyć wcześniej.



FOT. ROBERT GARCUSKA

Wpadła nam oto w ręce ciekawa korespondencja autorstwa pewnej rzekomej ofiary PiS. Cytujemy najlepszy fragment, zachowując oryginalną pisownię, to znaczy emotikownię: „Chętnie z wszystkimi i z każdym osobno porozmawiam, (tylko zastrzegam, że w chwili obecnej mój telefon jest na 90% podsłuchiwany, ale mnie to nie przeszkadza, nie mam nic do ukrycia, chyba tylko czasem zbyt głośno orgazmy więc panowie podsłuchujący muszą dobrze się bawić ;)). Niestety kręcą się też jacyś dziwni ludzie u mnie przed domem i to już jest mniej śmieszne, ale wiem, że jeśli mnie zlikwidują to będę miała od Was piękną wiązanke :)”.

Dla uspokojenia czytelników o słabszych sercach informujemy, że do zlikwidowania autorki powyższych słów przez PiS nie doszło. A smaczny cytat pochodzi z pisma rozesłanego przez pewną korespondentkę dublerkę neo-TVP w jednej z europejskich stolic. Jakiś czas temu wyleciała ona z jednej z prywatnych stacji telewizyjnych z powodów zupełnie niepolitycznych. Jednak łąziła i przekonywała, że jest ofiarą PiS. Swoje wrażenia streściła w liście skierowanym do kolegów i koleżanek korespondentów. I to ten list cytowaliśmy. Przyznacie, takie wynurzenia musiały zrobić w „neo-Wiadomościach”, zwanych „19.30”, piorunujące wrażenie. Czekamy na wersję fabularną Agnieszki Holland. Podpowiadamy tytuł: „Granica orgazmu”.

Wraz z początkiem ery rympału jakoś umilkła większość symetrystów. Przypomnijmy: to tacy ludzie, którzy w ostatnich latach wieszając psy na PiS, czasem zauważali, że kiedyś Peło też coś złego zrobiła – chyba. Dziś ogłuchli, oślepli albo lęk nie pozwala im utrzymać pióra w dłoni. A szkoda. Mamy dla nich, na zachętę, symetrystyczną zagadkę z cyklu „kto to powiedział i o kim”. „Robi krzywdę naszemu krajowi, podsycając w ludziach nienawiść, brukając wszystko to, co dobrego zrobiliśmy. Poza tym on doskonale wie, że brak szacunku do prawa jest czymś dramatycznym. Skoro nie szanuje prawa parlament, to dlaczego ma je szanować pojedynczy obywatel?”. Czy to Kaleta wczoraj o Tusku? Nie,

to legenda Unii Demokratycznej Olga Krzyżanowska, w roku 2016, o Jarosławie Kaczyńskim. Symetrystów zapewniamy, że jak już zwalczą paniczny lęk przed aresztem w Radomiu, to znajdą wiele takich cytatów.

Dla tych, którzy przegapili – w minioną niedzielę było święto: Światowy Dzień Przytulania. Od lat uważamy, że ów dzień powinien być świętem CBA. Wiecie, służby, która zajmuje się tymi, którzy szczególnie skutecznie sobie coś przytulają. Niestety, nasz pomysł po zmianie reżimu na Eine Totalkoaliton jest już nieaktualny. Ale się nie poddajemy. Światowy Dzień Odpuszczania przypada bowiem 1 marca. To dla neo-CBA będzie święto jak znalazł.

Polski Sejm zawsze był areną ciekawych wydarzeń, ale ostatnio bywa wyjątkowo inspirujący. Od pułkownika Sienkiewicza, w którym „coś się przełamało”, w związku z tym nie mógł wstać, gdy śpiewano hymn Polski, aż do Borysława Budki, który będzie teraz

Nas jednak najbardziej zaintrygowała tenisistka Magda Linette, której zdaniem ludzie zajmują się hejtem w Internecie, gdyż w szkołach zamiast lekcji retoryki są lekcje religii. Zawsze mieliśmy przekonanie, że wyczynowe uprawianie sportu szkodzi.

Przypomniał nam się ostatnio skecz kabaretu Tey z programu „Z tyłu sklepu”. A dokładnie ten, w którym Smoleń mówi: „Ege szegedre ciokolo masajo osto kudo chojo todo buroki!”. Wszystko za sprawą Rycha Czarneckiego. W ubiegłym tygodniu podczas debaty o Węgrzech w europarlamencie wygłosił on krótkie przemówienie w języku magyar. Wygłosił – to może za dużo powiedziane. Przeczytał. Ale to wystarcza, by do długiej listy jego ksywek dodać nową: Richárd Henrik Czarnecki (nazwisko wymawiamy z akcentem na pierwszą sylabę). Czekamy na jakąś debatę o Islandii.

Zpogranicza. Historia miała miejsce w maju, ale dopiero teraz wpadła w nasze łapy. Otóż operator komer-

Myliłby się ktoś, kto uważałby, że w neo-TVP panuje sielankowa atmosfera po pogonieniu Adamczyka, Pereiry i Tulickiego.

Wręcz przeciwnie. Zbliża się powoli koniec miesiąca, a nikt nie jest pewien, czy będą wypłaty

oceniał, kto jest człowiekiem honoru, a kto nie. Szczerze? Nigdy nie myśleliśmy, że to powiemy, ale woleliśmy w roli specjalisty od honoru Adama Michnika. Zawsze bowiem – nawet gdy się z nimi nie zgadzamy – przedkładamy ludzi, którzy gdzieś kiedyś coś osiągnęli i znaczyli, ponad tych, którzy nigdy, nigdzie i nic.

Z okazji zmiany reżimu wiele dzieje się w sporcie. Od radości Marcina Gortata, że PiS już go nie będzie zmuszał do występowania w reklamach SKOK-ów, do obcięcia kasy na budowę Narodowego Centrum Szkolenia, Badań i Treningu Piłki Nożnej PZPN, gdyż istnieją podejrzenia, że zamiast podkręcać jak Beckham, młodzi piłkarze będą tam podkręcać jak Błaszczak.

cyjnej telewizji (która nie jest TVP, neo-TVP ani Polsatem), relacjonującej wojnę na Ukrainie, został złapany podczas powrotu na przemyśle fajek. Ale przy okazji wyszło na jaw, że reporter, który mu towarzyszył, na owym przejściu był traktowany w sposób wyjątkowo uprzywilejowany i jego bagażu nigdy nie kontrolowano. Okazało się, że jego tatuaż pracuje na przejściu jako celnik i pomagał synowi przenosić bagaż bez żadnej kontroli. Odpowiednie organy teraz sprawdzają, czy reporter lubił fajki tak bardzo, jak operator. Osobiście uważamy to za przesadę. Reporterzy wojenni mają ciężką pracę i rozumiemy, że mogą kurzyć jak kominy. A fajki w Polsce dwa razy droższe niż na szerokiej Ukrainie. ©©

Upadek Adama Bodnara



Łukasz Warzecha

Adam Bodnar miał swój dorobek i pozycję. Mógł je dalej budować jako senator i realizować w przyszłości swoje ambicje być może wolniej, ale bez tak gigantycznych strat wizerunkowych, nie nurzając się w łajnie i odstręczającej nawalance. Z Ministerstwa Sprawiedliwości wyjdzie zaś obtłuczony i na zawsze kojarzony z modus operandi początków nowej władzy w stylu politycznej gangsterki, narzuconym przez pana premiera



Donald Tusk wielokrotnie wygrywał sprytem. Jednym z typowych dla tego polityka zabiegów było dobieranie sobie ludzi, którzy załatwiali za niego mało przyjemne sprawy, podczas gdy on sam mógł pozostawać nieco na boku, tak aby nie obciążały go wizerunkowe lub ewentualnie prawne skutki wątpliwych poczyniń. Na dodatek Tusk umiał dobierać do tych ról ludzi, którzy wydają się ze swojego działania czerpać autentyczną radość i wykonują powierzone im zadania z gorliwością partyjnych stachanowców. W obecnym rządzie po miesiącu jego funkcjonowania na pierwszy plan pod tym względem wybija się minister sprawiedliwości Adam Bodnar, prześcigając nawet pana ministra Sienkiewicza.

Muszę tu przyznać się do błędu w ocenie pana Bodnara, który popełniłem kilka lat temu. Życiorys Adama Bodnara jasno określa jego profil światopoglądowy. Jeszcze w latach 90., a więc w swoich czasach studenckich (urodził się w 1977 r.), zaczął działać w stowarzyszeniu Nigdy Więcej!. Ta lewicowa jacejka, założona przez Marcina Kornaka (zmarł w 2014 r.), a obecnie kierowana przez Rafała Pankowskiego, zajmuje się zawodowo tropieniem „faszyzmu”. W ostatnim czasie stała się powszechnie znana za sprawą donosu na sędziego piłkarskiego Szymona Marciniaka w związku z jego udziałem w niepolitycznej imprezie biznesowej, firmowanej przez Sławomira Mentzena. Jak wiadomo, pan sędzia ostatecznie złożył hołd lenny zawodowym antyfaszystom i dzięki temu może dalej prowadzić lukratywne międzynarodowe spotkania, choć nie wiadomo, czy może sobie spojrzeć w lustrze w twarz.

Nigdy Więcej! działa od lat w tej samej pragmatyce: żeby utrzymać swoją pozycję oraz zgarniać granty i zapewniać sobie współpracę z takimi organizacjami jak PZPN, musi wciąż epatować przykładami rzekomego „faszyzmu”. Stąd kwalifikowanie w raportach, tworzonych przez organizację, wydarzeń i incydentów bez żadnego tła światopoglądowego jako wynikających z pobudek rasistowskich czy ksenofobicznych. To jest kolejka Adama Bodnara.

DAŁEM SIĘ ZWIEŚĆ

Swoją szerzej znaną działalność publiczną zaczął obecny minister spra-

FOT. ŁUKASZ ODIAK/EAST NEWS

wiedliwości w Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, której polskim oddziałem w końcu zaczął kierować. Jego działania tam prowadzone nie pozostawiały wątpliwości co do profilu światopoglądowego. Stąd moja reakcja, gdy rzutem na taśmę, w 2015 r., niedługo przed wyborami parlamentarnymi, ówczesna większość wybrała właśnie Adama Bodnara na rzecznika praw obywatelskich. Napisałem o tym wtedy tekst dla portalu Wirtualna Polska, zatytułowany „Adam Bodnar, czyli lewak rzecznikiem praw obywatelskich”. Oto początek tamtego artykułu:

„Proszę sobie wyobrazić, że rządzi w Polsce prawica. I ta prawica najprawdopodobniej przegra wybory z lewicowo-liberalną Platformą Obywatelską. W końcówce kadencji wypada akurat wybór nowego RPO. Prawica wysuwa kandydata, pana Ygrekowskiego, 40-letniego prawnika i do niedawna aktywistę skrajnie nacjonalistycznej Falangi.

Pan Ygrekowski stawia się przed posłami, którzy chcą poznać jego zapamiętania, i stwierdza: »Tak, faktycznie uważam, że polskim nieszczęściom winni są Żydzi. Owszem, jestem zdania, że powinni zostać wydaleny z Polski. Jestem także zwolennikiem dostępności najważniejszych urzędów wyłącznie dla katolików oraz zarezerwowania części miejsc w Senacie dla członków Episkopatu. No, ale polska konstytucja nie daje dziś możliwości przeprowadzenia takich rozwiązań i ja się z tym godzę. Zapewniam państwa, że swoje prywatne poglądy pozostawię za drzwiami biura RPO, nie będę ich forsował w trakcie pełnienia funkcji oraz będę jedynie stał na straży obowiązującego prawa [...]«.

Tymczasem mamy bardzo podobną sytuację, tyle że na odwrót. Skrajnie lewicowe, właściwie lewackie poglądy Adama Bodnara to lustrzane odbicie poglądów skrajnie nacjonalistycznych. Jest tam i promocja mniejszości seksualnych, i akceptacja dla adopcji przez nie dzieci, i wszelkie inne typowo lewackie postulaty. I co? I nic. Bodnar przechodzi głosami lewicy – co zrozumiałe – oraz głosami większości posłów PO. Tylko kilkoro spośród nich stać było na to, żeby w geście protestu zagłosować przeciwko obu kandydatom: Bodnara oraz jego konkurentki Zofii Romaszewskiej.

W związku z moimi komentarzami, ostrzegającymi przed powołaniem Adama Bodnara na stanowisko RPO, sam kandydat oburzał się w TVN24, wskazując, że HFPC pod jego kierownictwem zajmowała się różnymi sprawami, w tym sprawą trzymanego kilka lat w areszcie „tymczasowym” Piotra Staruchowicza, kibica Legii Warszawa. Była to prawda, ale HFPC ma swoją dynamikę, która nie pozwalała zarządzać nią jak udziałowym księstwem jednej osoby, a poza tym jest to organizacja pozarządowa. Czym innym jest kierowanie jedną z takich organizacji, a czymś całkiem innym obsadzenie jednoosobowego urzędu, istotnego w układzie instytucjonalnym państwa.

Gdy jednak Adam Bodnar pełnił rolę RPO, złagodziłem swoją ocenę. Choć było go za co krytykować. Jednym z najbardziej skandalicznych jego wystąpień była wypowiedź pana rzecznika w TVP Info. Jej tłem było wystąpienie ówczesnej premier Beaty Szydło na terenie Auschwitz z okazji Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Niemieckich Nazistowskich Obozów Koncentracyjnych w czerwcu 2017 r. Pani premier powiedziała wówczas, że „Auschwitz to lekcja tego, że należy uczynić wszystko, aby uchronić swoich obywateli”. Niemiecka gazeta „Frankfurter Rundschau” skrytykowała szefową polskiego rządu, bo uznała, że jest to polityka historyczna, której celem jest „zrzucanie winy za Holocaust na Niemców”. Serio.

Pan Bodnar skomentował to w państwowej telewizji (wtedy TVP Info zapraszała jeszcze takie osoby), mówiąc: „Nie ma żadnych wątpliwości, że za Holocaust byli odpowiedzialni Niemcy. [...] musimy pamiętać, że wiele narodów współuczestniczyło w jego realizacji. W tym – o czym mówię z ubolewaniem – także naród polski”.

O tę wypowiedź pytałem pana rzecznika niedługo potem w wywiadzie dla „Do Rzeczy”. Mój rozmówca wyjaśnił: „Użyte przeze mnie słowo »naród« było zbyt dużym i niewłaściwym kwantyfikatorem. Z rozmowy wynikało jednak jasno, że chodziło mi o jednostki – obywateli polskich, którzy także mieli swój udział w tym, że Holocaust był możliwy. Nawet jeśli było ich stosunkowo niewielu”.

Pytałem także o głośną sprawę łódzkiego drukarza, który odmówił przyjęcia zamówienia od organizacji LGBT na wydrukowanie plakatów. RPO przystąpił wtedy do postępowania w tej sprawie po stronie niedoszłych klientów przedsiębiorcy. Chciałem wiedzieć, jak Adam Bodnar zachowałby się, gdyby na miejscu organizacji LGBT był Obóz Narodowo-Radykalny. Pan rzecznik stwierdził: „Gdyby na plakacie nie było wezwań do działań o charakterze rasistowskim czy do przemocy, a jedynie – tak jak w przypadku łódzkiego drukarza – nazwa organizacji, jej adres i logo, to tak, zachowałbym się dokładnie tak samo. Drukarz nie miałby prawa odmówić wykonania usługi. ONR jest legalnie działającą organizacją”.

Działalność biura RPO oraz pewna otwartość Adama Bodnara na inne poglądy i środowiska prowadziły do konkluzji, że jak na prawnika o jednoznacznie lewicowych poglądach poradził sobie względnie dobrze. Czy może raczej: nie było tak źle, jak można się było spodziewać. Tu właśnie dałem się zwieść.

ZBURZONY WIZERUNEK

Tyle że stanowisko RPO nie zaspokajało wybujałych ambicji Adama Bodnara. Te odpowiednio rozpoznał i postanowił spożytkować Donald Tusk. Gdy pojawiły się informacje, że pan Bodnar może zająć stanowisko szefa resortu sprawiedliwości, można było mieć nadzieję, że oznacza to oczywiście zwrot, ale wykonany we względnie koncyliacyjnym, spokojnym stylu. Dość powszechna opinia o panu Bodnarze – ukształtowana w dużej mierze przez sześć lat na stanowisku RPO – była taka, że to osoba co prawda wyrazista światopoglądowo, ale w dużej mierze samodzielna i umiarkowana w działaniu. Wystarczył jednak miesiąc na stanowisku, żeby ten wizerunek całkowicie zburzyć – stąd nie pozostaje mi nic innego, jak tylko przyznanie się do pomyłki. Jak się okazuje, moja pierwotna ocena z 2015 r. jest nadal aktualna.

Symboliem ministrowania przez Adama Bodnara pozostanie na zawsze jego wypowiedź w Radiu Zet o szukaniu jakiejś podstawy prawnej dla już podjętych działań. To wyznanie politycznego bolszewika, oparte na schemacie „dajcie mi człowieka, a paragraf się znajdzie”.

Autorem tego słynnego zdania był komunistyczny prokurator Andriej Wyszynskij. Inaczej mówiąc – najpierw działamy, a potem szukamy jakichś kruczków prawnych, którymi moglibyśmy się w naszych działaniach podprzeć. Jako żywo takie postępowanie nie ma nic wspólnego z odbudowywaniem państwa prawa.

W praktyce po taki sposób sięgnął Adam Bodnar, walcząc ze swoim zastępcą, prokuratorem krajowym Dariuszem Barskim, mianowanym przez poprzednią władzę. Faktem jest, że sytuacja pana Bodnara jako z urzędu prokuratora generalnego była trudna. Poprzednia większość zmieniła prawo o prokuraturze we wrześniu 2023 r., tak że do odwołania prokuratora krajowego potrzebna jest pisemna zgoda prezydenta. Jednocześnie system podległości służbowej jest skonstruowany w taki sposób – na podstawie wspomnianej nowelizacji przepisów – że prokurator krajowy przejął wiele kompetencji prokuratora generalnego do zarządzania bieżącą pracą prokuratorów.

Jeszcze przed wyborami pojawiały się ze strony prawników sprzyjających ówczesnej opozycji opinie na temat tego, co z tą sytuacją mógłby zrobić przyszły nowy minister sprawiedliwości. Wśród nich były pomysły takie jak np. wydanie prokuratorowi krajowemu przez ministra i zarazem prokuratora generalnego zakazu podejmowania jakichkolwiek czynności. Co jednak znamienne – nie było wśród tych koncepcji tej, którą ostatecznie zastosował pan Bodnar na podstawie opinii prawnych osób powiązanych z obozem władzy. Nie było zatem mowy o tym, że miano by stwierdzić nieważność powołania pana Dariusza Barskiego z powodu rzekomo niezgodnego z prawem przywrócenia ze stanu spoczynku. W ogóle wyrażane przed wyborami opinie nie przewidywały takiego walca w prokuraturze, jaki próbuje zastosować Adam Bodnar, doprowadzając do totalnego chaosu. Prawnicy sprzyjający obecnej koalicji mówili natomiast dość często o koniecznym kompromisie z panem prezydentem, który miał służyć uchwaleniu nowego prawa o prokuraturze.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Bajką okazały się też opowieści o gotowych ustawach. Pan minister dopiero w ubie-

głym tygodniu zapowiedział rychłą prezentację jedynie założeń do nowej ustawy o prokuraturze. Założenia zaś to nie projekt ustawy. W obecnej sytuacji trudno też sobie wyobrazić, żeby te założenia mogły w jakimkolwiek stopniu uwzględniać postulaty głowy państwa i być podstawą do zawarcia w tej sprawie kompromisu.

Adam Bodnar odwołał hurtem 144 prokuratorów z terenowych delegacji – tylko dlatego, że na te delegacje zostali wysłani przez poprzednie kierownictwo ministerstwa. Owszem, do sposobu zarządzania prokuraturą przez poprzedników można było mieć wiele zastrze-

Symbolem ministrowania przez Adama Bodnara pozostanie na zawsze jego wypowiedź w Radiu Zet o szukaniu jakiejś podstawy prawnej dla już podjętych działań. To wyznanie politycznego bolszewika, oparte na schemacie „dajcie mi człowieka, a paragraf się znajdzie”

żeń, podobnie jak do biegu konkretnych postępowań. Owszem, bardzo możliwe, że jakąś część prokuratorów z delegacji należało odwołać. Tyle że z uwagi na dobro obywateli i prowadzonych postępowań należało to robić ostrożnie, przyglądając się odrębnie każdemu przypadkowi, analizując, jakie postępowania prowadzi dany prokurator, jakie są jego osiągnięcia zawodowe, czy można postawić mu jakieś uzasadnione zarzuty. To oczywiście musiałyby zająć trochę czasu. Donald Tusk najwyraźniej zgłosił inne oczekiwania.

CAŁKOWITA ULEGŁOŚĆ

Na razie mamy więc w prokuraturze narastający chaos, otwarty bunt sporej grupy prokuratorów przeciwko nowemu ministrowi i zapowiedź prokuratora krajowego, że nie zamierza odwoływać 144

prokuratorów z delegacji, jako że – zdaniem prokuratury krajowej – prokurator generalny nie ma prawa do wydania tego rodzaju polecenia. Ewentualni oskarżeni, w tym groźni przestępcy, mogą się z tego bardaku tylko cieszyć.

W sprawie panów Kamińskiego i Wąsika – aby obronić choć częściowo własną zagrożoną pozycję – pan prezydent zdecydował się użyć procedury ułaskawieniowej, uregulowanej w detalach w Kodeksie postępowania karnego, a wymagającej współpracy ze strony Ministerstwa Sprawiedliwości (a nie ponownie procedury „automatycznej”, którą wobec obu polityków zastosował za pierwszym razem). Głowa państwa zaapelowała też do MS o zarządzenie przerwy w odbywaniu kary do czasu zakończenia procedury. Odpowiedź ze strony pana ministra Bodnara był, najdelikatniej mówiąc, chłodny. Owszem, mamy tu do czynienia z zapasami między rządem a prezydentem, ale decyzja o wypuszczeniu obu panów z zakładu karnego w jakimś stopniu sprzyjałaby spadkowi napięcia. Wygląda jednak na to, że pan Bodnar postanowił kierować się logiką plemienną wojny, a nie logiką kompromisu.

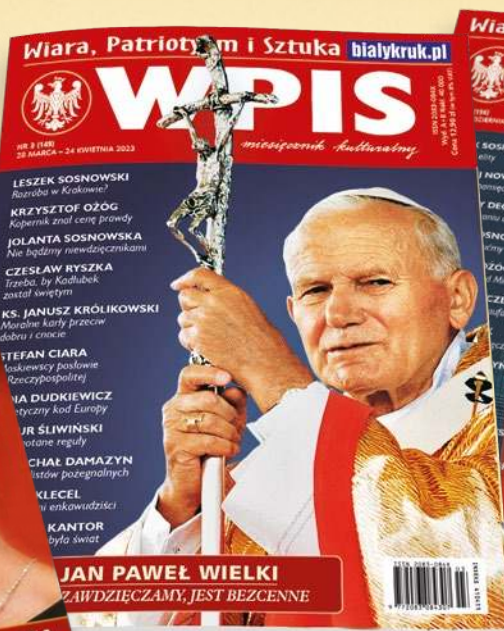
W postępowaniu Adama Bodnara uderza, że rolę człowieka od brudnej roboty, którego Donald Tusk zrzuci z wozu bez mrugnięcia okiem przy pierwszej potrzebie, przyjął na siebie prawnik, który nie musiał tego robić. Adam Bodnar miał swój dorobek i pozycję. Mógł je dalej budować jako senator i realizować w przyszłości swoje ambicje być może wolniej, ale bez tak gigantycznych strat wizerunkowych, nie nurzając się w łajnie i odstręczającej nawalance. Z Ministerstwa Sprawiedliwości po tym, co się tam obecnie dzieje, wyjdzie zaś obtłuczony i na zawsze kojarzony z modus operandi początków nowej władzy w stylu politycznej gangsterki, narzuconym przez pana premiera. Pokazuje to pana Bodnara jako człowieka całkowicie uległego, przyjmującego bez mrugnięcia okiem dyktowane mu przez dojrzałych i przebieglejszych polityków metody, a przy tym tak zżeranego ambicją, że nie jest w stanie przewidzieć fatalnych skutków tej sytuacji – nie tylko dla państwa, lecz także dla samego siebie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LISICKIEGO

**Walczymy o prawdę,
wartości chrześcijańskie, polskość
i narodową sztukę.**

PRENUMERATA NA ROK 2024



**Publikują u nas
tak znakomici autorzy,
jak m.in.:**

**106 – 124 str., 21 x 28,5 cm,
cena det. 16,90 zł**

**Tylko prenumerata gwarantuje regularność
lektury i dostawę miesięcznika prosto do domu!**

ZAPRENUMERUJ WPIS			Cena dla seniorów po 60. roku życia
1 egzemplarz razy 12 numerów w roku	(1 egz. po 14,90 zł)	179 zł	138 zł
2 egzemplarze razy 12 numerów w roku	(1 egz. po 9,60 zł)	232 zł	205 zł
3 egzemplarze razy 12 numerów w roku	(1 egz. po 8,25 zł)	297 zł	270 zł
4 egzemplarze razy 12 numerów w roku	(1 egz. po 7,20 zł)	349 zł	336 zł
5 egzemplarzy razy 12 numerów w roku	(1 egz. po 7,00 zł)	425 zł	375 zł

Dostępna jest również prenumerata w wersji elektronicznej za jedynie **59 zł**.
Zamów na stronie www.bialykruk.pl lub skontaktuj się z Wydawnictwem.



Adam Bujak



Prof. Wojciech Roszkowski



Prof. Andrzej Nowak



Jolanta Sosnowska



Prof. Wojciech Polak



Ks. prof. Waldemar Chrostowski



Leszek Długosz



Prof. Krzysztof Szczerski



Czesław Ryszka



Dr Marek Klecel



Ks. prof. Janusz Królikowski



Leszek Sosnowski

ZAMÓWIENIA: Wydawnictwo Biały Kruk, ul. Szwedzka 38, 30-324 Kraków,
tel.: 12/254 56 02, 12/254 56 04 lub e-mail: handlowy@bialykruk.pl.
Przy zamówieniu powyżej 200 zł koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

www.bialykruk.pl

Bank PeKaO S.A. II o/Kraków 68 1240 1444 1111 0000 0936 2370

Cezary Gmyz: Panie prokuratorze, na początek pytanie trudne: Kto jest w tej chwili prokuratorem krajowym?

ROBERT HERNAND: Pytanie jest banalnie proste. Prokurator Dariusz Barski bez najmniejszych wątpliwości był i pozostaje prokuratorem krajowym. Przypomnę, że Trybunał wydał w tej sprawie zabezpieczenie, które blokuje wszelkie zmiany zainicjowane przez prokuratora generalnego. W praktyce oznacza to, że do chwili ostatecznego rozstrzygnięcia sporu nic się w tej materii nie zmienia. W tej sprawie mamy do czynienia z pismem ministra sprawiedliwości prokuratora generalnego, Adama Bodnara, informującym prokuratora Barskiego o przejściu w stan spoczynku, które oparte jest na absolutnie błędnej interpretacji przepisu art. 47 Ustawy wprowadzającej Prawo o prokuraturze. Utrzymywanie, że przepis obowiązywał, ale już nie obowiązuje, nie wytrzymuje krytyki. W tej sprawie wypowiedziało się wielu wybitnych prawników, profesorów prawa, również nieprzychylnych prokuraturze kierowanej przez prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobrę. Wskazują w swoich wypowiedziach, że nie doszło do skutecznego odwołania Dariusza Barskiego, a Jacek Bilewicz nie został pełniący obowiązki prokuratorem krajowym, bo takiej funkcji w Ustawie Prawo o prokuraturze nie ma.

Prokurator generalny Adam Bodnar powinien zdawać sobie sprawę z zamieszania prawnego, które wywołał. Na pewno jacyś adwokaci mogą podjąć kwestie dotyczące chociażby przedłużenia tymczasowego aresztowania w okresie śledztwa, które przedłużał prokurator krajowy. Przecież wiadomo, że okres tymczasowego aresztowania nie może być dłuższy niż okres przedłużenia śledztwa. Gdyby decyzje o przedłużaniu śledztwa zostały uznane za wydane przez osobę niemającą do tego uprawnień,



Z Robertem Hernandem, zastępcą prokuratora generalnego rozmawia Cezary Gmyz

Niebezpieczny chaos prawny



to w istocie osoby podejrzane miałyby podstawy, by dochodzić odszkodowania za bezprawne pozbawienie wolności i musiałyby zostać wypuszczone z aresztów. A mówimy tutaj o osobach podejrzewanych o dopuszczenie się najcięższych przestępstw. To są moje obawy. Jestem zaś pewien, że gdyby tego rodzaju decyzje podejmował prokurator Jacek Bilewicz jako pełniący obowiązki prokurator krajowy, to byłyby one obarczone wadą nieważności.

Prokurator krajowy odmówił odwołania z delegacji do Prokuratury Krajowej prokuratorów ściągniętych z terenu. Jakie skutki miałyby ich odwołanie?

To oznaczałoby pełny paraliż Prokuratury Krajowej. Kompletny paraliż. Prokuratura w dużej części opiera się na osobach delegowanych. Prokuratorzy delegowani wykonują wiele istotnych działań dotyczących bieżącego funkcjonowania Prokuratury Krajowej. O katastrofalnych skutkach odwołania prokuratorów z Prokuratury Krajowej czy prokuratur regionalnych informowaliśmy w komunikatach. Prokuratorzy prowadzący poważne postępowania, np. gospodarcze, zostaliby odciągnięci od swoich spraw. Nowy referent potrzebowałby czasu na zapoznanie się z dowodami i podjęcie dalszych czynności w sprawie. W poniedziałek wysłaliśmy prokuratorowi generalnemu nasze stanowisko w tym zakresie. Wskazaliśmy,

FOT. TOMASZ UZELL/PAP

że wykonywanie kompetencji własnych prokuratora krajowego nie może stanowić przedmiotu kierowanych do niego wiążących poleceń. Niezależnie od tego wskazaliśmy na potencjalne, katastrofalne skutki decyzji o zakończeniu delegacji.

Odnoszę wrażenie, że mamy do czynienia z zagrożeniem bezpieczeństwa państwa. Co, jeżeli przestępcy nagle zaczną wychodzić z aresztów czy być może nawet z więzień zaczną wychodzić osoby już prawomocnie skazane, bo zostanie zakwestionowane prawo prokuratora krajowego do wydawania podjętych już decyzji? Mamy do czynienia z masowymi odejściami funkcjonariuszy Centralnego Biura Antykorupcyjnego, z dużymi brakami w policji. Do tej pory Polacy, co pokazują badania opinii społecznej, czuli się bezpiecznie. Czy bezpieczeństwo obywateli jest zagrożone?

To, że badania pokazują, iż Polacy do tej pory czuli się bezpiecznie, nie jest zasługą wyłączną prokuratury, ale też policji, Centralnego Biura Śledczego, Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości, CBA, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i jeszcze innych organów. Tymczasem w instytucjach tych może zapanować niepokój, bo przecież one bardzo często wykonują czynności na zlecenie prokuratury. To jest istota systemu bezpieczeństwa państwa. A te organy, które z nami współpracują, wyczuwają, że coś niedobrego się dzieje. W związku z tym ta współpraca może być zaburzona i to wpływa na bezpieczeństwo wewnętrzne. Obawiam się, że w konsekwencji może to doprowadzić do zwiększenia przestępczości i zagrożenia obywateli Polski. Ale nie tylko. Przecież prokuratura strzeże też prawidłowości wydatkowania środków europejskich, czyli interesów Unii Europejskiej. Prowadzimy wiele postępowań, w grę wchodzi ogromne kwoty. W skali Unii Europejskiej jesteśmy wiodącym krajem, jeżeli chodzi o funkcjonowanie właściwych organów prokuratury w zakresie zwalczania wszelkiej przestępczości na szkodę Unii Europejskiej.

Prokuratura Krajowa jest też zaangażowana w sprawę przejmowania mediów publicznych.

Nie nadzoruję tego postępowania przygotowawczego, ale mogę z całą stanowczością powiedzieć, że były podejmowane stosowne działania cywilnoprawne. Choćby prokuratura regionalna skierowała wnioski o niewypisywanie do KRS zmian

Prokurator generalny Adam Bodnar powinien zdawać sobie sprawę z zamieszania prawnego, które wywołał

w zakresie rady nadzorczej i zarządów spółek oraz wnioski do sądu gospodarczego o zabezpieczenie. Na skutek polecenia prokuratora generalnego prokurator krajowy był jednak zmuszony wycofać wnioski w tym zakresie. W związku z tym pytam: Dlaczego sąd nie mógł poznać stanowiska prokuratora właściwego w tym zakresie? Przecież poddajemy te kwestie ocenie sądu. Nie wstrzymujemy w żaden sposób tych konkretnych uchwał, tylko prosimy sąd, żeby zapoznał się ze stanowiskiem prokuratora i wyraził swoje stanowisko w konkretnej decyzji i orzeczeniu sądu. A przypomnę, że sądy już dwukrotnie odmówiły wpisu do rejestrów nowych władz mediów publicznych. Czyli de facto podzieliły naszą opinię wyrażoną wcześniej.

Zwykły obywatel rzadko ma do czynienia z prokuraturą. Niewiele osób wie, że rola prokuratury nie ogranicza się wyłącznie do ścigania przestępców, lecz ma wiele innych zadań, które wpływają na życie każdego.

Staramy się tę naszą działalność rzeczywiście upubliczniać, żeby prokuratura nie była postrzegana jako taki organ, który przeszkadza obywatelowi w normalnym życiu. Reagujemy konsekwentnie na wszelkie zjawiska przestępcze. Oczywiście żadna instytucja nie działa idealnie, ale staramy się swoje błędy naprawiać. Jeśli chodzi o Prokuraturę Krajową, to najważniejszym jej zadaniem jest ściganie przestępczości o charakterze zorganizowanym, przestępczości gospodarczej i finansowo-skarbowej. To novum w funkcjonowaniu prokuratury po 2016 r. Wcześniej tego typu przestępczość była ścigana niemrawo, co rozzuchwalało mafiosów oraz przestępców w białych kołnierzykach. Nawet jeśli ktoś nie był bezpośrednią ofiarą zorganizowanej grupy przestępczej czy oszustwa na wielką skalę, to i tak miało to wpływ na jego życie. Przypomnijmy, że w ciągu ostatnich ośmiu lat wpływy budżetowe wzrosły ponaddwukrotnie. Duża w tym

zasługa prokuratury, która ścigała zbrodnie VAT-owskie. Z pieniędzy, które także dzięki naszym działaniom trafiły do budżetu, były finansowane m.in. programy socjalne, takie jak „500+”. W praktyce oznacza to, że nasze działania polepszyły byt polskich rodzin. Warto też dodać, że prokuratura – dzięki narzędziom, w które ją wyposażyły władze ustawodawcze – wypowiedziała wojnę lichwie. Przed 2016 r. ogromna liczba osób traciła dorobek życia, bo pożyczyla kilkaset złotych, a jej dług rósł do kilkudziesięciu, a nawet kilkuset tysięcy złotych.

Prokuratura ma też zasługi w sprawach dotyczących np. procedury wydawania polskich dzieci za granicę. Wcześniej następowało to z automatu.

To bardzo ważne, bo pokazuje, że działamy również w interesie polskich obywateli, nie tylko stosując Kodeks karny, lecz także prawo cywilne oraz rodzinne. Wykonujemy swoje czynności w ramach konwencji haskiej, kiedy to analizujemy, czy dziecko powinno być wydane za granicę. Mieliśmy kilka poważnych przypadków, kiedy zakwestionowaliśmy wydanie dziecka, kierując się przede wszystkim jego dobrem.

Zarzucano wam, że uprzykrzacie życie samorządom.

Nie nazwałbym tego uprzykrzaniem życia, bo działaliśmy w interesie obywateli, kiedy zajmowaliśmy się uchwałami samorządowymi, które dotyczą np. rozszerzenia stref płatnego parkowania czy holowania samochodów postawionych w miejscu niedozwolonym. Kiedy stwierdziliśmy, że te opłaty są za wysokie i organy samorządu terytorialnego po prostu nakładają kolejny podatek na obywatela, to wtedy reagowaliśmy. Tak było też w kwestii przyłączy wodno-kanalizacyjnych, za które często pobierano horrendalne opłaty. Interweniowaliśmy w tej sprawie nieraz. To są działania w interesie obywatela, który najczęściej nawet nie wie, że to, iż może zatrzymać więcej pieniędzy w kieszeni, zawdzięcza prokuraturze. Przykłady mógłbym mnożyć, naprawdę jest ich bez liku.

Co dalej?

Działamy, wykonujemy bieżące czynności, służymy społeczeństwu. I mamy nadzieję, że sytuacja się uspokoi.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Semka

Być może stoimy wobec groźby stworzenia bardzo diabolicznej formy nękania przeciwników politycznych w postaci mieszania realnych represji z mechanizmem ośmieszania dysydentów przez media i wypowiadających się na ich temat celebrytek

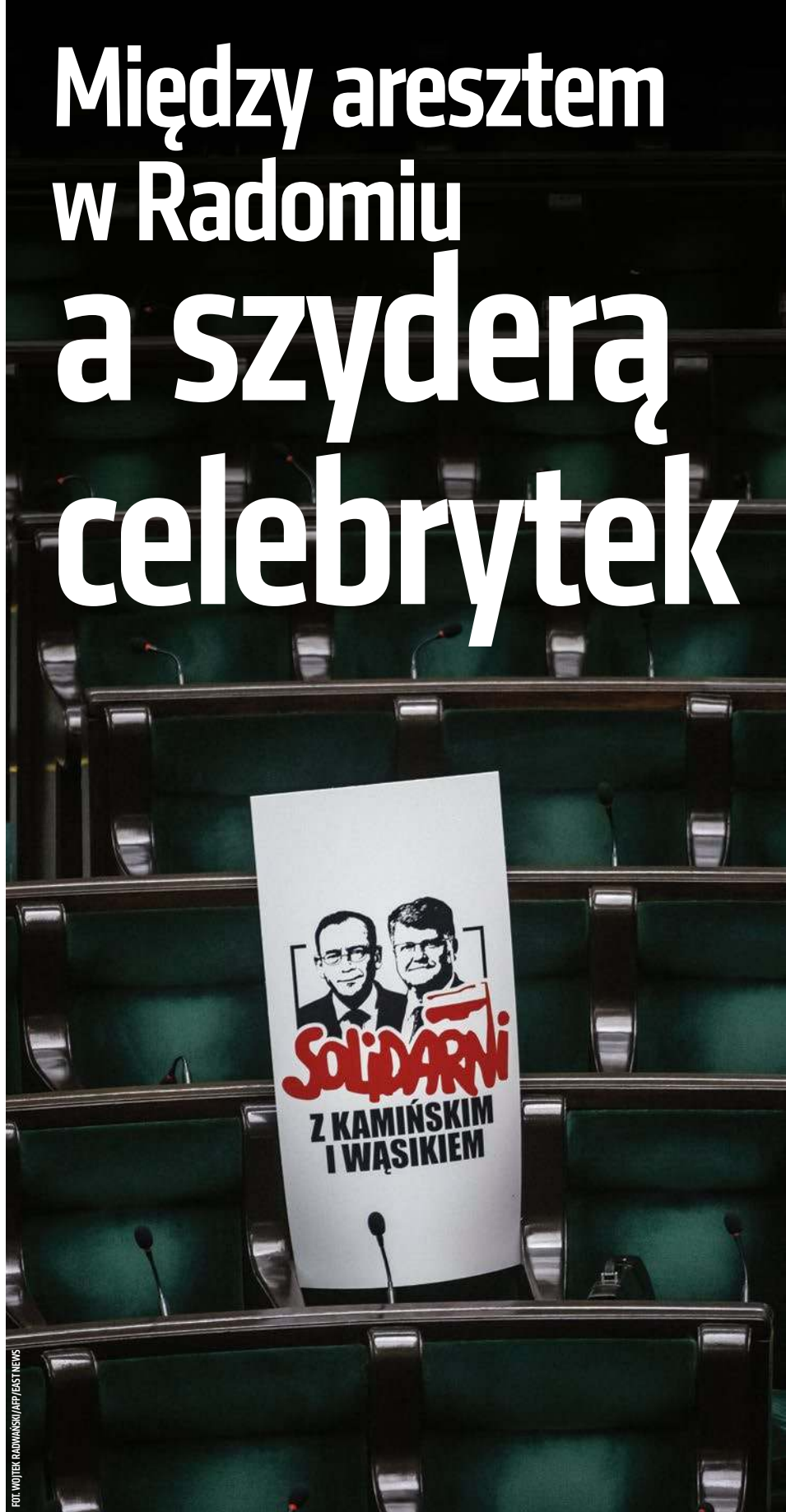
Czy Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik są więźniami politycznymi? Debata, która rozegrała się w ostatnich dniach wokół statusu dwóch aresztowanych i osadzonych w więzieniu posłów PiS, jest niezwykle ciekawa. Pokazuje, jak złożony jest przypadek dwóch twórców Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Czy ich casus pokazuje początki tworzenia się w Polsce hybrydy normalnej demokracji z państwem sięgającym po metody autorytarne?

UZURPATORZY CZY OFIARY?

Diżurny rysownik „Gazety Wyborczej”, Andrzej Milewski, postanowił rozbawić czytelników swojej gazety rysunkiem, na którym naukowiec wskazuje na tablicę z napisem: „Polityk w więzieniu nie staje się z automatu więźniem politycznym, tak jak krzesło elektryka nie jest z automatu krzesłem elektrycznym”. Ta ilustracja z „Gazety Wyborczej” dobrze pokazuje dominujący styl reakcji na mianowanie przez PiS dwóch swoich posłów „pierwszymi więźniami politycznymi po 1989 r.”. Stosunek do tej kwestii oczywiście w pierwszym rządzie wynika z sytuowania się po jednej lub drugiej stronie trwającej od dawna wojny polsko-polskiej.

Pierwszym zarzutem jest brak porównania sytuacji obecnych więźniów z osobami zamykanymi za politykę w epoce PRL. Byli opozycjoniści, np. Władysław Frasyniuk, emocjonalnie żyzymają się na takie porównanie. Padają sformułowania, że porównanie sytuacji polityków skazanych przez legalne sądy do ofiar wymiaru sprawiedliwości Polski Ludowej to nadużycie i plucie w twarz prawdziwym ofiarom systemu komunistycznego.

Między aresztem w Radomiu a szyderą celebrytek



FOT. WOJTEK RADWAŃSKI/APP/IST NEWS

Równocześnie jednak inni byli działacze opozycji antykomunistycznej, tym razem sympatyzujący z opcją niepodległościową – m.in. Bronisław Wildstein, Antoni Macierewicz, Janusz Pałubicki czy Zofia Romaszewska – napisali do ministra sprawiedliwości Adama Bodnara z żądaniem uwolnienia Wąsika i Kamińskiego. „My, niżej podpisani działacze opozycji antykomunistycznej [...], nie zgadzamy się, by w Polsce – kraju, o który walczyliśmy – łamano prawa człowieka i by pojawiali się w nim więźniowie polityczni. Nie zgadzamy się również na deptanie porządku prawnego i ignorowanie obowiązujących przepisów, jak np. prawo łaski Prezydenta RP”.

Jeszcze inne stanowisko zajmują niektórzy tzw. symetryści. W swoich felietonach ubolewają, że ostra reakcja ekipy Tuska i akcja najazdu sił policyjnych na Pałac Prezydencki były niepotrzebną eskalacją napięcia w polskiej polityce. Jednocześnie dają do zrozumienia, że za Kamińskim i Wąsikiem stoi główna partia opozycyjna i że Wąsik i Kamiński to „męczennicy na pluszowym krzyżu”. Jak piszą, można przypuszczać, że ich pobyt w więzieniu nie potrwa długo, bo nowej władzy po prostu nie opłaca się kreowanie PiS-owskich męczenników.

W tej optyce cała sprawa jawi się bardziej jako efektowny polityczny show, w którym obie strony ładują polityczne akumulatory. Jedni na kreowaniu dwóch posłów PiS na bohaterów, a inni na demonstrowaniu stanowczości nowego premiera.

Niekiedy spór zahacza o kwestie międzynarodowe. Niemiecka Deutsche Welle na swoim polskojęzycznym portalu chyba nieprzypadkowo dzień po zatrzymaniu dwóch posłów zamieściła materiał na temat ciężkich warunków pobytu rosyjskiego dysydenta Aleksego Nawalnego w syberyjskim łagrze. Głos zabrała też Światłana Cichanouska, która łamiąc zasadę niemieszania się w spory wewnętrzne kraju, który udzielił jej gościny, wyraziła opinię (być może skłoniona do tego przez kogoś z obozu PO), że w Polsce nadużywa się zwrotu „więzień polityczny”. „W świetle tego, jak w Polsce nadużywa się zwrotu więzień polityczny”, warto wiedzieć, na czym naprawdę polega takie przekleństwo. To piekło – dla tych ludzi i dla ich bliskich” – stwierdziła liderka białoruskiej opozycji w TVN24.

Cyniczne podejście do całej sprawy zaprezentował Sławomir Mentzen, lider Konfederacji, wyraźnie podkreślający, że jego ugrupowanie to reprezentacja młodego pokolenia. Mentzen lekceważąco nazwał Kamińskiego i Wąsika „starszymi panami, którzy wskutek wyroku prawomocnego sądu naturalną kolejną rzeczą trafilą za kratki”. Mentzen, podkreślając rzekomo podeszły wiek dwóch posłów, pominął to, że 59-letni Kamiński nie kojarzy się jeszcze ze starcem, a urodzony w 1969 r. Maciej Wąsik jest dwa lata młodszymi od – przykładowo – Grzegorza Brauna, którego Mentzen tym mianem nie określa.

Dwa dni później Krzysztof Bosak zmienił linię Konfederacji. W RMF24 przestrzegł: „Są tacy, którzy przyklaskują, że »o, fajnie, że ci siedzą w więzieniu« albo »o, fajnie, że platformersi jadą z pisowcami«. Przestrzegam przed takim myśleniem, bo dziś jadą z pisowcami, a jutro z nami. To jest sytuacja, w której można wszystko. Jeśli można (łamiąc prawo) wszystko, to można wszystko z każdym, nie tylko z pisowcami, ale z każdym”.

PO CZYM POZNAĆ WIĘŹNIA POLITYCZNEGO

Według Wikipedii definicja więźnia politycznego brzmi: „Osoba umieszczana w zakładzie karnym lub areszcie domowym ze względu na swoje przekonania polityczne lub poglądy. Często jest to związane z krytyką władzy, a czasami walkami w obrębie jednej partii politycznej. Czasami to pojęcie jest utożsamiane z więźniem sumienia. Zwykle w takich przypadkach dowody są fabrykowane”.

Czy Kamiński i Wąsik pasują do tej definicji? Zaczynijmy od tego, że samo utożsamienie określenia „więzień polityczny” z takimi ofiarami reżimu jak Andrzej Poczobut, trzymany w drastycznych warunkach białoruskiego więzienia, jest pewnym uproszczeniem. Można być więźniem politycznym w warunkach demokracji liberalnej, a jednocześnie być ofiarą tendencji antydemokratycznych. Taki był przypadek pastora Åke Greena, który w Szwecji trafił na krótko do więzienia z oskarżenia o szerzenie mowy nienawiści za to, że przypomniał w swoim kazaniu o potępieniu homoseksualizmu w tekstach biblijnych. Na podobnej zasadzie więźniami sumienia bywają w Ameryce działacze ruchu pro-life, skazywani na kary

więzienia za demonstracje pod klinikami aborcyjnymi mimo policyjnych i administracyjnych zakazów.

Oba te wypadki reprezentują nowe zjawiska, w których czynnikiem represji nie jest rząd czy władza państwowa, tylko wyraźne ideologiczne nastawienie sądów i sędziów. Bardzo często łączy się ono z nowymi tendencjami w prawie karnym, które przevorsowują liberalni lewicowi politycy, np. w kwestii tzw. mowy nienawiści. To ukrycie politycznego zacietrzewienia pod szacownym prestiżem sądów sprytnie wykorzystują obrońcy takich represji ubranych w szatę obrony mniejszości przed nienawiścią. Chętnie argumentują oni, że przecież dany kraj nie jest żadną dyktaturą z krwawym dyktatorem, wszechobecną służbą bezpieczeństwa i czołgami na ulicy, a ci, którzy wskazują, że tego typu wyroki pełnią rolę ukrytego niekiedy „aksamitnego totalitaryzmu”, muszą zmagać się z przekonaniem większości obywateli, że wyrok może być kontrowersyjny, ale prawo jest prawem i trzeba go przestrzegać.

Co charakterystyczne, dzisiejsze wyśmiewanie opozycyjnej tendencji do nazywania Wąsika i Kamińskiego więźniami politycznymi – jako obelgi dla prawdziwych więźniów dręczonych w białoruskich czy rosyjskich łagrach – to coś stosunkowo świeżego. Używanie określenia „pierwszy więzień polityczny” jeszcze dwa lata temu zdarzało się kontestatorom rządów Prawa i Sprawiedliwości. W lutym 2020 r. strona „Polska wolna od PiS” zareagowała na zatrzymanie do dyspozycji prokuratury Romana Giertycha gromkim hasłem: „Roman Giertych – pierwszy więzień polityczny państwa dobrej zmiany”. Wcześniej, w 2018 r., gdy Centralne Biuro Antykorupcyjne formalnie zatrzymało posła PO Stanisława Gawłowskiego w celu przesłuchania go w sprawie zarzutów korupcyjnych, reprezentujący polityka Platformy Roman Giertych ogłosił, że Gawłowski to „pierwszy więzień polityczny Jarosława Kaczyńskiego”. Co charakterystyczne, wówczas Władysław Frasyniuk nie obrażał się na nadużywanie tego określenia.

W wypadku Mariusza Kamińskiego czynnikiem, który zwraca uwagę, jest uchylenie większości zarzutów, które prokuratura postawiła przed wydaniem pierwszego wyroku. Tak naprawdę zostawiono wtedy dwa zarzuty: złamania przepisów przy produkcji pewnych

■ dokumentów, uwiarygodniających rzekomych chętnych na uzyskanie za łapówkę obietnicy, że grunty będą odrolnione, i uznanie przez sąd, że hotel nie jest miejscem publicznym (chodziło o zakaz organizowania akcji prowokacyjnej w miejscach niepublicznych). Oba czynniki, które skłoniły sąd do ostatecznego prawomocnego wyroku, były bardzo dyskusyjne i dotyczyły sporów o rozumienie pewnych zapisów, pozwalających CBA uwiarygodnić prowokację. Sama jednak operacja wobec związanych z Samoobroną urzędników nie była wykreowaniem wymyślanego przestępstwa, ale elementem próby ukarania realnego przestępczego procederu, którego istnienie potwierdził sąd w osobnym postępowaniu dotyczącym nieuczciwych urzędników.

Jeśli więc przyjrzymy, że na decyzję sądu wpłynęło uprzedzenie do rządzącej partii i że na surowość wyroku wpłynęła kampania polityczna prowadzona przez Platformę przeciwko Wąsikowi i Kamińskiemu, to ich skazanie można uznać za polityczną zemstę. Bardzo wielu więźniów uznawanych za politycznych skazywano pod pretekstami karnymi. Dlaczego tej miary nie przykładać do sprawy Wąsika i Kamińskiego?

UWIEZIĆ W BAŃCE ŚMIECHU

Osobnym, stosunkowo nowym elementem sprawy Kamińskiego i Wąsika jest bardzo znaczący wpływ opinii medialnej na stosunek do tej kwestii zwykłych Polaków. I w tej mierze kpiący stosunek do całej sprawy, który przedstawia ogromna część mediów liberalnych lewicowych, jawi się jako dodatkowy element politycznej represji. Dobrym przykładem tej nowej tendencji były kpiny takich celebrytek jak aktorka Anna Mucha czy żona aktora Macieja Stuhra – Katarzyna Błaziejewska-Stuhr, która kpiła z żony jednego z więźniów, której przydała się w jednym z wywiadów skarga, że wskutek nieobecności męża nie potrafi podnieść temperatury w domu. Jeszcze bardziej wulgarnie były pseudodowcipy kabareciarza Łukasza Rybarskiego, który kpił: „Podobno do celi pana Wójcika dokwaterowali księdza z Dąbrowy Górniczej. Chłopaki, trzymajcie się, wszystko będzie dobrze. Podobno ksiądz z Dąbrowy Górniczej wie, jak się podkręca ogrzewanie”.

O wiele bardziej złowrobną rolę przynikającą do mediów rozmaite akcenty,

zapowiadające, że obu posłom w więzieniu mogą się przytrafić nieprzyjemne przygody. Taki charakter miały nagrania z więzienia w Radomiu, na których słychać było, jak przybitego do aresztu więźnia witają wulgarne wyzwiska osadzonych już tam kryminalistów. Kto wykonał te nagrania? W jaki sposób trafiły one do mediów? Czy było to elementem nacisku służb podległych rządowi na więźnia w celu złamania jego psychiki?

A teraz sięgnijmy do wywiadu dziennikarki „Gazety Wyborczej” z Władysławem Frasyniukiem. Był opozycjonista, który lubuje się w demonstrowaniu swojej wiedzy o brutalnych prawach dżungli w zakładach karnych, w wywiadzie z 10 stycznia, komentując to, że obaj posłowie trafili najpierw do aresztu na Grochowie, który jest przeznaczony dla kobiet, mówił: „Więzienie jest kobiece; jak się kobiety zorientują, jacy elitarni goście zawitali pod ich cele, posypią się brutalne słowa na spacerniaku. Gdyby trafili na Białąłkę, nie zmrúżyliby oka przez wyzwiska lecące z zaskakująco zaskakująco. Dlatego że w normalnym zakładzie karnym nikt nie byłby im w stanie zapewnić bezpieczeństwa. Mówiąc krótko i brutalnie, nie przeżyliby tam dłużej niż jeden miesiąc”. I dalej: „A i tak, w tym kobiecym więzieniu, powinni mieć czy szeroko, szeroko otwarte”.

Można odnieść wrażenie, że Frasyniuk wręcz delektuje się wizją jakiegoś samosądu więźniów nad dwoma posłami i że takie dywagacje ukazujące się na portalu jednego z najważniejszych dzienników sprzyjających władzy Donalda Tuska są elementem groźby wobec każdego, kto może znaleźć się na kursie kolizyjnym z nową ekipą. I znów skojarzenia z losem wielu więźniów politycznych aż się nasuwa.

Ważnym elementem niszczenia ludzi sumienia w totalitarnych systemach było właśnie wystawianie ich na bezkarną przemoc ze strony więźniów kryminalnych. Tak było w sowieckich łagrach, gdzie tzw. błatni, czyli kryminaliści, wiedzieli, że mają wolną rękę ze strony służb nadzoru do pastwienia się nad więźniami politycznymi. I znów osoby, które podchodzą do sprawy Wąsika i Kamińskiego z dystansem, argumentować będą, że ryzyko fizycznej napaści na dwóch polityków PiS jest małe, gdyż Donaldowi Tuskowi zależeć będzie, aby nie robić z tych dwóch osób męczenników.

Jednak ważniejsze jest co innego. Być może stoimy wobec groźby stworzenia bardzo diabolicznej formy nękania przeciwników politycznych w postaci mieszania realnych represji z mechanizmem ośmieszania przeciwników władzy przez media i wypowiadających się na ich temat celebrytów. W tej mieszance sama akcja aresztowania dwóch posłów w Pałacu Prezydenckim to pokaz twardości, a kpiny Anny Muchy i żony Macieja Stuhra to element zamysłu niewygodnych polityków w bańce szyderstwa. Owszem, nie sposób porównywać tego z brutalnymi metodami reżimu Aleksandra Łukaszenki, ale uwięzienie kogoś w szczypcach represji karnej i budowanie gęby obciachu i pseudomęczeństwa mogą być w warunkach Polski 2024 również skuteczne i odstraszające, jak prostactwie metody białoruskiego dyktatora.

Jednocześnie pamiętać należy, że tego typu operacje są skuteczne w miarę zwiększania monopolu przekazu medialnego. Wyobraźmy sobie, że za pół roku Telewizja Republika zbankrutuje z braku reklam, a telewizja w Polsce braci Karnowskich zostanie skazana – wskutek nowych przepisów o mowie nienawiści – na serię dotkliwych kar finansowych, które podetną ekonomiczne podstawy jej działania. Czy wtedy możliwość równoprawnego informowania o niepokojących okolicznościach spraw karnych wobec polityków opozycji będzie porównywalna z siłą perswazji np. Wielkiej Trójki – neo-TVP, TVN i Polsat News?

A przecież taka, dość wygodna dla władzy dominacja medialna już zaczyna wpływać na kształt opinii publicznej. Zwolennicy tezy, że Wąsik i Kamiński nie są więźniami politycznymi, już teraz powołują się na sondaż jednej z agencji opinii publicznej, wskazujący, że 60 proc. Polaków o kryzys związany z Wąsikiem i Kamińskim obwinia Prawo i Sprawiedliwość. Dlatego w sprawie dwóch polityków – jednego pensjonariusza aresztu w Radomiu, a drugiego w Przytułach Starych – warto przyglądać się z ogromną uwagą. Obaj posłowie, prowadzący protest głodowy, będą karmieni w sposób przymusowy. Cała sprawa może się zakończyć rychłym zwolnieniem obu polityków, ale może też być początkiem niezwykle groźnej nowej tendencji ze strony rządu Donalda Tuska. Idą nowe, niepokojące czasy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Po 15 października zacząłem mówić bardziej do nowej władzy niż do starej władzy i o starej władzy.

Może to jest taka dusza prawnika, że praworządność, o której tak się gadało przez te wszystkie lata, dla nas, prawników, jest naprawdę sprawą bardzo osobistą – stwierdził prawnik prof. Marcin Matczak.

Konstytucjonalista stał się w ostatnim czasie jednym z najgłośniejszych krytyków metod, które stosuje zaprzysiężony 13 grudnia rząd. Najpierw Matczak ostrzegał przed powierzaniem edukacji Lewicy, następnie protestował przeciw wykluczaniu prawie 8 mln wyborców PiS z dyskursu, a w końcu zabrał głos w sprawie budzących ogromne wątpliwości prawne zmian w mediach publicznych oraz szeroko pojętym wymiarze sprawiedliwości. Jednak niech nikt nie ma złudzeń – prawnik z Uniwersytetu Warszawskiego nie stał się nagle zwolennikiem partii Jarosława Kaczyńskiego. Dostrzega po prostu „rympał”, który stał się ulubioną metodą rządów „koalicji 15 października”.

„Wytworzyć dualizm prawny – chaos, w którym zwyczajny człowiek nie wie, kogo słuchać – to od samego początku był cel PiS. W takiej sytuacji prawo miało przestać się liczyć – miała je zastąpić wola prezesa, do którego ludzie przychodziliby jak do Dona Corleone, zawiedzeni prawem, a on wymierzałby sprawiedliwość, głaszcząc kota” – tak Matczak krytykuje poprzedników Tuska, co nie przeszkadza mu dostrzegać zagrożenia związane z obecnym rządem. – Najbardziej lubię tekst Martina Krygiera, który jest jednym z najlepszych na świecie znawców praworządności [...]. On tam mówi o strachu, poniżeniu, szczęściu, o realizacji swoich planów. Mówi, że praworządność ma jeden cel: ograniczenie arbitralności władzy, żeby władza nie wchodziła nam do głowy, do domu, do łóżka. Żeby nie miała poczucia, że jest wszechmocna – wskazał. Według niego „praworządność redukuje strach, poniżenie, dodaje godności”. – W związku z tym po co ja mam gadać do nowej opozycji, skoro ona już tak bardzo nie zagraża ludziom w tych obszarach? A każda władza zagraża – wyjaśniał w podcaście Igora Jankego.

Jednocześnie Marcin Matczak kreśli dość oczywisty scenariusz, w którym rząd Tuska, by zrealizować swoje cele, nie musi

Zawiedzeni Tuskiem



Zuzanna Dąbrowska

Pierwszy miesiąc po przejściu władzy nie był dla rządu Donalda Tuska miesiącem miodowym. Podnosi się coraz więcej głosów krytyki. Zarówno ze strony osób zaskoczonych nadmiernym radykalizmem działań, jak i zawiedzionych jego brakiem

przekraczać prawa: „Być może do usunięcia dualizmu prawnego trzeba będzie poczekać, aż Andrzej Duda opuści Pałac Prezydencki”. Symetryzowanie prawnika nie spodobało się najbardziej twardogłowym przedstawicielom obozu władzy, z Romanem Giertychem na czele.

MAKIAWELICZNY PLAN

Bezprawny sposób działania koalicji dostrzega też prof. Antoni Dudek. Ten sam, który wielokrotnie nie szczędził (i nadal nie szczędzi) gorzkich słów pod adresem PiS. Politolog z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego zauważa jednak, że „nie można zaczynać naprawy państwa od stosowania metod, które są w istocie rzeczy kompletnie niezgodne z konstytucją”. – Jeśli ktoś od 15 października robi sobie jaja z polskiej konstytucji, to jest to ekipa Donalda Tuska – ocenił w rozmowie z WP. Dudek przekonuje, że „w Polsce szerzy się okultyzm konstytucyjny”. – Słyszę z przerażeniem różnych prawników, którzy nie mają argumentu na usprawiedliwienie działań kordonowej koalicji w sprawie TVP i paru innych. Gdy litera prawa nie pozwala, to duch

konstytucji już pozwala – zauważa, zastrzegając, że media publiczne nie mogą być „szczujnią”.

Bezprecedensowa akcja zatrzymania w Pałacu Prezydenckim Mariusza Kamińskiego oraz Macieja Wąsika wywołała falę krytyki pod adresem Donalda Tuska (choć zwolennicy rządu są zachwyceni). Obóz Zjednoczonej Prawicy oskarża władzę o uczynienie z byłych ministrów więźniów politycznych. Pojawiają się też głosy nie tyle wskazujące na „krystaliczność” byłych ministrów, ile podważające sposób przeprowadzania zatrzymania. Były dyplomata Witold Jurasz, któremu w większości kwestii z PiS nie po drodze, zauważył, że partia Jarosława Kaczyńskiego czekała na swoich „męczenników”. „Można oczywiście uznać, że nowe władze realizują jakiś makiaweliczny plan, którego istotą jest to, by działając równocześnie »na odlew«, co i bez planu, doprowadzić PiS do chaosu i takiej, mającej skądinąd już miejsce, radykalizacji, że partia ta będzie sprawiać wrażenie zbieraniny szaleńców, ale w istnienie makiawelicznego planu coraz trudniej uwierzyć. Coraz częściej można bowiem odnieść

■ wrażenie, że oto realizowany jest plan olsenowy. Tyle że jeśli polska polityka miałaby stać się polem bitwy szaleńców i Gangu Olsena, to pozostaje już tylko liczyć, że wujek z Ameryki o nas zadba” – przekonuje Jurasz.

Publicysta w ostry sposób skomentował też postawę ministra sprawiedliwości Adama Bodnara w kontekście relacji z USA. – Cieszę się, że pan ambasador Mark Brzezinski pozytywnie ocenia działania resortu prowadzące do przywrócenia w Polsce praworządności – przekazał szef MS. „Tradycyjnie ambasadorowie powinni unikać oceny spraw wewnętrznych w kraju przyjmującym. Powyższa, nieco konserwatywna zasada dyplomacji uległa w ostatnich latach daleko idącej modyfikacji i współcześnie ambasadorowie pozwalają sobie na wypowiedzi, które jeszcze kilkanaście lat temu można byłoby uznać za niestosowne. Tym, co nie uległo jednak zmianie, a czego najwyraźniej nie rozumie minister Bodnar, jest to, że członek rządu szanującego się państwa nie ma prawa publicznie »cieszyć się«, gdy pochwali go ambasador innego kraju” – przekonuje były dyplomata.

„Być może dobrze byłoby, aby zasady relacji z ambasadorami ministrowi Bodnarowi wytłumaczył minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski, który kilka lat temu trafnie zwrócił uwagę na nadmierną skłonność polskich polityków do – jak się wyraził – »robienia łaski« Stanom Zjednoczonym” – stwierdza Witold Jurasz, nawiązując do niesławnych słów Radosława Sikorskiego. Problemem jest więc nie tylko radykalizm metod rządu Tuska, lecz także radykalna uległość wobec partnerów zagranicznych.

GDY POLITYK DZWONI DO DZIENNIKARZA

TVP w nowej odsłonie miała być – zgodnie ze słowami prezentera „19:30” Marka Czyża – czystą wodą. Widzowie mieli dostawać „fotografię”, a nie „obraz” świata. Poznać różne opinie na ten sam temat, aby móc samemu wyrobić własne zdanie. Czy tak się stało? Dowodem na to, że nie, mogą być słowa określającego się jako „wróg PiS” Waldemara Kuczyńskiego. „Oglądam program o CPK w TVP Info i oburza mnie sposób jego prowadzenia. Na łączach jest ważny ekspert, życzliwy koncepcji CPK, któremu prowadzący

– Jeśli ktoś od 15 października robi sobie jaja z polskiej konstytucji, to jest to ekipa Donalda Tuska – ocenił politolog prof. Antoni Dudek FOT. P. WODZYŃSKI/EAST NEWS



urwał wypowiedź w kluczowym momencie, jakby celowo. Program nie wygląda na obiektywną analizę problemu” – zauważył ekonomista. „Jestem nie przeciwnikiem, lecz wrogiem PiS, nie mam cienia zaufania do ich słów. Widzę w ich zadęciach, także gospodarczych, nacjonalistyczną hucpę. Patrzę na CPK nieufnie, ale nie skrajnie” – dodaje Kuczyński.

Ciekawa recenzja tego, jak wygląda „nowa” TVP, pochodzi od dziennikarzy bynajmniej niepochovalających działania mediów publicznych za poprzedniej władzy. – Z prawie wszystkich naszych redakcji nowa TVP próbowała podebrać i podebrała ludzi. Proponowali bardzo duże pieniądze – często stawki, które nie mają wiele wspólnego z sytuacją rynkową – mówił w grudniu Bartosz Węglarczyk, redaktor naczelny Onetu. – Czy to nie jest tak, że nowa władza zobaczyła, że TVP jako narzędzie propagandowe działa, i uznała, że trzeba to zachować po prostu? – pytał.

Z kolei Magdalena Rigamonti wprost przyznała, że po prostu zmieniała się opcja polityczna, która chce wpływać na przekaz mediów publicznych. – W Onecie ma się ukazać wywiad z Januszem Zaorskim, który był prezesem radia i telewizji w latach 1992–1993. Każdy minister chciał mieć wtedy swój program. Niewiele się zmieniło. Politycy decydowali przez osiem lat, jak wyglądała TVP, i mam wrażenie, że będą decydować też teraz – wskazała dziennikarka. Rigamonti ujawniła, że do pracowników „wyciąganych z mediów prywatnych nie dzwonili koledzy dziennikarze, tylko konkretni politycy”. Mieli oni oferować „robienie wolnych mediów”. – Jeśli polityk dzwoni do dziennikarza, powinny nam się zapalić czerwone światła, bo to znaczy, że oni nie planują robić wolnych mediów, tylko rządowe media, i to jest strach, o tym powinniśmy mówić – podsumowała dziennikarka Onetu.

Wicenaczelny portalu Andrzej Stankiewicz zaznacza, że „to, co było, było strasznym łajnem”, jednak przejęcie mediów mogło wyglądać inaczej. – Wyda mi się, że można to było zrobić bez tych gorszących scen, bez tych przepychanek i protestów – powiedział. – Jeżeli widzę, że jest dzień, w którym jest jedna uchwała głosowana i dotyczy TVP, a jak dochodzi do głosowania i nie ma całego klubu PiS, to ja wiem, gdzie oni są. Minister Sien-

Obok bierności w sprawie aborcji lewa strona opinii publicznej wykazuje zawód związany z migracją

kiewicz nie wiedział, gdzie oni pojadą w momencie głosowania uchwały? Sądzę, że właściciel, a jest nim minister kultury, może wejść do takich mediów, kiedy chce. Mógł to zrobić przed przegłosowaniem uchwały, po jej przegłosowaniu miałby tam swoich ludzi. Ale on jest najmądrzejszy na świecie – dodał. Według Stankiewicza przejęcie TVP „zostało zrobione w sposób bardzo konfrontacyjny”. – Obrazki z tych przepychanek, akurat włączyłem TVP Info w momencie, kiedy sygnał był wyłączony. Czy to jest normalne? Nowa ekipa miała swoich ludzi wewnątrz starej ekipy, jakichś renegatów, którzy pomogli wejść, otworzyli bramki. Błagam, błagam, to jest straszne – podsumował dziennikarz.

W obiektywizm „nowej” TVP nie wierzy też były gwiazdor TVN Filip Chajzer. – Nie lubię skrajności. Tak jak nie podobała mi się ta dotychczasowa skrajność, to liczyłem na równowagę. Że będzie normalnie, fajnie. Tymczasem dostałem skrajność w drugą stronę, co mi się nie podoba. Jedni byli tacy, a drudzy postanowili się zemścić. Oglądałem „Fakty” i „Wiadomości”, żeby na koniec wyciągnąć sobie coś, co ja uważam. Teraz, obawiam się, dostanę dwa razy „Fakty” – stwierdził gorzko.

WIĘCEJ RADYKALIZMU

Po drugiej stronie zawiedzionych radykalnym przechyłem nowej władzy są ci, którzy oczekują więcej radykalizmu. Jednym z najbardziej jaskrawych przykładów jest kwestia aborcji. Szefowa proaborcyjnej organizacji FEDERA zaapelowała do premiera Donalda Tuska w sprawie liberalizacji przepisów. „Cieszy nas, że w kampanii wyborczej ważnym zobowiązaniem Pana Premiera było zagwarantowanie dostępu do aborcji w ramach krajowego systemu ochrony zdrowia. Ale, Panie Premierze, obietnice już słyszałyśmy, czas na to, by władza dotrzymała słowa” – napisała Krystyna Kacpura. Działaczka

wytyka, że „mija 31 lat od wejścia w życie ustawy ograniczającej dostęp do aborcji w Polsce”. „To niechlubna rocznica, która przypomina kobietom, że prawo do decydowania o naszym ciele i życiu zostało nam odebrane odgórną decyzją polskiego Sejmu. Nie bez powodu ustawa postrzegana jest przez społeczeństwo jako ustawa antyaborcyjna” – zauważa. I dodaje, że „kobiety mieszkające w Polsce muszą mieć gwarantowany systemowo dostęp do bezpiecznej, legalnej i darmowej aborcji”. Rzecz jasna, najlepiej natychmiast.

Obok bierności w sprawie aborcji lewa strona opinii publicznej wykazuje zawód związany z migracją. Spodziewano się, że rząd pod wodzą PO wcieli w życie naiwne i niebezpieczne dla państwa postulaty wyrażone w „Zielonej granicy” Agnieszki Holland. Tymczasem – jak zapowiedział Maciej Duszczyk, podsekretarz stanu w MSWiA odpowiedzialny za politykę migracyjną – pushbacki nadal będą realizowane. Wiceminister zaznacza, że bezpieczeństwo Polski to priorytet. „Wydaje mi się, że nowa władza próbuje zmiekczyć nieco przekaz odnośnie do granicy polsko-białoruskiej, np. używając słowa „zawracanie”, a nie „pushback”. Dowodem na pewną zmianę podejścia jest także to, że – jak ostatnio informowaliśmy – Straż Graniczna uznała po raz pierwszy nasze odwołanie na nielegalny pushback i przyznała, że odbył się niezgodnie z prawem. To nowość. Tym bardziej jednak trzeba patrzeć na ręce nowego rządu, żeby nas ten zmiekczony przekaz nie zmylił” – alarmuje Marta Górczyńska, prawniczka z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

Bardziej zdecydowanych działań domaga się od rządu Tuska także m.in. Magdalena Chrzonowicz, wicenaczelna OKO.press. „Donald Tusk przyznaje, że pushbacki są nielegalne, ale priorytetem rządu jest obrona granicy. »Mówię ogólnie, ale rozumiecie moje intencje«. Tak, rozumiemy: rząd nie zakazuje pushbacków. Co najwyżej ograniczy się do instrukcji dla SG, by oszczędzała najłabszych. To za mało. Organizacje pozarządowe i humanitarne miały nadzieję, że po zmianie władzy zezwolenie na wywózki w polskim prawie (bo w międzynarodowym nadal pozostają nielegalne) zostanie cofnięte. Apelowaliśmy też o to wielokrotnie Rzecznik Praw Obywatelskich” – zaznacza Chrzonowicz.

Jeśli – jak sądzą niektórzy komentatorzy – celebra w pięciolecie śmierci Pawła Adamowicza, której centralną część stanowił uliczny wiec, miała być odpowiedzią na marsz PiS w Warszawie, to PO poniosło oczywistą klęskę. Wydaje się jednak, że nie chodziło tu o ściągnięcie porównywalnej z marszem publiczności (choć z całą pewnością organizatorzy liczyli na większą frekwencję). Nie chodziło też tym razem, jak w dotychczasowej pięcioletniej grze trumną prezydenta Gdańska, tylko o kreowanie partyjnego, męczeńskiego kultu, symetrycznego do PiS-owskiego kultu Lecha Kaczyńskiego i „poległych pod Smoleńskiem” – choć oczywiście PO nadal chce mieć „swojego” męczennika i „swoją Smoleńsk”. Teraz jednak, przede wszystkim, chodziło o to, by pamiętać o Adamowiczu zaprzęcając do bardzo konkretnej propagandowej roboty, nader brudnej – jego śmierć ma uzasadniać i uwznioślać próbę brutalnego rozprawienia się przez Tuski „państwo prawa tak, jak my je rozumiemy” z wolnością słowa.

„Pawle, przyrzekam tobie, że nie spoczniemy, dopóki nie będziemy pewni, że Polska, że polski naród, będą wolne od pogardy i nienawiści, że już nigdy złe słowo nie zabije żadnego uczciwego człowieka. Przyrzekamy!” – wołał ze sceny Tusk, a w newsach i komentarzach wiernych mu mediów w nieskończoność wbijano Polakom w głowy kłamliwą opowieść o „politycznej nienawiści” i „nagonce medialnej”, które „zabiły” samorządowca, opowieść wielokrotnie niezbitą zdementowaną, ale powtarzaną wciąż z tym samym uporem, co bzdury o TW „Balbina”, „maybachu o. Rydzyka” czy archetypiczna dla gatunku, antysemitka brednia o „czterech tysiącach Żydów, których uprzedzono, żeby 11 września nie przychodzili do pracy w World Trade Center”. Tym razem powtarzana w połączeniu z zapowiedzią Krzysztofa Śmiszka, mianowanego niedawno wiceministrem sprawiedliwości, wprowadzenia do prawa „mowy nienawiści” jako przestępstwa ściganego z urzędu i zagrożonego wysoką karą.

POLITYCZNA HUCPA

Pawła Adamowicza – trzebaż to, w obliczu zgodnego kłamstwa rządzących i ich mediów powtarzać po raz kolejny? – nie zabiła żadna „medialna nagonka”. Oczywiście Adamowicz był atakowany za

Święty Adamowicz, patron cenzury



Rafał A. Ziemkiewicz

Sfalsyfikowana legenda Pawła Adamowicza jako „męczennika tolerancji” potrzebna jest obecnej koalicji rządzącej do przeprowadzenia projektu penalizacji „mowy nienawiści”, którego nie sposób uzasadnić żadnymi argumentami merytorycznymi



FOT. KAROL MAKURAT/REPORTER

swe nieporadne próby wyjaśnienia, w jaki sposób zgromadził na stanowisku prezydenta miasta tak ogromny majątek i skąd wziął pieniądze na zakup kilkunastu mieszkań – tego wyjaśnienia zresztą Polacy nigdy się nie doczekali, bo chyba nawet najbardziej zakuci wyznawcy Tuska nie uwierzyli w opowiedzianą ostatecznie przez wdowę bajeczkę o walizce pełnej dolarów i kosztowności, którą dziadek Adamowicz miał przywieźć z robót przymusowych w III Rzeszy. W tej krytyce wiodły zresztą bynajmniej nie media, które można by nazwać sympatyzującymi z PiS, ale TVN24, Onet, „Newsweek” etc., ponieważ do chwili swej śmierci Adamowicz był dla PO zdrajcą, który samowolnie wystartował przeciwko wskazanemu przez nią Jarosławowi Wałęsie.

Niemniej nie ma żadnych przesłanek, które by wskazywały na jakikolwiek wpływ ten medialny krytyki na mordercę, co jednoznacznie i bardzo wyraźnie stwierdził sąd w uzasadnieniu wyroku. Stefan Wilmont ani razu nie wskazywał na polityczne motywacje swego czynu – w przeciwieństwie np. do Ryszarda Cyby, otwarcie chwalcącego się, że „chciał zabić Kaczyńskiego, tylko nóż miał za mały”, więc zadowolony się zamordowaniem przypadkowego pracownika biura poselskiego PiS, Marka Rosiaka. Gdyby inicjatorom i wykonawcom kampanii „przeciwko nienawiści, która zabija” nie chodziło o partyjną hucpę, a naprawdę o przestrożę, symbolem powinien stać się właśnie śp. Rosiak, względnie warszawski tramwajarz śp. Paweł Kulczak, zaszytletowany przez pijanego chuligana za zwrócenie mu uwagi, by przestał ubliżać uczestnikom „miesiecznicy smoleńskiej”.

Jeśli szukać winnych śmierci Adamowicza, to poza samym zbrodniarzem, który ubzdurzał sobie, że to właśnie Adamowicz wtrącił go, w jego przekonaniu niewinnie, do więzienia, można wskazać policję, która zignorowała ostrzeżenia matki agresora o planowanym ataku, a przede wszystkim Jerzego Owsiaka, którego notoryczna pogarda dla elementarnych zasad bezpieczeństwa podczas organizowania imprez masowych stworzyła Wilmontowi doskonałe warunki do morderstwa; może też tabloidowe ataki, kierowane wtedy głównie na polityków PiS, za korzystanie przez nich z ochrony, jakby był to jakiś bizantyjski przepych, a nie powszechnie rozumiana na świecie konieczność.

Wywijający trumną Adamowicza politykierzy i propagandyści milczą o tym, że prezydent Gdańska żyłby, gdyby miał przy sobie choćby jednego ochroniarza i gdyby gdański finał WOŚP w 2019 r. został zabezpieczony zgodnie z przepisami – stworzyli natomiast już zupełnie niemające nic wspólnego z rzeczywistością kłamstwo, jakoby przyczyną tego „hejtu”, który doprowadzić miał do śmierci prezydenta, były nie jego, nieuprzejmie mówiąc, domniemane przekręty finansowe, tylko jego otwartość na środowiska LGBT, „inkluzywność” i inne „wokeistowskie” cnoty, które miał jakoby krzewić, budząc tym wściekłość ciemnej i „wykluczającej” części Polaków, której polityczną emanacją jest PiS. To kłamstwo upowszechniła w zachodnich mediach i wciąż krzewi ze szczególną zjadłością Anne Applebaum, żona Radosława Sikorskiego.

PO CO IM TEN FALSYFIKAT?

Tak sfalsyfikowana legenda „męczennika tolerancji” potrzebna jest obecnej koalicji rządzącej do przeprowadzenia penalizacyjnego projektu, który zapowiedział Krzysztof Śmiszek. Jest potrzebna do wzbudzenia tego, co brytyjski socjolog nazwał swego czasu „moralną paniką”, wedle klasycznego mechanizmu wymuszania za jej pomocą akceptacji dla działań sprzecznych ze zdrowym rozsądkiem. Projektu penalizacji „mowy nienawiści” nie sposób uzasadnić żadnymi argumentami merytorycznymi. Nie ma żadnych statystyk, które pozwalałyby stwierdzić, jakoby „mowa nienawiści” wobec „chronionych mniejszości” (gdźż o to właśnie chodzi w projekcie – bynajmniej nie o szerzenie nienawiści, np. wobec katolików czy jakkolwiek rozumianej „prawicy”) stanowiła istotnie jakiś społeczny problem; pojedyncze przypadki, które w ostatnich latach nagłaśniały lewicowo-liberalne media dla uzasadnienia takiej tezy, niemal za każdym razem okazywały się sfalszowane i w istocie niemające nic wspólnego z rzekomą „orientacją seksualną” ofiar agresji czy nękania.

Nie ma też przede wszystkim żadnych przesłanek, by twierdzić, że do walki z agresją słowną, pomówieniami, nękaniami czy nawoływaniem do agresji potrzebne są jakieś dodatkowe narzędzia. Istnieje procedura cywilna, pozwalająca

skutecznie chronić tzw. dobra osobiste – jeśli ta ochrona przed pomówieniem czy zniesławieniem nie działa tak skutecznie, jak powinna – jest to skutek ułomności i niewydolności sądów, a nie wadliwej konstrukcji przepisów. Istnieją też artykuły 216 i 212 Kodeksu karnego; skądinąd ten ostatni w oczywisty sposób sprzeczny jest z europejskimi standardami prawnych gwarancji dla wolności słowa, co wielokrotnie w swych orzeczeniach stwierdzał ETPC, przyznając skazanym z niego wysokie odszkodowania od państwa polskiego, i jako taki powszechnie, od lewa do prawa, krytykowany. Praktycznie wszystkie siły polityczne przy różnych okazjach zapowiadają jego zniesienie, ale stanowi on tak poręczny dla władzy i dla „kasty” narzędzie wywoływania „efektu mroźnego”, że od 30 lat kończy się na zapowiedziach. Istnieje też w Kodeksie karnym – często nadużywany – artykuł 256, przewidujący wysokie kary za nawoływanie do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych i wyznaniowych.

ZWYKŁA PODŁOŚĆ

To naprawdę aż nadto wystarczające instrumentarium, żeby sprawnie funkcjonujący wymiar sprawiedliwości chronił obywatela przed nienawiścią, w jakimkolwiek sposób byłaby ona motywowana. Tworzenie nowych przepisów, odwołujących się do niezdefiniowanego, niejasnego pojęcia „mowa nienawiści”, nie może tu niczego poprawić – może tylko dać nieuczciwej władzy możliwość terroryzowania mediów i osób fizycznych, zastraszania krytyków i cenzurowania nieżyczliwych sobie mediów. Wystarczy się przyjrzeć jakie są skutki funkcjonowania analogicznych zapisów w krajach zachodnich, gdzie pojawiły się one kilka lat temu i doprowadziły do licznych nieprawości, mozołnie „odkręcanych” po latach w długotrwałych postępowaniach odwoławczych (dobrym źródłem wiedzy na ten temat jest m.in. internetowe archiwum brytyjskiej organizacji Free Speech Union).

Sam pomysł dopisywania do Kodeksu karnego „mowy nienawiści” jest fatalny – a motywowanie go kreowaniem kłamliwego kultu Pawła Adamowicza jako męczennika „zabitego złym słowem” zwykłą podłością. Kolejną wśród wielu, których dopuszcza się lub które zapowiada obóz lewicowo-liberalny. © Wszelkie prawa zastrzeżone

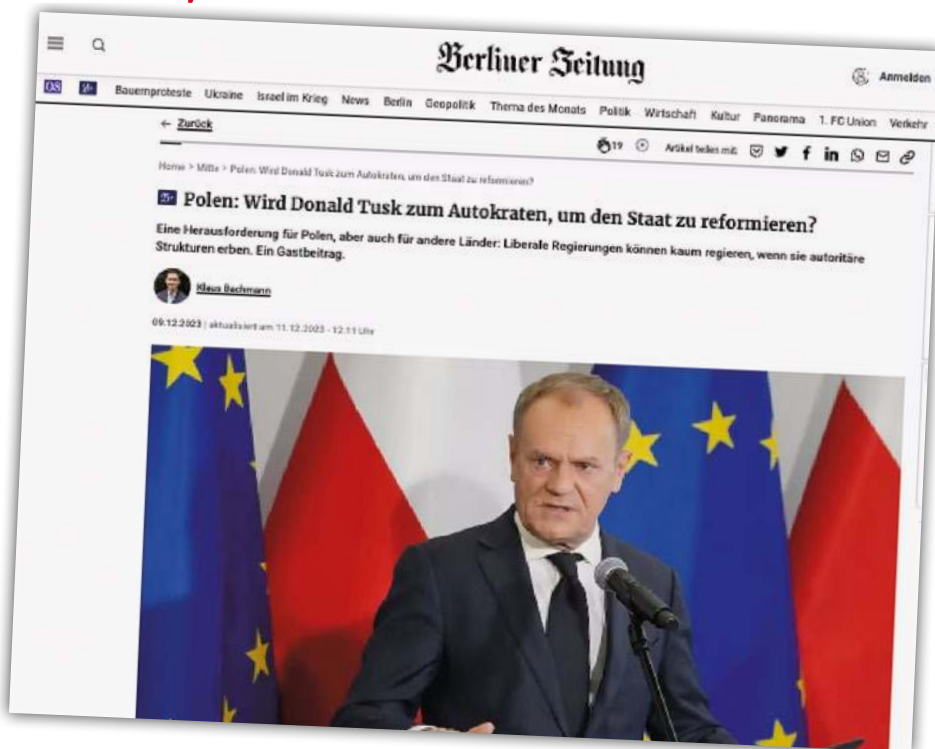
Informacje, a zwłaszcza komentarze polityczne, na temat Polski ukazują się w niemieckiej telewizji, radiu czy prasie zazwyczaj z pewnym opóźnieniem. Dla jednych jest to wyraz troski i efekt zastanowienia ze strony dziennikarzy, owoc ich przemyśleń i rozważań. Zdaniem drugich przyczyna jest bardziej prozaiczna – treść informacji czy temat komentarza muszą być uzgadniane na najwyższym szczeblu, np. podczas tzw. briefingu prasowych u kanclerza Niemiec (z całą pewnością miały one miejsce za regencji Angeli Merkel, co wywołało wówczas skandal). Jeszcze inni uważają, że dziennikarze czekają na depesze agencji prasowych, które następnie – skrócone i przyozdobione własnym tytułem – trafiają na antenę lub do druku.

Jeśli chodzi o sprawy polskie, to niektórzy niemieccy dziennikarze mieszkają w Polsce, względnie – jak każdy wytrawny korespondent – mają swych informatorów w Warszawie. Oczywiście dla lewicowych niemieckich mediów są to pracownicy lewicowych polskich gazet czy redaktorzy radia i telewizji. Często też (może ze względów bezpieczeństwa) informację czy komentarz pisze wprost autor zaprzyjaźnionej gazety z Polski; takich przypadków jest więcej, niż mogłoby się wydawać.

SOWIECKIE ZWYCZAJE

Są też wyjątki. Do nich należy Klaus Bachmann. O nim można powiedzieć – warszawiak. Polska to jego ojczyzna z wyboru, a stołeczna „Berliner Zeitung” to jego gazeta z wyboru. Bachmann to człowiek światowy, wykształcony, czytany i piszący dużo (m.in. dla „Polityki” i „Gazety Wyborczej”), a także nauczyciel akademicki w Polsce. W 2013 r. prezydent Bronisław Komorowski nadał mu tytuł naukowy profesora.

Jego artykuł, opublikowany na łamach „Berliner Zeitung” 9 grudnia 2023 r. pod bardzo wymownym tytułem „Czy Donald Tusk stanie się autokratą, by zreformować państwo”, trafi do podreczników historii. Taka publikacja w takim terminie to nie przypadek, to żaden zbieg okoliczności. To zdecydowana i precyzyjna operacja frontowa w walce ideologicznej w rządzonej przez lewicę Unii Europejskiej. Artykuł ten to w istocie doktryna Bachmanna – Tuska, opisująca sposób



„Nowej Europy nic nie zwycięży”



Jan Bogatko z Berlina

Od 13 grudnia 2023 r., kiedy to w Polsce powstała nowa koalicja rządząca Donalda Tuska z udziałem partii politycznych, które przegrały wybory parlamentarne 15 października 2023 r., życie polityczne toczy się między Bugiem a Odrą i Nysą w tempie szybkim jak nigdy dotąd. Niemieckie media – wyłącznie liberalne i lewicowe, bo innych w zasadzie tu brak – nie dają sobie najwidoczniej rady ze śledzeniem sytuacji u wschodniego sąsiada

działania premiera rządu polskiego dla realizacji potrzeb i celów Unii Europejskiej z pominięciem celów i potrzeb Rzeczypospolitej Polskiej, bo przecież one mają służyć budowie superpaństwa. Nie pierwszy to zresztą projekt tego typu na naszym kontynencie. Nie pierwszy też, który nie liczy się z prawem stojącym na drodze realizacji rewolucyjnych planów.

Historycznych przykładów mamy multum. Jak choćby sowiecki dekret (taki rodzaj „uchwały”) o sądach z 1918 r. Zgodnie z regułą praworządności socjalistycznej odrzucał on zasadę przestrzegania przedrewolucyjnego prawa: „Sądy lokalne orzekają w imieniu Republiki Rosyjskiej i kierują się w swych postanowieniach i wyrokach ustawami

obalonych rządów tylko o tyle, o ile nie zostały one zniesione przez rewolucję oraz nie sprzeciwiają się rewolucyjnemu sumieniu i rewolucyjnej świadomości prawnej”. To ówczesny odpowiednik prawa, „jak my je rozumiemy”. Do cytowanego wyżej przepisu odniósł się Lenin, precyzując odrębną poprawką, jakie to przepisy uważa się za zniesione.

Współautor doktryny Bachmanna – Tuska pisze na łamach „Berliner Zeitung”: „To, co odróżnia demokrację od dyktatury, to są instytucje, które dbają o to, by państwo nie mogło arbitralnie uderzać w obywateli i przypominać rządowi i parlamentowi, kiedy przekraczają one swe kompetencje. To jest dzisiaj w Polsce niemożliwe. Teraz nad Wisłą rozpoczyna się wyjątkowy raczej w skali światowej eksperyment, który może stać się drogowskazem dla wielu innych państw: demokratycznie wybrana koalicja partii demokratycznych [do tych demokratycznych partii Bachmann zalicza spadkobierczynię PZPR w koalicji przegranych Tuska – przyp. J.B.], która stara się niedemokratycznymi środkami przywrócić demokrację w kraju”.

W POLSCE, CZYLI NIGDZIE?

Należy zwrócić uwagę, że Bachmann pisze o wyjątkowym w skali światowej „eksperymentcie Tuska” w czasie teraźniejszym... 9 grudnia 2023 r., to znaczy zanim powstał rząd Tuska. Daje to wiele do myślenia. Czyim pomysłem jest rewolucja leninowska nad Wisłą? Bachmanna, a może Webera? Samego Tuska? Lewicowego Parlamentu Europejskiego? Mediów z socjalistycznych, niemieckich landów? O polowaniu na czarownice w Polsce Tuska niemieckie media nie piszą. A jeśli w ogóle, to przedstawiają je w duchu doktryny Bachmanna – Tuska. Przykład: aresztowanie w Pałacu Prezydenckim w Warszawie. Jedna z niemieckich gazet donosi wielkimi literami: „Policja ujmuje polityków PiS po ucieczce do Pałacu Prezydenckiego”. Informację tę podały niemieckie gazety z dodatkiem: „bezpośrednio z kanału wiadomości dpa”. Cały ten przekłamany do cna „artykuł” to depesza dpa-infcom, dpa:240109-99-545473/5. Niemiecki czytelnik, niemający pojęcia o tym, co dzieje się w Polsce, dowiaduje się, że dwóch przestępców uciekło przed

policją, i zaskoczeni Polacy dowiedzieli się z platformy X, że nagle oto są oni w Pałacu Prezydenckim, gdzie policja wieczorem ich zatrzymuje.

Ani słowa o tym, że „przestępcy” to posłowie na Sejm. Ani słowa, że zostali zaproszeni przez prezydenta. Ani słowa o tym, że mają immunitet taki sam, jak deputowani do Bundestagu. Ani słowa o tym, że Pałac Prezydencki w Warszawie jest zamknięty dla policji, tak jak Pałac Prezydencki w Berlinie. W Polsce, czyli nigdzie? („Ubu Król, czyli Polacy”, Alfred Jarry). Depesza dpa zamieszcza apel Tuska do prezydenta, sugerujący, że Duda (a w polskiej konstytucji zajmuje on wyższą pozycję niż w niemieckiej ustawie zasadniczej prezydent wobec kanclerza) ma się słuchać Tuska: „Pan musi skończyć ten spektakl. Doprowadzi on nas do niebezpiecznej sytuacji”.

Gazety informują, że Tusk grozi prezydentowi, cytując Kodeks karny. Populistyczny polityk z Gdańska w przeciwieństwie do konsumenta niemieckiej prasy wie, że to czcze pogrożki. Prezydent Rzeczypospolitej może być postawiony w stan oskarżenia uchwałą Zgromadzenia Narodowego, podjętą większością co najmniej 2/3 głosów ustawowej liczby członków Zgromadzenia Narodowego. Dla osiągnięcia celu (postawienie Dudy przed Trybunałem Stanu) Tusk musiałby kazać aresztować jeszcze wielu posłów opozycji.

CZERWONA EUROPA

Niemieckie media coraz bardziej przypominają te z lata roku 1939. „Nowej Europy nic nie zwycięży” to hasło, w prymitywnym języku narodowosocjalistycznej gadzinówki w okupowanej Polsce, umieszczone na plakacie propagandowym, kolportowanym podczas okupacji w Generalnym Gubernatorstwie. Na nim widnieją Rzesza Wielkoniemiecka i ziemie okupowane. Tak, to była wówczas Nowa Europa. Dzisiaj mamy nowszą. To ulepszony model lewackiej wizji Europy; taki marksistowski Związek Sowiecki, tym razem na zachodzie kontynentu. On był zresztą zawsze lewacki, wystarczy sobie przypomnieć niechęć wobec Polski podczas wojny polsko-bolszewickiej 1920 r. Po drugiej wojnie światowej komunizm rozlał się po Europie – zwłaszcza Francja i Włochy

stały się jego bastionami. Kazaczok stał się hymnem zachodniej Europy. Pomysł czerwonej Europy realizował Altiero Spinelli, ukrywany przez unijne „elity” patron Unii Europejskiej oraz autor „Manifestu z Ventotene” – dokumentu ideologicznego, biblii współczesnej Unii Europejskiej. Lider marksistowskiej rewolucji w Polsce, Donald Tusk, chce być jednym z architektów Nowej Europy, której nic nie zwycięży.

11 stycznia 2024 r. lewica europejska doznała szoku. Do tej pory niemieckie dzienniki wspominały jedynie o „faszystowskich” marszach 11 Listopada w Warszawie, o innych metropoliach nie wspominając, by nie irytować konsumentów prasy. A tu nagle w stolicy Polski, mimo siarczystego mrozu, wiatru i śniegu, zebrały się tłumy ludzi z całej Polski, by zaprzestować przeciwko praktycznej realizacji doktryny Bachmanna – Tuska, zwłaszcza tłamszenia mediów i uwięzienia posłów na Sejm. Niemieckie media ośmieszały się, podając zaniżone liczby uczestników protestów w Warszawie. Te same gazety, dla których nie tak dawno akcje kilkusobowych „lotnych brygad” Tuska odbijały się wielkim echem, zamieszczające relacje z Polski pod „dyktaturą Kaczyńskiego”, nie mogą teraz się doliczyć demonstrantów. Ale mimo to protest w Warszawie zgromadził więcej ludzi niż szumnie zapowiadany rzez Donalda Tuska „marsz miliona” z udziałem 100 tys. uczestników (taką liczbę podał lewicowy tygodnik „Die Zeit” z Hamburga).

Dodatkowy problem stanowi dla mediów brak zaufania ze strony Niemców. Z aktualnych badań naukowych wynika, że co czwarty Niemiec – a w Niemczech Wschodnich zgoła co trzeci (w czasach komunizmu nauczyli się widać czytać między wierszami) – nie ufa mediom. Co gorsze dla funkcjonariuszy medialnych, jedna trzecia Niemców straciła dodatkowo zaufanie do prasy, radia i telewizji w okresie minionych dwóch lat. To błyskawiczna strata zaufania!

Powoli także Niemcy dostrzegają, że w Unii Europejskiej toczy się rewolucja marksistowska. Ze zglubnymi skutkami. Powszechne, niemal codzienne strajki, do niedawna tak obce niemieckiej mentalności, są wyrazem protestu wobec panoszącej się lewicy.



Ze Sławomirem Skibą, liderem ruchu Nie Oddamy Miasta, walczącym przeciw strefie czystego transportu w Krakowie rozmawia Ryszard Gromadzki



FOT. SHUTTERSTOCK/ALBION

Bękarty ekorewolucji

RYSZARD GROMADZKI: Wojewódzki Sąd Administracyjny w Krakowie odrzucił uchwałę krakowskiej rady miasta o ustanowieniu w stolicy Małopolski tzw. strefy czystego transportu. Ten werdykt daje nadzieję na zablokowanie SCT w Krakowie?

SŁAWOMIR SKIBA: Bardzo byśmy chcieli, żeby ten werdykt był przyczynkiem do tego, żeby miasto Kraków zostało zwrócone mieszkańcom, a także inne miasta. Przypomnę, że wszystkie miasta mające powyżej 100 tys. mieszkańców zagrożone są tworzeniem na ich terenie stref czystego transportu (SCT).

Byłoby świetnie, gdyby Kraków przetańcił drogę do oddania miast mieszkańcom, ale do tego jeszcze daleka droga. Wygraliśmy bitwę, ale nie wygraliśmy wojny. Orzeczenie Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Krakowie nie satysfakcjonuje nas w pełni. Z jednej strony sąd uchylił w całości uchwałę krakowskiej rady miasta. Niestety, w uzasadnieniu swojego wyroku powołał się wyłącznie na względy czysto techniczne i formalne. Sąd wskazał m.in. na nieścisłość w określeniu granic SCT, która

miała w całości pokrywać się z granicami administracyjnymi miasta, a tymczasem te granice mogą się zmieniać w związku z rozwojem miasta, który jest przecież procesem dynamicznym. Na tę przesłankę wskazał w swoim wniosku wojewoda małopolski, takie było też m.in. stanowisko prokuratury, w której opinii mieszkańcy obrzeży miasta i gmin ościennych, wskutek nieprecyzyjnego określania granic strefy, mogliby w krótkim czasie być narażeni na negatywne skutki prawne związane z jej ustanowieniem.

Jak rozumiem, WSA w ogóle nie odniósł się do kwestii, które podnosi strona społeczna reprezentowana przez stowarzyszenia i organizacje, które sprzeciwiają się ustanowieniu strefy czystego transportu, czyli że stanowi ona naruszenie konstytucyjnych praw i wolności obywatelskich. Przede wszystkim prawa własności i prawa do swobodnego przemieszczania się.

Sąd w ogóle nie odniósł się do zasadności wprowadzenia strefy czystego transportu w Krakowie. Mało tego, sąd odrzucił dwie skargi obywatelskie, powołując się na brak interesu praw-

nego mieszkańców w tym postępowaniu. Poprzez takie rozstrzygnięcie sąd potwierdził niechlubną spuściznę prawa z czasów stalinowskich, które również odmawiało obywatelom podmiotowości w tego rodzaju postępowaniach.

To jakieś kuriozum. Kto inny jak nie mieszkańcy ma interes prawny w postępowaniu, które wprost ingeruje w ich prawa?

Ta sytuacja to efekt zaniechań w reformowaniu prawa, braku odpowiednich regulacji. W obecnych realiach ustrojowych i politycznych w Polsce niezwykle trudno będzie to naprawić.

Wobec braku stałości prawa, jego totalnej płynności, z którą mamy dziś do czynienia w Polsce, nie rokuje to najlepiej w sprawie powstrzymania stref czystego transportu w Krakowie i innych dużych polskich miastach...

To uzasadniona obawa, choćby biorąc pod uwagę zalecenie przesłane do sądów okręgowych przez ministra sprawiedliwości, pana Bodnara, w którym apeluje do nich, aby sądy w swoich orzeczeniach uwzględniały dyrektywy Unii Euro-

pejskiej. Jest oczywiste, że mamy do czynienia z bardzo zideologizowanym stosowaniem prawa, gdzie ważniejsze od samej litery prawa są jego wykładnie czy interpretacje.

Czy wobec tego decydująca dla wyniku batalii związanej z zatrzymaniem stref czystego transportu jest konsekwentna presja obywatelska, napór ulicy?

W moim przekonaniu tak. Presja obywatelska będzie jednym z decydujących czynników w tej walce. Zbliżają się wybory samorządowe, niezwykle istotne jest budowanie świadomości Polaków, w którą stronę zmierzają procesy, których częścią są strefy czystego transportu. A to przecież tylko jeden z „bękartów” całego złożonego procesu, którym jest Agenda 2030, opisująca strategię tzw. zrównoważonego rozwoju, której integralną częścią jest elektromobilność czy – szerzej – „zrównoważony transport” stanowiący komponent planów dla aglomeracji miejskich. Takie plany dla aglomeracji krakowskiej, warszawskiej czy katowickiej zostały już przyjęte. Ich częścią są założenia dotyczące mobilności, które w istocie należy czytać jako ograniczenia i utrudnienia w przemieszczaniu się.

Czyli realnego wykluczenia setek tysięcy ludzi, którzy nie będą spełniać motywowanych ideologicznie norm ustalanych przez planistów „nowego porządku”...

Podłożem wszystkich tych neomarksistowskich projektów, o których rozmawiamy, jest eliminacja własności prywatnej. Tu otwiera się całe spektrum możliwości. Obecnie ta rewolucyjna presja koncentruje się na samorządach, bo w tym obszarze dokonać się mają lub już dokonują fundamentalne zmiany związane bezpośrednio z codziennym życiem mieszkańców. Przywołam tu tzw. ekonomię współdzielenia, czyli wypierania własności prywatnej na rzecz wypożyczania elektrycznych samochodów, rowerów czy hulajnóg. A nawet doprowadzania do sytuacji, w której utrzymywanie własności prywatnej nie będzie się opłacać. W tym przypadku dotyczy to samochodów, ale na horyzoncie są już nieruchomości. To wiąże się m.in. z użytkiwaniem tzw. certyfikatów energetycznych. Wszystkie te regulacje idą w jed-

Podłożem wszystkich tych neomarksistowskich projektów jest eliminacja własności prywatnej

nym kierunku. Chodzi o utrudnienia w dysponowaniu własnością prywatną. Zniechęcanie właścicieli samochodów, a następnie właścicieli nieruchomości do posiadania własności.

Dożyliśmy więc nowej komuny. Systemowego zamachu na wolność indywidualną i własność. Tylko niewielu z nas to dostrzega...

Istotę tego neomarksistowskiego podejścia wyraża formuła Klausa Schwaba [założyciela i prezesa Światowego Forum Ekonomicznego – dop. red.]: „Nie będziecie mieli niczego i będziecie szczęśliwi”. Rewolucja schodzi na poziom samorządów. Ludzie są zaskoczeni jej tempem i nie dowierzają, że takie projekty jak strefy czystego transportu dotkną ich bezpośrednio.

Czy zagrożenia dla własności i wolności, które niesie ze sobą ekorewolucja, np. poprzez instalowanie stref czystego transportu w naszych miastach, mają szansę stać się ważną częścią agendy przed kwietniowymi wyborami samorządowymi?

Jako ruch społeczny nie uczestniczymy bezpośrednio w wyborach samorządowych, ale wielu działaczy, aktywistów czy wolontariuszy zaangażowanych w walkę ze strefami czystego transportu weźmie w nich udział. Mówię o sytuacji w Krakowie, ale z pewnością podobnie będzie w Warszawie, Katowicach, we Wrocławiu, w Lublinie czy Rzeszowie, czyli miastach, w których kolejno mają być wprowadzane SCT.

Jestem przekonany, że dzięki zderzeniu z tymi projektami i świadomym ludziom, zaangażowanym w walkę przeciw strefom, do mieszkańców trafi przekaz pokazujący, czym są one w istocie. Musimy nastawić się na przekaz obalający różne mity ekorewolucji. Chcemy przed wyborami samorządowymi przeprowadzić przede wszystkim w Warszawie i Krakowie społeczną kampanię billboardową, żeby uczulić kandydatów na rad-

nych i samych mieszkańców, jak ważna społecznie jest sprawa stref czystego transportu, jak daleko idące konsekwencje dla naszego codziennego życia ona za sobą pociąga. Trzeba powiedzieć, że druga strona też nie zasypia gruszek w popiele i już od dawna angażuje różnego rodzaju stowarzyszenia i fundacje w procesy uświadamiania mieszkańców, tzw. konsultacje społeczne, panele transportowe itp. W tworzeniu stref czystego transportu w naszych miastach uczestniczą organizacje o międzynarodowych powiązaniach oraz ich aktywiści, o których można by wręcz rzec, że są jak propagatorzy nowej wiary.

Czy na podstawie doświadczeń związanych z walką przeciw strefie czystego transportu w Krakowie można powiedzieć, że te tematy przebijają się do społecznej świadomości?

Ta świadomość się buduje. Jednak w naszym przekonaniu dokonuje się to zbyt wolno. Jak powiedziałem wcześniej, ludzie są zaskoczeni szybkością zmian i nie dowierzają, że mogą one pójść tak daleko, że cele autorów koncepcji „zrównoważonego rozwoju” idą tak daleko. Dopiero kiedy, tak jak w Krakowie, sprawa staje się nabrzmiałym problemem społecznym, mieszkańcom zaczynają otwierać się oczy. Z mojego doświadczenia wynika, że jest bardzo niewielu ludzi, którzy tym radykalnym, rewolucyjnym zmianom sprzyjają. Większość patrzy na nie z obawą. Dostrzegam, że im w ludziach większe jest poczucie wolności i wspólnoty, tym bardziej sceptycznie odnoszą się do tych zmian. Tym bardziej zdeterminowani są, żeby stawiać opór nowej formie rewolucji, która nas osacza. Dlatego tak ważne jest, żeby nasz przekaz przeciw zniewoleniu, ograniczaniu wolności przemieszczania się, wykluczeniu transportowemu, które próbuje się nam narzucić, dotarł do Polaków jak najszerzej jeszcze przed wyborami samorządowymi, w których decyduje się przecież przyszłość naszych „małych ojczyzn” i naszego codziennego życia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Sławomir Skiba – publicysta i redaktor magazynu „Polonia Christiana”, wiceprezes Instytutu im. ks. Piotra Skargi, lider ruchu Nie Oddamy Miasta.

Ucieczka przed testowaniem



Łukasz Zboralski

Edukowanie w podstawówce zmieniło się w przygotowanie do napisania testu. Jednak winny nie jest tu sam egzamin ósmoklasisty, ale dyrektorzy szkół. A to właśnie oni postulują zniesienie testowania ósmoklasistów

Debata o przyszłości Polski na razie skupia się na rozmowach o tym, jak rozliczyć rząd PiS. Dlatego w wielu obszarach pomysłów na rozwój właściwie nikt nie przedstawia. Nie inaczej jest w obszarze edukacji, który – „uwolniony” od ministra Czarnka – miał być tym innym, nowym, świeżym, lepszym. Na razie słyszymy tylko pojedyncze hasła. Jednym z nich było hasło likwidacji prac domowych, które (jak wskazywałem już w „Do Rzeczy” nr 43/2023) było hasłem wręcz niemądrym. Praca dzieci poza szkołą też jest potrzebna, należy tylko prowadzić ją z sensem dla procesu dydaktycznego, ucząc współpracy (czyli projektowo) oraz wymagając jej znacznie mniej, niż obecnie się od uczniów wymaga.

Przemknął też przez media postulat ograniczenia wymagań podstaw programowych. Ten jest akurat słuszny. W świecie specjalizującym się w wielu dziedzinach przytłaczanie uczniów nadmiarem wiedzy kosztem umiejętności nie jest dobrym pomysłem. Trudno jednak dyskutować o okrajaniu podstaw programowych, skoro nie ma jeszcze żadnych analiz wskazujących, co ewentualnie z nich można by było sobie darować.

Oczywiście czekamy pewnie jeszcze na tradycyjną polską awanturę o to, które lektury szkolne dzieci czytać powinny,

a które już nie. To przed nami. Natomiast już teraz pojawił się nagle zupełnie inny postulat. I to pojawił się z niespodziewanej strony i w niespodziewanym czasie.

KONIEC TESTOWANIA ÓSMOKLASISTÓW?

Ogólnopolskie Stowarzyszenie Kadry Kierowniczej Oświaty (OSKKO) wysłało na początku stycznia do minister edukacji, rzecznika praw dziecka, posłów i mediów własne rekomendacje dotyczące „niezbędnych zmian w systemie edukacji”.

Postulaty słuszne są tam przemieszczone z postulatami kuriozalnymi. Trudno odmówić bowiem racji sugestii, by zmiany w oświacie politycy najpierw konsultowali z ekspertami. Jednak np. postulowane przekształcenie kuratoriów oświaty w „lokalne centra wspierania szkół” spowodowałaby tylko, że pracujący w kuratoriach ludzie, często znający szkołę w praktyce już tylko z historii, nadal nie mieliby zbyt dużego pojęcia o tym, co robią.

Za tak samo kuriozalny można uznać postulat OSKKO, by zmienić konkurs wyłaniania dyrektorów szkół – jak sami wskazują – dziś często fikcyjny. Kadry oświaty proponują bowiem powierzyć więcej kompetencji w obsadzaniu tych stanowisk samorządom. To oznaczać musiałoby odebranie głosu nauczycielom

i rodzicom na rzecz wójta czy burmistrza. Prosta droga do nepotyzmu.

Najciekawszym jednak postulatem jest likwidacja egzaminu ósmoklasisty. „Za docelowo niepotrzebne uważamy egzaminy kończące szkołę podstawową. Wyniki egzaminów przyczyniają się do tworzenia rankingów i etykietowania szkół, bez uwzględniania specyfiki ich pracy oraz uczniów – czytamy w piśmie OSKKO. – Obecnie, nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie krytykuje się standaryzowane badanie wyników nauczania – stanowiące cel, a nie metodę badawczą. W naszej opinii istnieje tylko jeden argument przemawiający za organizacją egzaminów na koniec szkoły podstawowej: »wyrównanie szans« uczniów różnych typów szkół w rekrutacji do szkół średnich. Wymaga to wyjaśnienia, czy uczniowie różnych typów szkół są traktowani równo. Jednocześnie egzamin na koniec VIII klasy nie daje szkole potrzebnej informacji zwrotnej – ponieważ egzaminowanych uczniów już nie będzie okazji objąć jakimkolwiek wsparciem – skoro odchodzą ze szkoły”.

Ministerstwo Edukacji napomknęło w mediach, że nad tym postulatem się zastanowi.

Z PROBLEMÓW W PROBLEMY

Trudno rozmawiać o likwidacji egzaminu kończącego szkołę podstawową w Polsce bez wspomnienia, jak ten system wprowadzono i po co. Tu trzeba przypomnieć, że poprzednia wielka reforma edukacji rozbiła szkoły pierwsze na podstawówki i gimnazja. I to wówczas, za czasów rządów SLD (ale jako pokłosie reformy szkolnictwa rządów Jerzego Buzka), w 2002 r. po raz pierwszy wprowadzono sprawdzian szóstoklasisty. Nie był żadnym egzaminem selekcyjnym do gimnazjów, a jedynie testem oceniającym pracę szkoły oraz w pewnym sensie zdolności każdego z roczników. Nie można było go „nie zdać”. System ten niestety szybko się skrzywił i selekcja uczniów lepszych i gorszych dokonywana była na postawie liczby punktów ze sprawdzianu szóstoklasisty. Było to nie tylko nielegalne, lecz także szkodliwe, bo segregacja na dzieci zdolniejsze i mniej zdolne dokonywała się – ze stratą dla tych drugich – już na poziomie klas szóstych.

W tym samym czasie zaczął funkcjonować egzamin gimnazjalny. I ten – tak jak dziś egzamin ósmoklasisty – stanowi już zaplanowaną rekrutację uczniów do szkół średnich. Zamiast, jak przez lata wcześniej, polegać na selekcjach dokonywanych przez każdą szkołę średnią samodzielnie, postawiono na sprawdzony system, na opracowane przez ekspertów z Centralnej Komisji Egzaminacyjnej testy. Zysk był podwójny – ucięto nepotyzm na tym poziomie selekcji, a zarazem oddano jej opracowanie w ręce tych, którzy rzeczywiście potrafili sprawdzić wiedzę i umiejętności kandydatów.

Oczywiście ludzie potrafiały wykrzywić każdy, nawet najpiękniejszy pomysł. I nie inaczej przecież stało się z egzaminami gimnazjalnymi, a potem z egzaminami ósmoklasisty. Nie jest wcale fałszem powtarzane przez polityków prawicy (choć sami przez osiem lat tego nie dotknęli) przekonanie, że polskie szkoły skupiały się na testowaniu uczniów. Wprawdzie egzamin ósmoklasisty jest wbrew pozorom testem nietypowym i mało jest w nim zadań wyboru, a wiele otwartych

(więc naprawdę sprawdza umiejętności), ale mechanizm szkolny został zwichnięty. Popsuł go jednak nie sam egzamin, a dyrektorzy szkół, czyli właśnie ci, którzy dziś postulują odwrót od tego trybu selekcji.

To dyrektorom szkół podstawowych zaczęło zależeć na pokazywaniu wyników z egzaminu ósmoklasisty. W ich oczach to średnia wyników uczniów szkoły zaczęła przesądzać o tym czy jest sukces czy też nie. I to jest oczywistym złem – bo przyrost wiedzy i umiejętności zależy też od predyspozycji dzieci, dlatego powstają takie miary skuteczności nauczania, jak edukacyjna wartość dodana (EWD).

Szalona presja dyrektorów skutkuje do dziś tym, że nauczyciele trenują dzieci do zdawania tego egzaminu. Ten trening rozpoczyna się od początku ósmej klasy. I są placówki, gdzie dzieciom kazano pisać rocznie nawet cztery testy próbne. Testy te są zwykle gotowcami przygotowywanymi przez wydawnictwa edukacyjne, nie są dobrze zaplanowane ani miarodajne, a czasem obejmują – zwłaszcza na początku roku szkolnego – mate-

riał, z którym uczniowie jeszcze się nie zapoznali. Wszystko to pozbawione jest sensu, za to okupione jest pracą i stresem dzieci.

Dziś zatem dyrektorzy szkół, którzy sami popsuli szkoły podstawowe, postulują zmianę. Nie podają jednak, na czym miałyby polegać. Nie ma żadnych wątpliwości, że zastępowanie dobrego egzaminu CKE samodzielnymi testami przygotowywanymi przez szkoły średnie byłoby powrotem do czegoś gorszego.

Egzamin ósmoklasisty powinien więc pozostać, jako dobry system rekrutacyjny do szkół średnich. Zniknąć powinno tylko testowanie dzieci w podstawówkach przez nauczycieli i dyrekcję oraz szykowanie szkół do wyścigu na liczbę punktów – która nijak nie oddaje tego, jak szkoła z dziećmi rzeczywiście pracuje. Dyrektorzy placówek mogą więc zmienić wiele w polskiej szkole bez pomocy resortu edukacji, wystarczy, że zaczną od siebie. Tylko czy potrafią zdobyć się na autorefleksję i uderzyć w piersi?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Pobyty w terminach:
22.01 - 28.03

LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny, Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie
- *możliwa dopłata

Turnus Wielkanocny 28.03 - 02.04.2024

tel. 54 416 70 00

www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tęźniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek

Epoka Edo, na której ostatnie dekady przypadło życie artysty, była dla Japonii czasem niezwykłym. Po nieustannych wojnach domowych poprzednich stuleci, które zebrały na wyspach krwawe żniwo, przemieniając ludzką egzystencję w pas cierpienia, nastał trwający ponad ćwierć millennium okres spokoju, stabilizacji i prężnego rozwoju gospodarczego. Choć Japonia odcięła się od zewnętrznego świata, to mieszkańcy Kraju Kwitnącej Wiśni szybko się bogacili, a populacja wzrastała, pociągając za sobą rozwój mniejszych i większych ośrodków miejskich. Szacuje się, że w XVIII w. Kraina Wschodzącego Słońca była najbardziej zurbanizowanym państwem świata, a stolica szogunatu Edo (dzisiejsze Tokio) cieszyła się najwyższą, bo liczącą milion głów, populacją ze wszystkich miast globu.

Równocześnie w tym okresie okrzepło wiele zjawisk uznawanych przez nas za charakterystyczne dla kultury japońskiej. Przykładem może być choćby skodyfikowanie drogi samuraja, czyli bushido – wcześniej w okresie niepokojów wojowniczy byli zbyt zajęci nieustannymi walkami, by mieć czas na chwytanie za pędzelek i pisanie rozpraw o tym, jak powinni postępować przedstawiciele ich stanu, zresztą największe wiktorie owych konfliktów odnosili ludzie, którzy zasady, na których opierać miał się kodeks samurajski, mieli w głębokim poważaniu i bez mrugnienia okiem zdradzali sojuszników, kłamali w żywe oczy i uprawiali amoralną politykę.

Najciekawsze jednak rzeczy działy się w kulturze mieszczańskiej będącej zjawiskiem stosunkowo nowym, lecz rozwijającą się błyskawicznie i tak atrakcyjnej, że rząd szoguna w obawie o moralność przedstawicieli rządzącej klasy samurajskiej musiał prawnie ograniczać im możliwości partycypowania w życiu kulturalnym miast, toczącym się w dzielnicach herbaciarni, teatrów kabuki i domów publicznych. Nie na wiele się jednak kolejne zakazy zdawały, bo samuraje, zasłaniając twarz wielkimi słomianymi kapelusami, i tak przekradali się do dystryktów rozkoszy, by prowadzić dowcipne (i zakończone seksem) konwersacje z kurtyzanami lub oglądać najnowsze teatralne hity. Hiroshige, choć pochodził z rodziny samurajów, był tak zafascynowany miejską kulturą ukiyo (tzn. płynącego świata), że porzucił status wojownika i wstąpił do szkoły malarzkiej Utagawa,

Pocztówki z zaginionego świata



Łukasz Czarnecki

Ekspozycja „Hiroshige 2023. Z kolekcji Feliksa »Mangghi« Jasieńskiego” w krakowskim Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha prezentuje dzieła jednego z najwybitniejszych twórców japońskiego drzeworytu ukiyo-e Utagawy Hiroshige. Jego prace są niczym pocztówki wysłane z podróży po odległej i pięknej krainie, którą bezpowrotnie zatopił nurt nieubłaganego czasu

poświęcając się tworzeniu drzeworytów ukiyo-e, tj. obrazów płynącego świata. Na polu tym osiągnął mistrzostwo, które stawia go w jednym rzędzie ze starszym odeń o blisko 40 lat Hokusaiem.

NICZYM FILM PODRÓŻNICZY

Hiroshige dał się poznać jako genialny pejzażysta, świetnie uchwytyjący ducha miejsc, które malował. Oglądanie drzeworytów, zwłaszcza tych układających się w serie prezentujące najciekawsze miejsca jego ojczystego Edo lub obrazki rodzajowe i pejzaże przystanków na trasach łączących stolicę szogunów z Kioto, gdzie rezydował cesarz, jest niczym seans filmu podróżniczego. Twórcy wystawy w krakowskim Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha w pełni wykorzystali ten potencjał, formując ekspozycję w bloki tematyczne pozwalające zapoznać się z trzema naj-

ważniejszymi toposami twórczości artysty: drogą, ruchem i miejscem. Z kolei wypisane na ścianach galerii pomiędzy poszczególnymi eksponatami krótkie wiersze autorstwa Hiroshige pozwalają zerknąć w głąb duszy twórcy, który jawi się jako osoba obserwująca otaczającą go rzeczywistość z podszutym smutkiem dystansem, a także z pewną ironią. Szczególnie uderzające są słowa, w których malarz wylicza, co lubi, po czym stwierdza, że jeśli chodzi o ludzi, to nie może bez zastanowienia się podjąć decyzji, czy budzą jego sympatię czy też nie.

Ważną datą w życiorysie Hiroshige był rok 1832, kiedy wraz z oficjalną delegacją szogunatu udał się do Kioto, gdzie przedstawiciele autentycznego władcy kraju (szoguna) mieli złożyć symboliczny hołd jego nominalnemu (a w rzeczywistości będącemu zaledwie figurantem) suwerenowi – cesarzowi i przekazać mu rytualną daninę

w postaci białych rumaków. Malarz przebył wraz z towarzyszącą dostojnikom karawaną łączący oba miasta szlak Tōkaidō, główną lądową arterią komunikacyjną cesarstwa. Przez całą podróż miał ze sobą szkicownik, w którym na postojach kreślił szybkie rysunki przedstawiające widoki z poszczególnych miejsc postoju. Łatwo sobie wyobrazić twórcę, który w chwili, gdy kawalkada zatrzymywała się, by odpocząć, przegryźć co nieco i napić się herbaty lub sake, siadał sobie na uboczu, otwierał notes i szybkimi, pewnymi ruchami przenosił na jego karty otaczający go krajobraz i zaludniających go ludzi. Owe luźne graficzne notatki stały się podstawą dla stworzonego później cyklu drzeworytów „Pięćdziesiąt trzy stacje na gościńcu Tōkaidō”. W pracach wchodzących w skład tej serii artysta uwiecznił zarówno charakterystyczne widoki poszczególnych stacji postojowych przyjmujących poruszających się traktem podróżnych, jak i wszelkiej maści typy ludzkie, które zapadły mu w pamięć. W efekcie powstały tętniące życiem kompozycje, które wydają się zatrzymanymi kadrami filmu dokumentalnego.

Idąc wzdłuż wystawionych w Manggh-dze drzeworytów, podążamy krok w krok za odbywającym podróż do Kioto malarzem, patrząc jego oczyma na Japonię późnej epoki Edo. Widzimy wzburzone nurty rzeki, przez którą brodzi grupa zanurzonych prawie po piersi tragarzy, oprócz silnego prądu mierzyć muszą się z przygniatającym ich swym ciężarem palankinem, który dźwigają na swoich barkach. Jego pasażerką jest zamężna dama, więc nie można pozwolić, by jej drogie kimono zamoczyło się w wodzie!

Gdzie indziej docieramy do miasteczka, którego uliczki toną już w półmroku rozświetlonym blaskiem lampionów. Chcielibyśmy udać się do gospody i dać odpocząć umęczonym długą wędrówką mięśniom, ale zatrzymuje nas grupa rozbawionych i będących ewidentnie po jednym tyku sake lub dwóch miejscowych kumoszek, które wdają się z nami w pyskówkę. Innym razem dane jest nam obejrzeć czarny masyw majestatycznego szczytu górskiego, skąpanego w krwistoczerwonym blasku promieni zachodzącego słońca.

W „Pięćdziesięciu trzech stacjach” Hiroshige udowodnił, że jest geniuszem w oddawaniu na papierze scenek rodzajowych i krajobrazów. Pozycję swą potwierdził kolejnym cyklem „pocztówek”, tym razem dokumentującym widoki, na które

można było się natknąć, wędrując drugim najważniejszym traktem Japonii – drogą Kisokaidō. Drzeworyty wchodzące w skład tej serii również znalazły się wśród prac wystawionych w krakowskim muzeum.

Hiroshige cechowała wielka miłość do ojczystego miasta Edo. Prawie jedna trzecia pozostawionych przez niego prac przedstawia charakterystyczne miejsca metropolii i widoki, na które można było się natknąć, wędrując jej gwarnymi ulicami. Najślawniejszym dokumentującym życie stolicy cyklem artysty jest „Sto sławnych widoków Edo” i ich również nie mogło tu zabraknąć. Oglądając te drzeworyty, ponownie mamy wrażenie partycypowania w utrwalconych przez malarza scenkach. Wędrujemy zatem po sławnych sklepach czy stojąc na jednym ze stołecznych mostów, oglądamy nocny pokaz sztucznych ogni rozświetlających niebo. Złudzenie życia i ruchu jest tak silne, że wędrując między kolejnymi ekspozycjami, piszącemu te słowa przyszła do głowy scena z „Opowieści z Narnii” C.S. Lewisa, w której główni bohaterowie zostają wessani do wnętrza obrazu.

PTAKI, KWIATY I BOHATEROWIE

Jednak nie samymi krajobrazami żył Hiroshige. Swego mistrzostwa dowiódł także w dziedzinie malarstwa „ptaków i kwiatów”. Możemy zatem na wystawie zobaczyć kompozycje zestawiające ze sobą pierzastych władców przestworzy z klejnotami świata roślin. Wśród zaprezentowanych drzeworytów znalazły się „Czapla i irys” czy „Zimorodek i hortensja”. I tu ponownie dotykamy tajemnicy życia, które japoński artysta przelewał w swoje dzieła. Ptaki na zaprezentowanych pracach wydają się tak rzeczywiste i przepełnione energią, że ma się wrażenie, iż za chwilę wyrwą się z ram i odlecą ku sufitowi muzealnej sali.

Osobną kategorię stanowią dzieła ilustrujące wątki literackie i wydarzenia historyczne. W latach 40. XIX w. szogunat próbował zapobiec pogłębieniu kryzysu trapiącego jego rządy za pomocą serii reform mających przywrócić społeczeństwu moralność. Wydano wtedy wiele ustaw zakładających kaganiec cenzury twórcom ukiyo-e, np. zabraniając zajmowania się ich ulubionym (i najbardziej dochodowym) tematem, to jest portretowaniem gwiazd teatru kabuki. W odpowiedzi artyści zwrócili się ku historii i zaczęli tworzyć kompozycje prezentujące wydarzenia z dawnych

dziejów Japonii lub tekstów uznawanych za skarby literackie kultury japońskiej.

Tą drogą poszedł też Hiroshige. Możemy więc obejrzeć drzeworyty jego autorstwa, przedstawiające sceny z życia bohatera narodowego Minamoto Yoshitsune czy fragmenty historii legendarnych braci Soga. Znalazły się tu też ilustracje do najważniejszego zabytku literatury japońskiej „Opowieści o księciu Genji”, pochodzące z cyklu prac zatytułowanego „Wytworzy Genji”. Co ciekawe, w tym przypadku Hiroshige pracował w duecie, współtwórcą znajdującego się na wystawie dyptyku, przedstawiającego spotkanie bohatera z kochanką, był Utagawa Kunisada – autor drzeworytów, który w schyłkowej epoce Edo odniósł największy komercyjny sukces (za co go XIX-wieczni europejscy krytycy sztuki odsądzały później od czci i wiary). Obaj dżentelmeni doskonale znający swoje najsilniejsze strony podzielili się pracą – Hiroshige namalował zimowy pejzaż, w którym dochodzi do spotkania, a Kunisada stworzył biorące w nim udział postaci.

Zimowe widoki malarz oddawał z tak wielkim realizmem, że czujemy mróz szczypiący nas w policzki. Równie ciekawe są scenki rodzajowe dziejące się w deszczu. Oglądaniu drzeworytów towarzyszy iluzja, że za chwilę usłyszymy krople spadające na dachy budynków. Gdy europejscy artyści zetknęli się z tymi konkretnymi pracami Hiroshige, przeżyli nieliczne zaskoczenie – nowożytna sztuka europejska nie wytworzyła bowiem tradycji przedstawiania spadających z nieba strumieni wody, na obrazach utrwalano wyłącznie moment przed ulewą lub już po niej. W ten sposób twórca z dalekiej Japonii dał zachodnim kolegom po piędzu nowy temat dla ich twórczości.

Na wystawie jest też miejsce, gdzie zaprezentowano wpływ, który miały drzeworyty Hiroshige na malarstwo Młodej Polski. Należący do tego nurtu artyści znali twórczość Japończyka, posiadali jego prace w swych kolekcjach lub mieli z nimi kontakt dzięki Feliksowi Jasieńskiemu i jego olbrzymiej kolekcji drzeworytów ukiyo-e, wśród których znalazło się blisko 2 tys. kompozycji bohatera wystawy. To właśnie z zasobów tego niestrudzonego kolekcjonera zgromadzonych na przełomie wieków XIX i XX pochodzą eksponaty prezentowane aktualnie szerokiej publiczności.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Eksponować można oglądać do 5 maja.

Obrona ma głos



Piotr Gociek

Ostatni film Williama Friedkina to pożegnanie w wielkim stylu. Zmarły niedawno mistrz kina sięgnął po klasykę amerykańskiej literatury, aby przypomnieć o sprawach dziś pogardzanych i niemodnych



„Bunt przed sądem wojennym” to film, w którym zwycięstwo jest równie gorzkie jak porażka FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jak dobrze, że są: małe filmy. Z każdą ogłuszającą superprodukcją pustoszącą globalne rankingi wpływów z biletów doceniam je coraz bardziej. Jak miło wyrwać się z wszechświatów rozwalanych przy pomocy magicznych kamieni przyklejonych do rękawicy albo kosturów, które jednym ruchem unicestwiają planety! Wielu irytują małe filmy: że zbyt mało w nich kina w kinie, wszak jest to medium ruchu, obrazu, transu, kolorowego snu lub monochromatycznych koszmarów. A tu nic – paru gości rozmawia. O, jakże uwielbiam małe filmy! Jednym z nich żegna się z nami z grobu William Friedkin. Małym wielkim filmem.

Kiedy pokazywano „Bunt przed sądem wojennym” („The Caine Mutiny Court-Martial”) na ubiegłorocznym festiwalu filmowym w Wenecji, Friedkina nie było już wśród żywych. Zmarł 7 sierpnia 2023 r. – a ja zdążyłem pożegnać go na łamach „Do Rzeczy” („Pożegnanie chuli-

gana”, nr 33/2023). Kilka miesięcy wcześniej odszedł grający jedną z głównych ról Lance Reddick – aktor, którego pamięci zadedykowany jest ostatni tytuł na długiej liście reżyserskich dokonań. Obaj nie mają się czego wstydzić, pożegnali się w znakomitym stylu. A jeśli chodzi o Friedkina, to także w stylu wielce pasującym do jego długiego, burzliwego życia. Kręcił filmy na własnych warunkach, bywał trudny we współpracy, współtworzył legendę „nowego Hollywood” lat 70., w nosie miał mody, a gdy porzuciły go wielkie studia, pracował dalej, po swojemu, za skromne pieniądze.

Tak było i z „Buntem przed sądem wojennym” (do obejrzenia w SkyShowtime). Friedkin nakręcił ten film za niewielki budżet, nie opuszczając kilku wnętrz (przede wszystkim sali sądowej), w dodatku pod specjalnym nadzorem. Ponieważ inwestorzy się obawiali, że zachoruje lub umrze na planie, zabezpieczyli produkcję dodatkową klauzulą,

wymagającą obecności podczas prac zapasowego reżysera, który miałby przejąć ster w razie potrzeby. Tym reżyserem był Guillermo del Toro. Samo to, że twórca tej miary zgodził się na rolę rezerwowego, pokazuje, jakim szacunkiem w środowisku filmowym cieszył się William Friedkin.

ARCYTRUDNE ZADANIE

Wielki mały film – tak jak „Dwunastu gniewnych ludzi” Sidneya Lumeta, jak „Glengary Glen Ross” Jamesa Foleya według sztuki Davida Mameta czy „Sunset Limited” Tommy’ego Lee Jonesa wedle dramatu Cormaca McCarthy’ego. Miłośnicy szerokich ujęć, w których widać miliony wydane na produkcję, oraz epickiego rozmachu nie mają tu czego szukać, złośliwcy powiedzą, że to teatr telewizji przeniesiony na kinowy ekran. Wszystko opiera się na konstrukcji dramatycznej, na dialogach, na kunszcie aktorów. Arcytrudne zadanie dla reżysera i obsady, ale

gdy się uda – oczu oderwać nie można. „Bunt przed sądem wojennym” trzyma nas w napięciu od początku do końca, w dodatku robi to nie dla samej przyjemności wywołania u widza dreszczyku emocji, lecz by przypomnieć na końcu o paru mądrych rzeczach.

Rzecz niby znana: pierwsza ekranizacja powieści Hermana Wouka „Bunt na okręcie” pojawiła się w roku 1954. Było to dzieło Edwarda Dmytryk’a z Humphreym Bogartem w roli kpt. Queega (siedem nominacji do Oscara, w tym dla Bogarta). Sam Wouk przerobił swoją powieść na sztukę, z powodzeniem wystawianą na Broadwayu czy realizowaną na potrzeby telewizji (swoją broadwayowską premierę miała jeszcze przed premierą filmu Dmytryk’a). William Friedkin sięgnął właśnie po tekst sztuki, podobnie jak w 1988 r. Robert Altman kręcący film telewizyjny.

Przed wojskowym sądem staje oskarżony o bunt por. Maryk, zastępca kapitana okrętu wojennego „Caine”. Maryk odsunął w trudnej chwili od dowodzenia swego przełożonego, kapitana Queega. Czy miał do tego powody? Sprawa wydaje się oczywista: Queeg wszelkie badania medyczne przeszedł na śpiewająco, ma wielkie doświadczenie wojenne, nieraz wychodził z bardzo trudnych opresji, ratując swoich ludzi i swój okręt. Maryk to młokos i nowicjusz, a zeznania innych świadków, obecnych wówczas na mostku, zdają się wskazywać, że nie troska o bezpieczeństwo, lecz osobiste, małostkowe urazy mogły pchnąć Maryka do działania. Pamiętajmy też, że wszystko to dzieje się w marynarce wojennej, a armia w takich przypadkach bywa zwykle bezwzględna. Bez dyscypliny i szacunku dla hierarchii armie nie istnieją, odmowa wykonania rozkazu czy odsunięcie przełożonego od wykonywania obowiązków możliwe są jedynie w skrajnych i nielicznych przypadkach. Drobne wątpliwości zazwyczaj rozstrzygane są na korzyść hierarchii, czyli na korzyść armii. Sprawa wydaje się więc oczywista, a Maryk stoi na ty góry przegranej pozycji.

KINOWA MAESTRIA

W wielu dramatach sądowych (jakże popularny gatunek od czasu światowego sukcesu bestsellerów Johna Grishama) przymykamy oko na to, że troszkę nas

naciągnięto. Sprawy przybierają inny obrót w punkcie kulminacyjnym, bo znienacka się okazuje, że istnieje jakiś niezany dotąd świadek. Albo dokument, na którym czarny charakter złożył kiedyś podpis, lecz albo o nim zapomniał, albo schował go w sejfie głęboko i jest przekonany, że inne kopie nie istnieją. W odpowiedniej chwili adwokat ze zwycięską miną wkracza do sądu i woła: „Ha! Oto jest głowa zdrajcy!” czy coś w tym stylu. Wygrywa deus ex machina. Geniusz Hermana Wouka jako dramatopisarza polega na tym, że nic takiego nie następuje, a jednak wszystko w pewnej chwili widzimy w zupełnie innym świetle niż dotychczas.

Proces Maryka to seria zeznań, w których nie odnajdują się żadne sensacyjne nowości. Wszyscy właściwie zgadzają się co do przebiegu wydarzeń. Dwukrotnie przesłuchiwany kpt. Queeg (na początku i na końcu rozprawy) nie tylko mówi właściwie to samo, lecz także (za drugim razem) opowiada w sumie mniej więcej te same rzeczy, które mówili świadkowie. Klucz tkwi w sformułowaniu „mniej więcej” oraz w tym, jak to mówi. Robota aktorska jest w tym filmie wymieniana. Kiefer Sutherland gra rolę życia jako Queeg, zaskakuje nas także Jason Clarke w roli por. Greenwalda, obrońcy oskarżonego Maryka. Intrygujący jest Lance Derrick jako kpt. Blakely przewodzący składowi sędziowskiemu – tworzy postać pełną godności, a jednocześnie lekko przerażającą niczym Bóg ze Starego Testamentu.

Kto myśli, że gdy aktorzy dają z siebie wszystko, a scenariusz jest świetny, to otrzymujemy samograj, ten się pomyli. W tej skromniutkiej, kameralnej opowieści jest kinowa maestria Friedkina. Każda z postaci filmowana jest w inny sposób, inaczej kadrowana. Jest w tym filmie mnóstwo ruchu, choć przecież mówimy o opowieści, w której wszyscy niemal nieustannie stoją lub siedzą. Kamera jest niewidzialnym narratorem, który układa to wszystko w fascynującą opowieść. I ujawnia się potęgę samej opowieści: w naszej głowie wszystko staje się żywe i prawdziwe: okręt, jego załoga, cyklon, krytyczne chwile na mostku. Ślepy bard Homer wskrzeszał bitwy ludzi i spory



REŻ. WILLIAM FRIEDKIN
„BUNT PRZED SĄDEM WOJENNYM”
USA 2023

bogów linijkami, które wypowiadał. Czemuż więc dialogami z sali sądowej nie miałyby się dać ożywić niebezpiecznych chwil w Zatoce Perskiej na pokładzie okrętu „Caine”?

I to wszystko wystarczyłoby, żeby zaliczyć „Bunt przed sądem wojennym” do dokonań ważnych: mistrzostwo reżysera, oddanie aktorów, którzy mu zawierzyli i wzniesli się wysoko ponad poziom swych codziennych dokonań. I przemysłany styl, niby niewidzialny, a jednak scalający historię w całość. Ale dostajemy od Williama Friedkina i Hermana Wouka coś więcej. Przesłanie, które jest dziś bardzo niemodne, puentę, która idzie pod prąd obowiązujących we współczesnym Hollywood schematów.

Nie jest to dla Friedkina nowość, podobnie uczynił w zapomnianym, a bardzo ciekawym dramacie sądowym „Regulamin zabijania” („Rules of Engagement”, 2000). Tam wiele akcji rozgrywał się poza salą sądową, bohaterowie brnęli przez bagna Wietnamu i piaski Jemenu, ale w sercu opowieści stało pytanie o odpowiedzialność żołnierza za swoje czyny – czyny, których wymagają od niego kraj, współobywatele, składający na jego barki wybory niemożliwe. „Regulamin zabijania” był jednym z najbardziej krytykowanych przez liberalną prasę filmów Friedkina, zarzucano mu militarizm, rasizm, imperializm. A przecież przesłanie było oczywiste: jeśli dajecie komuś broń z myślą o tym, by bronił swoich obywateli, i żądacie od niego, by oceniał, kiedy tej broni można użyć, to nie możecie mieć do niego pretensji o to, że zrobił dokładnie to, czego od niego zażądaliście.

„Bunt przed sądem wojennym” to film, w którym zwycięstwo jest równie gorzkie jak porażka, i choć sprawa Maryka i Queega zostaje zamknięta, to inne kwestie pozostają otwarte. Pytania o to, czy sprawiedliwie oceniamy tych, którzy stoją na granicy naszego świata, gotowi do jego obrony. Czy nie pozwalamy, aby zniszczenie mniejszym złem przesłaniało nam większe dobro. Ludzie bywają ułomni, lecz ostatecznie jest to opowieść w obronie hierarchii, obowiązku i patriotyzmu – rzeczy, które Zachód ma dziś w głębokiej pogardzie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

KINO

Szach królowej!



★★★★★
REŻ. DAVID AYER
„PSZCZELARZ”
(„THE BEEKEEPER”)
USA 2024

wyst. Jason
 Statham, Jeremy
 Irons, Josh
 Hutcherson

John Wick mścił się za pieska i chciał mieć wreszcie święty spokój. Pan Nikt chronił rodzinę i przy okazji skopał tyłek rosyjskiej mafii. Pszczelarz, główna siła (bo coś więcej niż bohater) to obrońca krzywdzonych i bezbronnych, wreszcie więc dostajemy figurę, która nie działa we własnym interesie, tylko dlatego, że tak trzeba. „Wierzę w zło i dobro w każdym z nas” – ogłasza z kamienną miną Jason Statham. I słusznie.

Pszczelarz Adam Clay żyje sobie spokojnie w głuszy dopóty, dopóki pewnego dnia jego sąsiadka nie popęlni samobójstwa. Padła ofiarą internetowych oszustów, którzy oczyścili jej konta (łącznie z tym, na którym zgromadziła 2 mln dol. dla fundacji charytatywnej). „Była jedyną osobą, która kiedykolwiek

się o mnie troszczyła” – mówi Clay. I już wiadomo, że winni gorzko pożałują.

„Pszczelarz” należy do ulubionego przez fanów kina akcji podgatunku „a zabiję ich wszystkich”. Krwawej zemsty oczywiście by nie było, gdyby nie to, że Clay jest kimś więcej niż zwykłym pszczelarzem: to emerytowany agent supertajnego programu. Pszczelarze mają interweniować, gdy państwo zawodzi, okazuje się skorumpowane i toksyczne. Myślcie o Clayu jako o zaawansowanym systemie immunologicznym, który zwalcza chorobę.

Film zachwycił w USA wyborców Trumpa, którzy w bezczelnym i bezkarnym organizatorze miliardowych przekrętów chronionym przez przyjaciół mamy (prezydent

USA) widzą ekranową aluzję do Huntera Bidena, któremu rozmaite grzechy uchodzą na sucho. Tak jak wcześniej Clintonom, tak jak dziś rozmaitym współnikom obrzydliwego biznesu Jeffreya Epsteina. Wspomnijmy Jordana Belforta, bohatera filmu „Wilk z Wall Street”, który zrujnował tysiące ludzi, odbierając im oszczędności całego życia. I wykreślił się 22 miesiącami odsiadki, a dziś jeździ po świecie i udziela wykładów. Jego ofiary, jak mniemam, z radością wysłałyby do niego Jasona Stathama.

„Pszczelarz” daje podobną diagnozę jak wiele hollywoodzkich filmów o lewicowej wymowie: system nie działa. O ile tamte produkcje podpowiadają jednak, że drogą do poprawy jest nawrócenie wielkich koncernów na agendę postępową, o tyle w filmie Ayera dostajemy odpowiedź w duchu dawnych produkcji z Clintem Eastwoodem: człowiek bez imienia musi przybyć do miasteczka i po prostu wystrzelać wszystkich, którzy żerują na słabych. ©©



NOWE SERIALE: „BUKMACHER”

Komik Sebastian Maniscalco w roli głównej oraz Chuck Lorre („Dwóch i pół”, „Teoria wielkiego podrywu”) jako showrunner. Projekt skazany na sukces, a mimo to opowieść o pechowym bukmacherze z Los Angeles budzi mieszane uczucia. Są chwile świetne (na ekranie pojawia się

Charlie Sheen jako Charlie Sheen), są chwile słabsze – „Bukmacher” próbuje łączyć humor sitcomowy z klimatami à la „Barry” czy „Tulsa King” i ta niejednoznaczność mu szkodzi. ©©

• sezon 1 „Bukmacher” („Bookie”), USA 2023

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- miniserial „Cristóbal Balenciaga”, Hiszpania 2024
- miniserial „Władcy przestworzy” („Masters of the Air”), USA 2024
- sezon 2 „Wszyscy kłamią” („You Shall Not Lie”), Hiszpania 2023

Edukacja Belli

KINO

Ze szczytu najłatwiej spaść w przepaść. Po znakomitej „Faworycie” Lanthimos porwał się na traktat filozoficzny w stylu markiza de Sade’a. Jako surowca użył powieści pewnego Szkota, do szpiku kości ojkofobicznej. Tropów literacko-kulturowych jest tu bez liku, od Biblii do horrorów o Frankensteinie. Wiktoriański steampunk ma wiele wdzięku, nawet jeśli nie ogląda się go rybim okiem (ulubiony chwyt greckiego reżysera). Glasgow, Lizbona i Paryż na sterydach, dorożka z silnikiem parowym, powietrzne tramwaje, ludzko-zwierzęce hybrydy, dziwaczna muzyka... Czemu nie? Brawurowa forma maskuje treść w zamiarze obrazoburczą.

Chirurg Godwin Baxter (sam będący ofiarą eksperymentów medycznych) umieszcza w ciele kobiety mózg dziecka. Eksperyment wymyka się spod kontroli – także dlatego, że ludzie nauki wcale nie są wolni od emocji.



★★★★★
REŻ. YORGOS LANTHIMOS
„BIEDNE ISTOTY”
 („POOR THINGS”)
USA/IRLANDIA/
WIELKA BRYTANIA
2023

wyst. Emma Stone,
Willem Dafoe, Mark
Ruffalo

Bella, zgodnie z emancypacyjnym schematem, wyrusza w świat i eksploruje swoją seksualność, by dojść do konkluzji: „Moje ciało należy do mnie!”. Cóż, marzenie o pozbyciu się gorsetu cywilizacyjnego jest tak stare jak sama cywilizacja. Są w „Biednych istotach” sceny znakomite, ale ten erudycyjny popis wydaje się jałowy i stanowczo za długi. Lanthimos skłania się ku tezie, że ludzie są i będą paskudni. Oscara za to nie dostanie. © © **Wiesław Chełmniak**



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „THE LAST OF US: PART 2 REMASTERED”

„The Last of Us: Part 2” nie zdążyła się zestarzeć, ale remaster wprowadza nie tylko ulepszoną (i to wyraźnie) oprawę wideo. To także m.in. nowy tryb w stylu roguelike’a z osiągnięciami do zdobycia i postaciami do odblokowania, to również możliwość zajrzenia

do poziomów, które ostatecznie nie znalazły się w pierwotnej wersji gry. Jej posiadacze remaster mogą mieć już za 40 zł. A samo „TLoU” – coś, pozostaje jedną z najdoskonalszych opowieści, jakie przyniosły nam gry wideo. I zasługuje na komplet gwiazdek. Jej

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZNAJOMI Z ANAPURNY

NINATEKA



★★★★★
REŻ. WOJCIECH WÓJCIK
„TRÓJKĄT
BERMUDZKI”
POLSKA 1987

wyst. Leonard Pietraszak, Jan Peszek,
Marian Kociniak

Jeśli już zrywać, to z najlepszych. Co łączy lekarza z Krakowa, adwokata z Łodzi i mechanika samochodowego z Trójmiasta? Kto pamięta „Nieznajomych z pociągu”, ten łatwo się domyśli. Zważywszy na to, że mamy do czynienia z dreszczowcem z epoki schyłkowego PRL, jest lepiej niż dobrze. W „Trójkącie bermudzki” nie uświadczysz typowej dla tamtych czasów reżyserskiej fuszerki, mimowolnego komizmu i parateatralnego aktorstwa. Są za to porządni obywatele zbaczający na ścieżkę występku, kobiety rozpustne oraz fatalne, a nawet dwie pokaźne eksplozje (w tym jedna pod Giewontem). Wojciech Wójcik był pionierem co się zowie. Przecierał szlaki, kręcąc kryminały, które zamiast słać „fachowców” z MO i SB, korzystały z patentów sprawdzonych na zginiłym Zachodzie. „Trójkąt bermudzki” to wariacja na temat zbrodni doskonałej. Z okazji jubileuszu Ninateka udostępniła również inne, mniej doskonałe dzieła Wójcika. © ©

NAGA PRAWDA

net max



★★★★★
REŻ. GENE STUPNITSKY
„BEZ URAZY”
 („NO HARD FEELINGS”)
USA 2023

wyst. Jennifer Lawrence, Andrew Barth
Feldman, Natalie Morales

Jak spędza noce i dnie typowy jedynak z pokolenia Z? Wiadomo, przed komputerem. Rodzice Percy’ego się martwią. Zanim wysłają go na studia, chcą by zmężniał i „wyszedł ze skorupy”. Misją wprowadzenia absolwenta w dorosłe życie zostaje obarczona bezpruderyjna 32-latką, która właśnie straciła finansową płynność. Skojarzenia z oblesnymi komediami typu „American Pie” są uzasadnione, choć autorzy chyba mieli większe ambicje. Bohaterów oprócz wieku różni bowiem pozycja społeczna. Percy wywodzi się z elity, Maddie należy do prekariatu. Sprośne dowcipy z czasem ustępują miejsca sentymentalnym banałom. Wylaszczona Lawrence bardzo się stara, biega sauté po plaży. Daremnie. Film Stupnitsky’ego szybko zniknął z kinowych ekranów. Najwyraźniej coś się zmieniło i Amerykanie nie widzą już w molestowaniu nic specjalnie śmiesznego. Nawet gdy molestuje gwiazda. **Wiesław Chełmniak**



★★★★★
odświeżenie to doskonała okazja, by ponownie wsiąść na ten emocjonalny rollercoaster. © © **Radosław Wojtas**
• **Gatunek:** akcji, TPP
• **Platforma:** PSS
• **Producent, dystrybutor:** **Naughty Dog; Sony Int. Ent.**

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Przybyszewszczyzna

Ukazała się podwójna biografia autorki „Sprawy Dantona” Stanisławy Przybyszewskiej i jej matki, malarki Anieli Pająkówny. Obie się dobrze zapowiadały, pozostawiły po sobie dzieła świadczące o niepospolitym talencie, ale też nie osiągnęły zamierzonych celów, żyły krótko, w niedostatku, i jedną, i drugą unieszczęśliwił ten sam człowiek – Stanisław Przybyszewski, legenda naszego, a i niemieckiego modernizmu, przez Strindberga nazywany „genialnym Polakiem”, w kraju fetowany i uznawany za objawienie. W życiu prywatnym – jak go dosadnie nazwał przyjaciel (do czasu) Ignacy Sewer Maciejowski – szuja i szubrawiec.

Tak się jednak składa, że o Przybyszewskim może choć jedno zdanie wyduka obecny maturzysta, który coś tam słyszał od polonistki o dekadentyzmie, „nagiej duszy” czy manifestie „Confiteor”, ale literalnie nic nie wie o malarce Pająkównie, a jeśli jakimś cudem nie jest mu obca „Sprawa Dantona”, sztandarowe dzieło Przybyszewskiej, bo teoretycznie mógł je poznać za sprawą filmu Andrzeja Wajdy, to i tak ów ponadprzeciętnie wyedukowany potencjalny humanista będzie twierdził, że sztuka ta wyszła spod pióra córki Przybyszewskiego i jego norweskiej żony, Dagny. Tymczasem jej matką była Pająkówna, tatusiem zaś, owszem, tenże Stach, jeśli by serio potraktować napis na jego nagrobku: „Piewca Wielkopolski” i „Meteor Młodej Polski”.

Urodzony w 1868 r. na Kujawach, o Polsce, wszystko jedno – małej czy wielkiej, przypomniał sobie stosunkowo późno, bo dopiero w czasie wielkiej wojny. Wcześniej robił za Europejczyka, zadając szkytu w Berlinie, gdzie głosił kult

sztuki, epatował bogobojnych mieszczan satanizmem i demonologią, wywołując skandale budzące niesłychane zainteresowanie przedstawicieli płci pięknej. W 1893 r. poślubił pianistkę Dagny Juel, tworząc z nią i ze sławnym malarzem Edvardem Munchem, twórcą „Krzyku”, interesujący trójkąt. Dagny wytrzymała z mężem nie za długo, później będzie do niego wracała, aż w końcu wsadzi ją do pociągu do Tyflisu z innym swoim przyjacielem, a ten zabije ją i siebie. Stach znów będzie wolny, dwojgiem dzieci, które miał z Dagny, przejmować się nie będzie, podobnie jak trojgiem wcześniejszych, które urodziła mu znajoma jeszcze z Wągrowca. Dziewczynki po samobójczej śmierci matki trafią do przytułku, a chłopca usynowi dopiero 13 lat po urodzeniu.

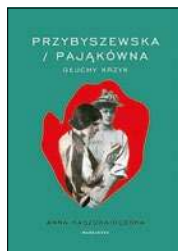
Nie inaczej postąpi ze Stanisławą, której matka o uznanie dziecka przez ojca będzie żebrać całymi latami. Stach co innego obiecywał, co innego robił. Związał się już wtedy z Jadwigą Kasprowiczową, żoną sławnego poety, która porzuciła dla niego męża i dzieci, by następnie zajmować się głównie odzwyczajaniem nowego małżonka od alkoholu. Ten obudziwszy w sobie uczucia patriotyczne, napisze m.in. istną apoteozę literatury polskiej „Szlakiem duszy polskiej”, a i wspomnienia „Poznań ostoja myśli polskiej”. Będzie też jeździć po kraju z odczytami o poezji Kasprowicza (sic!) i muzyce Chopina, którego utwory interpretował ponoć – jak na geniusza przystało – genialnie.

Od Pająkówny, którą uwiódł i zostawił, skazując na los panny z dzieckiem, wyciągać będzie drobne i większe pożyczki, zapewniając, że kocha ją jak nikogo wcześniej, a już w ich córeczce jest

zakochany wręcz do obłędu. Kiedy w końcu zobaczy dziewczynkę, da jej w prezencie dwa pluszowe kotki i to będzie posag, który przyszła autorka „Sprawy Dantona” otrzyma od swojego rodziciela. Po latach zafunduje jej jeszcze działkę morfiny, jak przystało na kochającego tatę. Bo Stanisława, po fatalnych wyborach w swoich sprawach osobistych, wpędziła się w narkomanię, egzystując w Gdańsku na granicy nędzy, by w końcu w 1935 r., w wieku 33 lat, zaćpać się na śmierć.

Jej matka osierociła ją, gdy dziewczynka miała 11 lat. Dzięki opiekunom otrzymała staranne wykształcenie, kto wie, czy nie na swoje nieszczęście. Doszła bowiem do przekonania, że jest genialna, a to, co pisze, ma znamiona wyjątkowości. Nie podejmowała więc żadnej pracy zarobkowej, żyjąc właściwie dzięki dobrym sercom kilku osób. O matce – o czym pisała po latach – myślała z czułością, choć ta w jej latach dziecięcych kazała nazywać się nianią, gdyż wszystko było lepsze od przyznania się do nieślubnego dziecka.

Stanisław Przybyszewski od Rzeczypospolitej doczekał się Krzyża Komandorskiego, a pracując w Kancelarii Prezydenta Wojciechowskiego, pomieszkiwał nawet na Zamku Królewskim. Stanisława będzie na jego pogrzebie kroczyła obok nienawidzącej jej Jadwigi Kasprowiczowej, teraz już Przybyszewskiej, podtrzymywanej przez Leopolda Staffa. W kondukcie żałobnym podążać będą artyści i generałowie, pisarze i dostojnicy państwowi. Z Góry na Kujawach, gdzie odbył się pochówek ojca, Przybyszewska szybko wróci do Gdańska, gdzie natychmiast uda się do zaprzyjaźnionego lekarza po kolejną dawkę morfiny. ©



★★★★★

ANNA
KASZUBA-DĘBSKA
„PRZYSZEW-
SKA/PAJĄKÓWNA.
GŁUCHY KRZYK”
MARGINESY,
WARSZAWA 2023



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Ulice zła

Książka legenda i historia, którą niby wszyscy znają, wszak jej ekranizacja to kamień milowy w dziejach kina noir: reżyseria: John Huston, w roli głównej: Humphrey Bogart. „Sokół maltański”. Klasyka. Jest okazja poczytać nowy przekład, do którego zabrał się Tomasz S. Gałązka.

Sam Spade, detektyw do wynajęcia, w tajemniczych okolicznościach traci swojego współnika i przyjaciela. W drodze do prawdy napotka wpływowych bandziorów, pozna szczegóły intrygi o międzynarodowym rozmachu, flirtował będzie z piękną femme fatale – wszystko to w ramach wyścigu po bezcenną figurkę. Spade będzie okłamywany na różne sposoby, zostanie pobity i odurzony, usłyszy groźby od przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości („żadne formalności i nieformalności cię nie usprawiedliwią, jeśli nie wyjawisz mi informacji dotyczących przestępstwa”). Wszystkie doskonale znane nam elementy kryminału noir są na miejscu, brakuje jedynie narracji w pierwszej osobie, do której przyzwyczaił nas Raymond Chandler, oraz mrocznych sekretów bogaczy kryjących się w swoich dusznych od grzechu posiadłościach.

Proza Dashiella Hammetta jest jednak bardzo różna

od pisarstwa Chandlera. Ten ostatni był mistrzem stylu, lirycznym czarnym kryminałem, twórcą doskonale wyedukowanym, jeśli idzie o literaturę klasyczną i współczesną; czytelnikiem poezji, wyborynym eseistą. Hammett wcześniej porzucił szkołę i miał się rozmaitych zajęć, by wreszcie znaleźć robotę jako detektyw w agencji Pinkertona. Jego najśłynniejszy bohater, Sam Spade, nie jest rycerzem w srebrnej zbroi; bywa brutalny i gburowaty, łatwo wpada we wściekłość i w ogóle szorstki z niego gość. Pionu moralnego nie traci, ale gdy trzeba pobrudzić sobie ręce, nie będzie się wzdrygał. „Sokół maltański” to krótka, prosta powieść, w której brak wewnętrznych monologów, kpiarskich dysput i cynicznych uwag na temat stanu świata i społeczeństwa. Niczym w podręcznikach pisania hollywoodzkich scenariuszy „action is character”, prawdę musimy poskładać z ułamków wiedzy zdobywanej w krótkich dialogach.

To, co zostaje w głowie, to przeświadczenie, że świat pełen jest ludzi zepsutych oraz kłamliwych i nie da się go naprawić, zwycięstwa sprawiedliwości są rzadkie i niepełne. Wszystko to wyjaśnia, dlaczego czarny kryminał musiał stać się konwencją idealnie dopasowaną do ponurego XX stulecia. ©©



★★★★★
DASHIELL HAMMETT
„SOKÓŁ MALTAŃSKI”
ARTRAGE 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Francuska sowietolog w mądrej i gorzkiej analizie. Korzenie putinizmu sięgają głęboko, a zanurzony w ponowoczesności Zachód nie rozumie natury zagrożenia i nie jest gotowy na konfrontację.



FRANÇOISE THOM
„ZROZUMIEĆ PUTINIZM”
INSTYTUT
PILECKIEGO 2023

Lektura obowiązkowa: blok poświęcony przyczynom klęski prawicowego rządu w Polsce; wśród autorów Andrzej K. Waśko i Maciej Zakrzewski. Plus m.in. fragment nowej powieści Wojciecha Chmielewskiego.



DWUMIESIĘCZNIK
„ARCANNA”,
NR 174
WYDAWNICTWO
ARCANNA

Imponująca porywającym stylem i dogłębną wiedzą biografia znakomitego pisarza Izaaka Abła, a przy okazji opowieść o tym, jak Stalin kreował i mordował swoich „inżynierów dusz”



ALEKSANDER KACZOROWSKI
„BABEL. CZŁOWIEK BEZ LOSU”
CZARNE

Wznowienie jednej z ciekawszych prac na temat ostatnich stuleci cesarstwa. Brytyjski historyk argumentuje, że to nie kłopoty wewnętrzne, lecz zderzenie z Hunami przyniosło kres panowania Rzymu.

recenzuje Piotr Gociek



PETER HEATHER
„UPADEK CESARSTWA RZYMSKIEGO”
REBIS

KOMIKS TYGODNIA:

„ALVAR MAYOR. POCHODZENIE MITÓW”

Drugi tom opowieści, które wywieść można i z dawnej literatury podróżniczo-awanturkowej, i z borgesowskich zabaw historią oraz z natury narracji, a nawet z klasycznej serii powieści graficznych Pratta o Corto Maltese. Czarno-białe, odważne plansze, których scenariusza



CARLOS TRILLO,
ENRIQUE BRECCIA
„ALVAR MAYOR”,
TOM 2,
„POCHODZENIE MITÓW”
MANDIOCA 2023

nie powstydziłby się niejeden ceniony na salonach twórca realizmu magicznego czy postmodernista.

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Wawelskie lapidarium

Kolejna nowa – po „Wawelu Zaginionym” i „Wawelu Odzyskanym” – wystawa stała „Wawel Podziemny. Lapidarium” to „nieznany dotąd zbiór nowożytnych detali architektonicznych i kamiennych rzeźb odkrywanych podczas badań i zabezpieczanych w czasie prac konserwatorskich od XIX w. do czasów współczesnych”. Aby obejrzeć wawelskie lapidarium,

należy zejść do renesansowych piwnic pod wschodnim skrzydłem pałacu królewskiego. I już sama ta przestrzeń jest częścią narracji. „Podziemny rezerwat architektoniczny stanowi ciąg historycznych pomieszczeń powstałych w pierwszej ćwierci XVI w. – pisze dr Beata Kwiatkowska-Kopka, kuratorka wystawy, kierowniczka Działu Lapidarium i Rezerwatów. – Profile detali architektonicznych użytych wtórnie jako budulec najnowszej kondygnacji nowego gmachu widoczne są w ścianach pomieszczeń, co daje niezwykle efekt estetyczny i ekspozycyjny. Są to lapides viventes – żywe kamienie”. ©©

GDZIE? Wawel

KIEDY? ekspozycja stała



FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

FOT. KRISTINA FLEVA / MUSEUM ARCHIDIECEZJI WARSZAWSKIEJ



ZWIASTOWANIE

Ryciny graficzne, malarstwo i rzemiosło artystyczne z Polski, Europy Zachodniej i Rusi ze scenami Zwiastowania. Głównie XX-wieczne malarstwo, a także barokowe miedzioryty i złotnictwo czy przenośne ołtarzyki prawosławne zawierające wśród scen z życia Marii i Chrystusa także Zwiastowanie. Wartym wyróżnienia eksponatem wchodzącym w skład wystawy jest drzeworyt Albrechta Dürera „Zwiastowanie Marii” z cyklu „Żywot Marii” (1502–1505). ©©

GDZIE? Muzeum Archidiecezji Warszawskiej

KIEDY? do 17 marca

NA SŁUCH

Szampański bankiet

Najpopularniejsza obecnie rodzima wokalistka, Zuzanna Irena Grabowska vel sanah, wydała przed świętami koncertowy album. Nie tylko podsumowuje na nim swą dotychczasową twórczość, lecz także prezentuje swoje przeboje w nowym, „poważnym” opakowaniu.

Dwudziestosięciolatka podpisała jak dotąd trzy minialbumy, cztery albumy studyjne i jeden koncertowy, które rozeszły się w blisko 900-tysięcznym nakładzie. Jest to wynik niesamowity, zważywszy na to, że tytuł złotej płyty otrzymują krążki, których sprzedaż przekroczy zaledwie 15 tys. egzemplarzy! Sanah błyskawicznie podbiła serca nastolatków. Na szczęście jej ambicje, jako absolwentki Uniwers-

ytetu Muzycznego w Warszawie, sięgały wyżej. W listopadzie 2022 r. opublikowała album „sanah śpiewa poezję”, na którym zaśpiewała m.in. wiersze naszych wieszczów oraz Wisławy Szymborskiej.

W ubiegłym roku wokalistka wyprzedała stadiony. Wcześniej zaprosiła publiczność na serię „kameralnych” bankietów, na których zaprezentowała orkiestrowo-chóralne wersje swoich utworów. Album „Bankiet u sanah” został zarejestrowany w Centrum Kongresowym ICE w Krakowie.

Muszę przyznać, że „poważna” sanah mocno mnie zaskoczyła. Wszystko wskazuje na to, że Zuzanna wyrasta na artystkę, która w przyszłości może nas nieraz zaskoczyć. ©©



GRZEGORZ BRZOZOWICZ



★★★★★
SANAH
„BANKIET
U SANAH”
MAGIC



★★★★★
NEIL YOUNG
„BEFORE & AFTER”
REPRISE

Neil reinterpretuje mniej znane piosenki, które napisał w różnych etapach swego życia. Young akompaniuje sobie na gitarze akustycznej, harmonijce, pianinie i organach. Surowe aranżacje oraz jęki głosu Young podkreślają tęsknotę, która tkwi w tych piosenkach. ©©



★★★★★
HERYK DEBICH
„1980 RAJD”
GAD

Kiedy rozpoczął się nasz boom rockowy, łódzka Orkiestra PR i TV płynęła na falach modnego brzmienia – sound of philadelphia. Aranżacje łączące smyczki z disco-funkiem brzmią i dziś rewelacyjnie. Wśród 16 instrumentalnych jest „Europa” Santany i „Dwaj ludzie z szafą” Komedy. ©©



Krzysztof Masłoi

Kogokolwiek bym spytał o to, co zrobić z telewizją publiczną, odpowiada: „zaorać”. W sytuacji, w której najbardziej atrakcyjnym towarem telewizyjnym, wymuszającym odwoływanie królujących w ramówce rzeszko od zawsze seriali, stały się kwalifikacje do konkursów skoków narciarskich, na zdrowy rozum interesujących już tylko sportowych dewiantów, jest to postulat całkowicie zrozumiały. To, co ważne, dzieje się obecnie albo na Wiejskiej, albo w Pałacu Prezydenckim, albo pod zakładami karnymi. W tym stanie rzeczy nawet perypetie rodziny doktora Lubicza ku żalowi widzów 85+ schodzą na dalszy plan, o ile w ogóle na jakimkolwiek planie się znajdują.

Nie znaczy to, że Polacy przestali oglądać telewizję nadającą z okolic ulicy Jana Pawła Woronicza. Co to, to nie, rozpowszechniła się bowiem gr pt.: „Kogo dziś wy...?”. Jak dotąd proces czyszczenia tajni Augiasza odbywa się niespiesznie, ale – jak zapewniają biegli w temacie – krwawie żniwa dopiero przed nami. Na razie nawet znany z gołębiego serca Donald Tusk uśmiecha się dobrotliwie, jak na ojca narodu przystało.

W ogóle, zanim skoczmy sobie do gardeł, szczerzymy się jak u dentysty, o czym jeszcze w głębokim PRL śpiewał Wojciech Młynarski, tyle że pytania: „W co się bawić?” nikt nie zadaje, bo wokół trwają igrzyska, o których Neronowi się nie śniło. W tym kontekście tytuł prowadzonego przez Rafała Brzozowskiego programu



FOT. ADRIAN STOK

„Jaka to melodia?”, na którym od dłuższego już czasu wisi telewizyjna ramówka, brzmi jakby prowokacyjnie. Prawidłowa odpowiedź nie może bowiem być inna jak ta: „Wciąż ta sama melodia”. A przecież nadeszło nowe i ono idzie, idzie, aż ktoś zrymuje, że jak wesz po Żydzie, a wtedy zostanie oskarżony o antysemityzm niczym Jan Pietrzak pospołu z Markami Królem i Jakubiakiem, skazany w trybie przyspieszonym i wtrącony do lochu, w którym w karczerze skazany będzie na oglądanie wyłącznie odnowionej TVP Info. Aż strach pomyśleć!

Tak naprawdę telewizja publiczna w swym wymiarze pozainformacyjnym potrzebna jest jedynie zatrudnionym w niej osobom, które zdaniem jednej części narodu zarabiają tam krocie, a zdaniem drugiej pracują za symboliczną złotówkę. Powracający do TVP oczekują bram triumfalnych, hołdów i pieśni dziękczynnych, odchodzący zaś liczą, że rzesze ich miłośników pozostaną im wierne i z zapalem będą śledzić ich poczynania, na razie ograniczające się do występów przed kamerami

ustawionymi w studiu przy ulicy Dzielnej w Warszawie.

Mowa, oczywiście, o Telewizji Republika, z której płyną jedyne dziś – jak zapewnia redaktor Danuta Holecka – prawdziwe wiadomości z nabożeństwem wysłuchiwane przez popisowskie sieroty, których jakby przybawało po każdym kolejnym, coraz bardziej finezyjnym manewrze taktycznym ministra kultury (!) Bartłomieja Sienkiewicza. Cóż dopiero mówić o pierwszych ruchach kadrowych firmowanych przez jego zastępczynię, Joannę Scheuring-Wielgus, tak, tę samą, która tak celnie scharakteryzowała Prezydenta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej jako „miękiszoną”. Po tym wyczynie spodziewam się, że to właśnie pani wiceministra osobiście zreorganizuje kanał TVP Kultura, wypuszczając stamtąd pokurskie i pomatyszkiewiczowskie miazmaty.

Na tę chwilę jednak w absolutnie wszystkich kanałach TVP trwa pokaz bylejakości i nieudolności. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że tak nędzny program Telewizji Polskiej był ostatnio w styczniu 1982 r., bezpośrednio

po tym, jak gen. Jaruzelski wprowadził na terenie całego kraju stan wojenny. Teraz gdyby założyć, że Polacy jak przed laty przykuci są do telewizorów, w którym do wyboru mają tylko dwa programy, musieliby oglądać te same filmy, które bawiły – i to do pewnego stopnia – ich dziadków, bo już rodziców wcale. Z kolei Teatr Telewizji wyciąga przerobionych 10 lat temu na musical „Chłopów” Reymonta i serwuje widowisko w dwóch częściach, w myśl zasady, że zamiast mówić, lepiej śpiewać, a śpiewać każdy może. Otóż nie, choć w naszej telewizji od niepamiętnych czasów panuje zasada przejęta z evergreenu Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego, a mianowicie: „Piosenka jest dobra na wszystko”.

Na takie czasy jak obecnie wybierać trzeba jednak wyjątkowy repertuar. Podpowiadam w tym miejscu np. „Jailhouse Rock” Elvisa Presleya, a ostatecznie aż za dobrze znany rodzimy utwór „Czarny chleb i czarna kawa”. Choć to ostatnie dopiero przed nami, to lepiej zawczasu się przygotować. ©

TOMASZ D. KOLANEK: Czym była, czym jest koncepcja Mitteleuropy?

PROF. GRZEGORZ KUCHARCZYK: Mitteleuropa to plan ustanowienia w Europie Środkowej, rozumianej jako region między Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatykiem, politycznej, gospodarczej i kulturowej dominacji Niemiec. Koncepcja ta została sformułowana po raz pierwszy w kompleksowej postaci w czasie pierwszej wojny światowej.

Sama nazwa tej koncepcji jest związana z bestsellerową książką Friedricha Naumanna pod tytułem właśnie „Mitteleuropa”, która została opublikowana po raz pierwszy w 1915 r.

Mitteleuropa to sojusz czy bardziej federacja?

Nie. Mitteleuropa to sieć imperialnych wpływów Niemiec na kraje Europy Środkowej. Główny nacisk jest kładziony przez twórców tej koncepcji na ówczesne Austro-Węgry i terytorium Królestwa Polskiego wchodzącego w skład Rosji.

Najważniejsze, jeśli chodzi o Mitteleuropę, o czym dobitnie pisał Naumann, jest to, że gospodarcza i polityczna dominacja Niemiec na tym obszarze miała być konsekwencją dominacji w innym obszarze uznawanym przez niego za najważniejszy, czyli w obszarze kultury.

Dla kogo przeciwwagą miała być Mitteleuropa? Dla Wielkiej Brytanii czy dla Rosji?

I dla Anglosasów, i dla Rosji. Z jednej strony trzeba pamiętać, że kiedy Naumann publikował swoją książkę w 1915 r., świat anglosaski to przede wszystkim Wielka Brytania, bo Stany Zjednoczone były wówczas neutralne. USA weszły do wojny po stronie ententy dopiero w 1917 r. Wielka Brytania była zaś wówczas ogromnym imperium kolonialnym, nad którym „słońce nie zachodzi”...

Jeśli chodzi o Wielką Brytanię, to niechęć Niemców jest jeszcze zrozumiała. Ale Rosja? Przecież historia XX w. pokazała nieraz, że Berlin świetnie dogadywał się z Moskwą...

To prawda. Strategia Mitteleuropy była próbą pośredniego stanowiska między tymi, którzy tkwili jeszcze w tradycji bismarckowskiej, a ultranacjonalistami.

Ci pierwsi to przedstawiciele niemieckich, głównie pruskich elit wyznający zasadę sformułowaną przez Bismarcka: „Z Rosją jak najdłużej jak najlepsze relacje.

Z prof. Grzegorzem Kucharczykiem, historykiem specjalizującym się w historii myśli politycznej XIX i XX w. oraz historii Niemiec rozmawia Tomasz D. Kolanek



Gotha: Justus Perthes



◀ NIEMIECKI PLAN DLA POLSKI WCIĄŻ AKTUALNY ▶

Mitteleuropa to plan ustanowienia w Europie Środkowej, rozumianej jako region między Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatykiem, politycznej, gospodarczej i kulturowej dominacji Niemiec. FOT. DOMENA PUBLICZNA



Żadnej wojny!'' Żelazny kanclerz zakładał bowiem, że jeśli Niemcy wojnę z Rosją wygrają, to czekają ich kłopoty, bo w swoich granicach będą mieli jeszcze więcej Polaków. Z kolei jak Niemcy wojnę przegrają, to wówczas Kozacy będą w Berlinie, czyli też same kłopoty.

Druga frakcja – ultranacjonalistyczna – zyskiwała w czasie pierwszej wojny światowej na sile i uważała, że trzeba Rosję odepchnąć daleko na wschód, a ziemie w ten sposób zdobyte, w tym także ziemie wchodzące kiedyś w skład Rzeczypospolitej, powinny być poddane bezpośredniej dominacji, a nawet kolonizacji niemieckiej.

Mitteleuropa w ujęciu Naumanna zakładała, że Rosja będzie stałym, ważnym czynnikiem. Jej wpływy należy zredukować poprzez dominację niemiecką w Europie Środkowej, ale całkowicie nie da się jej wyeliminować.

Naumann zwraca uwagę, że jeśli chodzi o konfrontację z Rosją, to kluczowe są Węgry. Kilukrotnie podkreśla, że nie wolno pozwolić, aby Rosjanie przekabacili Madziarów. Dlaczego?

Analiza Naumanna dotycząca monarchii Austro-Węgier, a także samych Węgier, jest bardzo ciekawa, ponieważ w jakimś sensie Naumann w ten sposób jest wyrazicielem bardzo silnego nurtu w Niemczech Wilhelmińskich, gdzie mówiono wprost, że Węgrzy to tacy „Prusacy Bałkan”, że właściwie „Prusak, Węgier, dwa bratanki”. Głoszono wręcz, że w węgierskim etosie jest coś pruskiego.

Były to oczywiście przede wszystkim enuncjacje propagandowe, co nie zmienia tego, że wyrażały one pewien polityczny nurt zapoczątkowany już przez Bismarcka naciskającego na Austriaków poprzez granie kartą węgierską, i do tego nawiązywał Naumann.

Obawa, że rosyjski kolos, który ciąży nad Karpatami, czyli nad Węgrami, i w ten sposób zagraża całej Europie Środkowej, była bardzo dojmująca w niemieckich elitach.

Dlaczego to Europa Środkowa, a nie Zachodnia czy Południowa jest kluczowa dla Naumanna?

Perspektywy wzrostu i rozwoju potęgi niemieckiej widziano wyłącznie w kierunku ekspansji w rejonie Europy Środkowej i Europy Wschodniej. Oczywiście formowano plany aneksji strategicznych terytoriów w północno-wschodniej Francji, Belgii czy Luksemburga, ale tak naprawdę

■ bez pokonania Wielkiej Brytanii, a na to absolutnie się nie zanosilo, były to czysto iluzoryczne aneksje.

Natomiast na wschodzie czy w Europie Środkowej Niemcy mieli ogromne pole do popisu, ponieważ możliwości manewru było więcej, zwłaszcza od momentu udanej ofensywy państw centralnych przeciw Rosji wiosną i latem 1915 r.

Ale przecież Naumann z wielką pogardą wyraża się o największych miastach Europy Środkowej... „Praga? Wiedeń? Co to są za miasta?” – pyta. Prawdziwe miasta są jego zdaniem na Zachodzie, a nie na Wschodzie.

Naumann krytykował miasta Europy Środkowej, ale w Wiedniu np. dostrzegał też pozytywty...

Tylko że owe pozytywty mieli zapewnić, jego zdaniem, temu miastu Niemcy...

To prawda, ale oddajmy sprawiedliwość Naumannowi – krytykował on również Niemcy i pisał wprost, że naród niemiecki musi jeszcze pewne sprawy i pewne swoje cechy negatywne przepracować, żeby odegrać kluczową rolę dla zorganizowania Mitteleuropy.

Naumann nie był bezkrytycznym chwalcą własnego narodu, tylko uważał, że najważniejszy błąd, który Niemcy mogą popełnić, który uniemożliwi w zarodku cały projekt Mitteleuropy, to typowa dla Niemców buta i brutalność. Pisał on wprost, że brutalne germanizowanie Polaków w stylu bismarckowskim to tragiczny błąd, ponieważ z jednej strony nie da się w ten sposób przyciągnąć Polaków do Mitteleuropy rozumianej jako projekt imperialny, a z drugiej zraża się ich nie tylko do samej koncepcji, lecz także do Niemiec.

Jego zdaniem pierwsza i podstawowa rzecz to zaprzestanie brutalnej germanizacji Polaków, ponieważ zasada Mitteleuropy, cała logika tego projektu polegała na tym, że liczą się tak naprawdę dwa słowa: wpływ i kontrola. Nie represje, nie ucisk. Wpływ i kontrola.

A nie kultura i gospodarka?

Wpływ i kontrola za pośrednictwem przede wszystkim kultury. Wszystko inne, w tym gospodarka, miało być konsekwencją.

Dlaczego podbój kulturowo-gospodarczy, a nie militarny? Przecież trwała wojna i Niemcy mogli załatwić sprawę swoimi policjami i żołnierzami...

To jest myślenie rabusiów i zdobywców, a nie myślenie imperialne. Naumann myślał w kategoriach imperialnych. Chciał zbudować imperium tak jak Rzymianie, którzy wprawdzie na początku dokonywali podbojów militarnych, ale potem, żeby utrzymać imperium, wychowywali miejscowe elity i kulturowo je formatowali. Dlatego Naumann uznał, że aby Pax Europaea funkcjonowała, musi być pewny modus vivendi, znaleziony między lokalnymi elitami a metropolią, czyli Rzeszą. Tą matrycą, wedle której miał być ukształtowany „nowy, środkowoeuropejski typ człowieka” (takiego sformułowania używał Naumann), miała być niemiecka filozofia idealistyczna.

Naumann zwraca również uwagę, jak ważne są sprawy wyznania i narodowości. Co ciekawe, wyznanie stawia przed narodowością. Dlaczego?

Trudno się dziwić, żeby autor, który był z wykształcenia pastorem protestanckim, pisał inaczej. Naumann opublikował „Mitteleuropę” w czasach, kiedy wielu pastarów niemieckich wciąż jeszcze wierzyło w Boga, i on też się do nich zaliczał. Stąd taka hierarchia.

Było to bardzo realistyczne podejście, bo – jak wiadomo – wszystkie najważniejsze problemy kulturowe, gospodarcze, polityczne w swojej genezie i najgłębszych korzeniach sięgają takiej czy innej religii.

Naumann chciał wprowadzić jedną obowiązującą religię czy stworzyć państwo ateistyczne?

Przede wszystkim wykluczał jakikolwiek Kulturkampf. Zdaniem Naumanna „swoje zrobi czas”. I miał on rację.

Proszę zwrócić uwagę, jak rozkładający wpływ na protestantyzm niemiecki oraz od lat 60. XX w. na niemiecki katolicyzm miały idee głoszone przez Hegla i Kanta, czyli niemiecka filozofia idealistyczna (spoiwo „środkowoeuropejskiego typu człowieka”). Jeśli to by potrwało – tak jak chciał Naumann – również na obszarze Mitteleuropy, to doszłoby do całkowitego rozmycia i powstania jednego wielkiego parlamentu religii.

„Decyzja o budowie gospodarki Europy będzie decyzją, która zmieni ludzkie dusze”, pisze Naumann. DUSZE...

I tu dochodzimy do istoty rzeczy. Kiedy mówi się o Mitteleuropie, to najczęściej jest to kojarzone z dominacją Niemiec, fa-

cetami w mundurach SS, którzy brutalnie eksterminują różnych tubylców Europy Środkowej. Tymczasem Mitteleuropa to oddziaływanie na duszę człowieka poprzez kulturę, co nieustannie trzeba przypominać.

Tutaj właśnie widać nowoczesność tej koncepcji. Jak popatrzymy na to, co się dzieje w Europie Środkowej od 30 lat, od zjednoczenia Niemiec, to widać wyraźnie, że Berlin realizuje to, co zalecał Naumann.

Książka Naumanna już w latach 20. została przetłumaczona na język angielski. Czyby nikt jej nie przeczytał?

Taki już los ważnych książek. Pozwólę sobie zacytować francuskiego myśliciela Jacques’a Bainville’a, który mówił o zupełnie innej książce, innego niemieckiego autora, który doszedł do władzy w 1933 r.: „Kto dzisiaj czyta i kto zrozumiał to, co przeczytał, i kto uwierzył w to, co zrozumiał?”. To jest klucz! Co z tego, że są różne edycje językowe „Mitteleuropy”, skoro ludzie nie przyjmują do wiadomości, że może za tym stać pewien projekt polityczny?

Jeśli przeanalizujemy archiwalia dyplomatyczne niemieckie z czasów pierwszej wojny światowej, to nie znajdziemy tam ani jednego miejsca, w którym dyplomaci niemieccy użyliby słowa „Mitteleuropa” w znaczeniu, o którym mówimy. Nie oznaczało to jednak, że oni tego nie realizowali. Wystarczy popatrzyć na politykę okupacyjną Niemiec w czasie pierwszej wojny światowej na ziemiach polskich, żeby wyraźnie zobaczyć, że Niemcy realizowali istotę rzeczy, to znaczy narzucali trwałą barierę rozwojową, szklany sufit. To znaczy: Polacy, wy możecie mieć nawet własne, polskie uniwersytety, ale pamiętajcie – o stopniu i skali rozwoju decyduje Berlin i tylko Berlin.

„Możemy nawet przywrócić wasze państwo, jeśli znajdzie taka potrzeba”...

Oczywiście! Możecie, Polacy, mieć nawet swoje wojsko złączone wiecznym sojuszem, oczywiście dla bezpieczeństwa europejskiego, z Rzeszą Niemiecką. Możecie mieć wszystkie atrybuty państwa – władzę, urzędy, sądy etc., ale nad tym wszystkim jest niewidzialny szklany sufit i bliskie zetknięcie z nim jest zawsze bolesne.

Dlaczego w Polsce musieliśmy czekać ponad 100 lat na przetłumaczenie „Mitteleuropy”?

Bo dopiero od niedawna funkcjonuje Instytut Pileckiego, który podjął się tego zadania z moją niewielką pomocą (napisałem wstęp do polskiej edycji książki Naumanna).

Naumann wymienia 12 punktów, które musi spełniać Mitteleuropa. Zacytuj pięć: „wspólna ustawa o rekrutacji do wojska”, „wspólne zarządzanie kolejami, siecią energii elektrycznej itd.”, „ujednolicenie walut i miar”, „jednolite prawo handlowe i bankowe”, „wspólna odpowiedzialność za dług publiczny”. Przecież to wypisz wymaluj Unia Europejska!

Prawda? Aż ciśnie się na usta pytanie: Dlaczego jeszcze żadna z sal Parlamentu Europejskiego nie jest nazwana imieniem Friedricha Naumanna?

No właśnie: dlaczego, skoro jego wizja, koncepcja, program są otwarcie realizowane od wielu lat rękami Brukseli?

Model, wzorzec, plan stworzenia tego, co jest nazywane wspólnym europejskim domem, zostały sporządzone w ogólnych zarysach w 1915 r. przez Naumanna, a obecnie mamy do czynienia z ich doprecyzowaniem przez jego gorliwych, inteligentnych czytelników.

Proszę zwrócić uwagę, że samo państwo niemieckie, to znaczy Rzesza stworzona przez Bismarcka wbrew naszym uproszczonym wyobrażeniom, nie było państwem unitarnym na zasadzie państwa totalitarnego, à la III Rzesza Hitlera. To było państwo, w którym np. Bawaria miała swojego posła w Saksonii, a Saksonia miała swojego posła w Bawarii. Bawaria miała swojego osobnego posła w Watykanie, Prusy miały swojego osobnego posła w Watykanie. Na zewnątrz wyglądało na to, że są to jakieś osobne byty państwowe, bo mają dyplomację, czasem osobny sztab generalny, osobną pocztę, osobną policję etc. Jak się przypatrzemy, to nagle okazuje się, że to nie było państwo unitarne, ale koniec końców o wszystkim decydowały Prusy, które pociągały za sznurki. Może i były wszystkie atrybuty zewnętrzne, ale w istocie rzeczy ostateczne decyzje o wszystkim podejmowano w Berlinie.

Jak popatrzymy na propozycje, jakie w ostatnim czasie są składane w Parlamencie Europejskich, to widzimy, że za Odrą chcą powrotu do tego systemu. Jeśli dołożymy do tego Mitteleuropę w wersji

2.0, co widzimy w Europie Środkowej, to witajmy w starych NIEdobrych czasach.

Wielokrotnie słyszałem od polityków, że Niemcy budują IV Rzeszę. Jaka IV Rzesza? Mitteleuropa!

Dokładnie. Żadna IV Rzesza. Odnoszę zresztą wrażenie, że mówienie o IV Rzeszy jest podnoszone przez Niemców albo za niemieckie pieniądze, żeby ośmieszyć w ogóle sam sposób myślenia o pewnych analogiach historycznych. Tak jak pan powiedział: Nie IV Rzesza, tylko Mitteleuropa 2.0. To jest bardziej adekwatne do obecnej sytuacji, którą obserwujemy.

Polska miała budować Trójmorze. Gdy tylko pojawiła się ta koncepcja, to Niemcy z miejsca chcieli do niej dołączyć...

To jest najlepszy dowód na to, że Trójmorze było poważną koncepcją, skoro Niemcy stwierdzili, że trzeba to rozłożyć od środka poprzez doszlusowanie. Berlin odkrył zagrożenie na newralgicznym dla siebie kierunku i robił wszystko, żeby je zlikwidować.

Gdy patrzemy z Berlina na Zachód, to mamy Ramstein, gdzie stacjonuje kilkadziesiąt tysięcy amerykańskich żołnierzy, więc tutaj ekspansji raczej nie będzie. Natomiast w drugą stronę, jak popatrzymy uważnie przez przejrzystą toń Bałtyku, to widzimy pewne nitki, które da się wyeksplloatować albo naprawić, jeśli są chwilowo zniszczone, i w ogóle szerokie pole do ekspansji gospodarczej, ale przede wszystkim kulturowych, chociażby przez różne fundacje i granty na Europie Środkowej.

Federalizacja UE to kolejny pomysł żywcem wzięty od Naumanna...

Dlatego nowy polski rząd powinien złożyć na ręce pani Ursuli von der Leyen postulat, żeby jakaś sala w Parlamencie Europejskim nosiła imię Friedricha Naumanna. To by zbliżyło nasze narody, zacementowało naszą przyjaźń i pojednanie na gruncie wspólnych wartości europejskich. Mówiłem to ja – Grzegorz Kucharczyk.

Niektórzy twierdzą, że lepiej być Niemcem dziesiątej kategorii niż Polakiem. Czy to oznacza, że niemieckie naciski kulturowe są skuteczne?

Tutaj mamy do czynienia z szerszym tłem i szerszym problemem. Ojkofobia, kompleksy ludzi, którzy uważają, że jeśli byli kilka tygodni czy miesięcy na jakimś stypendium w Berlinie, Monachium bądź

Kolonii, to już liźnęli tyle świata, że wiedzą, iż to jest to, do czego powinniśmy dążyć.

Jeszcze jeden cytat z Naumanna: „jeszcze długo nie nadejdzie chwila, w której ludzkość połączy się w jedną potężną organizację. Zanim powstanie ten związek – Stany Zjednoczone Ziemi – upłynie jeszcze długi okres walki między poszczególnymi blokami cywilizacyjnymi”. Naumann był pomysłodawcą rządu światowego, wielkiego resetu etc.?

Pytanie brzmi: Czym według Naumanna jest „długi czas”? Czy to ponad 100 lat od Naumanna do Klausa Schwaba? Tego nie wiem, ale rzeczywiście czytając Naumanna, pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, było to, że w dużych partiach swojego tekstu odnosił się on do rzeczywistości początku XXI w., którą obserwujemy. Dla mnie to było pewne odkrycie, ponieważ przez lata ja sam identyfikowałem Naumanna wyłącznie z planami ekspansji niemieckiej na wschód.

W „Mitteleuropie” Naumann opisuje pewne mechanizmy o wiele bardziej złożone i o wiele bardziej niebezpieczne niż tylko rojenia niemieckich nacjonalistów.

I w dodatku świat, który chce stworzyć Naumann, to może nie komunizm, tylko socjalizm doskonały...

Tak. Naumann w sensie politycznym był postem związanym z ugrupowaniem w Reichstagu, które przeszło do historii jako socjalliberalne. On zwracał uwagę w swojej publicystyce adresowanej do samych Niemców jeszcze przed pierwszą wojną światową na konieczność tego społecznego nachylenia. Dzisiaj powiedzielibyśmy: społecznej gospodarki rynkowej. Skąd my to znamy? Tu rzeczywiście pewne wzorce konstruowania tej rzeczywistości społeczno-gospodarczej, nie tylko tej polityki międzynarodowej w Niemczech, w elitach niemieckich, jak popatrzymy uważnie, są bardzo trwałe. Hitler był wyjątkiem w pewnym sensie, bo on chciał budować imperium nowego typu oparte na ludo-bójstwie i rasizmie, natomiast Naumann odwołuje się do klasycznej teorii i wizji budowania imperium, nie odbierając owieczek ze skóry i nie mordując ich, tylko je umiejętnie strzygąc. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Grzegorz Kucharczyk
– historyk, pisarz
oraz publicysta „Do Rzeczy”.



Jan Fiedorczuk

Zaledwie kilku tygodni potrzebowało Prawo i Sprawiedliwość, aby po przegranych wyborach wejść na ścieżkę, którą przez osiem lat kroczyła Platforma Obywatelska

Jeżeli cokolwiek zaskakuje w nagłej wolcie PiS, to jedynie tempo zmian, a nie ich kierunek. Bo, owszem, na poziomie czysto emocjonalnym to zrozumiałe, że zatrzymanie Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika utwardziło stanowisko PiS i pogłębiło syndrom obleżonej twierdzy. Wszak pierwszy raz w historii III RP obserwujemy tak drastyczną rozprawę z ekipą oddającą władzę. Policja wchodzi do Pałacu Prezydenckiego, posłowie zakuci w kajdanki, bezprawne działania w TVP i Prokuraturze Krajowej – to mocne obrazy, które w naturalny sposób wpływają na polityków. A jednak decyzja o przyjęciu strategii opozycji totalnej została podjęta, na długo zanim doszło do zatrzymania posłów PiS.

Wszak chyba mało kto się spodziewał, że zaledwie tydzień po exposé premiera Donalda Tuska politycy PiS wyrzucą do kosza powielaną od lat narrację o targowicy i sami zaczną pielgrzymować do unijnych dygnitarzy. I to nie w sprawie Kamińskiego i Wąsika (którzy wówczas chodzili jeszcze na wolności), tylko mediów publicznych. Widok całego wianuszka posłów prawicy na czele z Elżbietą Witek otaczających wiceszefową Komisji Europejskiej Věře Jourovą i proszących, by ta pochyliła się nad „upadkiem” polskiej demokracji, był jednym z bardziej zenujących obrazków w ostatnich tygodniach. Oto partia, która przez lata przekonywała, że donoszenie Brukseli na sytuację w Polsce to de facto zdrada narodowa, a lojalność wobec własnego państwa to cnota najwyższa – właśnie ta partia potrzebowała zaledwie kilku dni, aby pójść tą samą drogą, którą od lat kroczyła Platforma Obywatelska. A przecież to właśnie ostatnich osiem lat formacji Donalda Tuska,



PiS stał się opozycją totalną

osiem lat porażek i kryzysów najlepiej dowodzi, że polskie społeczeństwo en masse odrzuca formułę opozycji totalnej.

DOMINACJA RADYKAŁÓW

Obecna „twarda linia” o upadku demokracji, którą obserwujemy w wykonaniu

PiS, jest niesiona bardzo silną emocją stojącą za sprawą Kamińskiego i Wąsika, ale tak naprawdę stanowi jedynie kontynuację podejścia zastosowanego w kampanii wyborczej, gdy zrezygnowano z centrowego, umiarkowanego przekazu i wszelkie partyjne zasoby zaangażowano



PiS idzie tą samą drogą, którą kroczyła Platforma Obywatelska, chociaż osiem lat porażek i kryzysów formacji Donalda Tuska najlepiej dowodzi, że polskie społeczeństwo en masse odrzuca formułę opozycji totalnej. FOT. WOJCIECH OLSZAK/NEWS

w atakowanie Donalda Tuska. To wtedy Jarosław Kaczyński groził, że zwycięstwo PO będzie oznaczać „anihilację Polski”. – Nie można pozwolić, by obóz patriotyczny przegrał. Wygrana totalnej opozycji oznaczałaby koniec Polski – przekonywał prezes PiS ledwie kilka miesięcy przed

wyborami. Zatem skoro stawką politycznego pojedynku uczyniono de facto samo istnienie ojczyzny, to czy można się dziwić, że Kaczyński z mównicy sejmowej wyzywa Tuska od niemieckich agentów, a nowe porządki w kraju określa mianem „końca demokracji”?

Idąc tym tropem, Antoni Macierewicz stwierdził, że zapowiedzi PO dotyczące likwidacji CBA, IPN oraz wstrzymania CPK „wpisują się w szerszy plan likwidacji państwa polskiego”. Takie wypowiedzi można mnożyć, gdyż w ostatnich tygodniach właściwie nie było dnia, aby politycy PiS albo ich dziennikarze nie podbijali apokaliptycznego bębna. Przypomina to nieco postawę zwierzęcia zagnanego w ślepy zaułek – zszokowane zaczyna rzucać się i kąsać na oślep, wyprowadzając coraz bardziej chaotyczne ataki.

W okolicach PiS zaczęły pojawiać się już wprost radykalne pomysły, które miałyby umożliwić Zjednoczonej Prawicy utrzymanie się u władzy. „Gazeta Wyborcza” informowała niedawno, że „twardogłowi z PiS żądają od Dudy, aby stosował taktykę spalonej ziemi”, co miało się zmaterializować w postaci przesłania ustawy budżetowej do

**Obecna „twarda linia”
o upadku demokracji
przypomina nieco
postawę zwierzęcia
zagnanego
w ślepy zaułek**

Trybunału Konstytucyjnego, co z kolei miałoby prowadzić do uznania jej za niekonstytucyjną i rozpisanie nowych wyborów. Nawet jeżeli doniesienia „Wyborczej” uznamy za mało wiarygodne źródło, to przecież prezydencki doradca Andrzej Zybertowicz stwierdził niedawno, że „gdyby w polskim ładzie ustrojowym prezydent mógł odmówić zaprzysiężenia premiera, to doradzałbym prezydentowi, żeby nie zaprzysięgał Donalda Tuska”. Jeszcze mocniej wypowiedział się poseł PiS Daniel Milewski, który wprost ocenił, że Andrzej Duda, jako prezydent RP, „ma pełne prawo nie chcieć tego, aby ktoś był premierem”. – To jest jego decyzja. On ma dziś możliwości kreacyjne w tym zakresie – dodał (co spotkało się z bardzo ostrą ripostą szefa prezydenckiej kancelarii Marcina Mastalerka).

Można odnieść wrażenie, że główny przekaz PiS, który w czasach świetności miał twarz Beaty Szydło, został zastąpiony już nawet nie zimnym technokratyzmem Mateusza Morawieckiego, ale wręcz nawiedzonymi opowieściami Krystyny Pawłowicz. Najlepiej świadczy o tym to, że i sama Szydło uległa tym katastroficznym nastrojom, przekonując, że w związku z przeprowadzanymi zmianami Polskę czeka prawdopodobnie „likwidacja demokracji”.

Bezprawne działania nowych władz w TVP oraz Prokuraturze Krajowej zasługują na potępienie, ale czym innym jest krytyka rządu za łamanie prawa, a czym innym opowiadanie o upadku demokracji i totalitaryzmie. Należy znać proporcje, gdyż w przeciwnym razie popada się w śmieszność. PiS w ledwie miesiąc od przegranych wyborów przegrzał temat platformerskiego bezprawia, budując narrację godną demoliberalnego obozu III RP, który przez ostatnie osiem lat rozprzestrzenił coraz bardziej absurdalne teorie. Co prawda, formacja Kaczyńskiego jeszcze nie opowiada (jak robiła to druga strona sporu), że rząd morduje Polaków, szykuje rzeź niewinnych dzików i planuje z Putinem dokonać rozbioru Ukrainy, jednak biorąc pod uwagę poziom moralizującego diapazonu, na który wspiał się obóz Kaczyńskiego, można sądzić, że jest to tylko kwestia czasu. Poziom stawki politycznych zmagani został ustawiony już tak wysoko, i to w tak krótkim czasie, że obóz Zjednoczonej Prawicy sam skazuje się na śmieszność w oczach wyborców.

BOHATERSKI BÓJ O TVP

Jeszcze przed zatrzymaniem Kamińskiego i Wąsika swoistym pierwszym apogeum procesu budowy opozycji totalnej była „bohaterska obrona” TVP przed ludźmi Donalda Tuska. Z jednej strony mamy bezprawny sposób przejęcia mediów, odcinanie sygnału, szturmowanie budynku przez anonimowych osiłków – to wszystko z perspektywy propaństwowej jest niedopuszczalne; ponadto nie sposób nie dostrzec, że dziennikarze i politycy kładący się Rejtanem w obronie telewizji, która przez

Im szybciej politycy przejdą do fazy akceptacji, tym szybciej zawrócą ze ścieżki opozycji totalnej

lata stała się narzędziem tępej propagandy, wyglądają komicznie.

PiS stara się na obronie Telewizji Polskiej ukuć swój nowy mit na miarę mitu upadku rządu Jana Olszewskiego oraz katastrofy smoleńskiej – oto „koalicja 13 grudnia” bezprawnie, niedemokratycznie pogwałciła prawo Polaków do mediów publicznych, zdławiła pluralizm medialny i ustanowiła quasi-dyktaturę. Oglądając bohaterką „okupację” TVP oraz nie mniej heroiczną „obronę” siedziby PAP, można jednak mieć tylko jedno skojarzenie – to powtórka z ciamajdanu, który Platforma Obywatelska zorganizowała na początku rządów PiS, blokując mównicę sejmową.

I mimo że rząd był krytykowany nawet po lewej stronie sceny (vide: niedawny artykuł „Krytyki Politycznej”), to niestety po tym, co Telewizja Polska reprezentowała sobą przez ostatnie lata, Donald Tusk mógłby wjechać na Woronicza czołgiem, a Polacy i tak by nie protestowali. Szczególnie po tym, jak ujawniono zarobki niektórych gwiazd TVP. Dość wymowne jest to, że w obronie telewizji stanęli wyłącznie politycy PiS oraz dziennikarze rzeczonej stacji.

ZAPRZECZENIE, GNIEW, AKCEPTACJA

Spróbujmy zracjonalizować, na ile to możliwe, postawę PiS. Skąd ta narracja o końcu demokracji? Skąd to bieganie do unijnej komisarzy? Skąd ta komiczna obrona TVP? Wydaje się, że możemy wyróżnić trzy powody: po pierwsze, Kaczyński zdecydował o „twardej linii”, aby scementować partię po wyborczej porażce; po drugie, zaostrenie kursu polaryzuje scenę polityczną i kolejny raz marginalizuje mniejsze siły, a w szczególności niweluje zagrożenie z prawej strony w postaci Konfederacji; po trzecie wreszcie, politycy PiS najzwyczajniej nie są w stanie przetrwać wyborczej

porażki i obecnie przechodzą przez to samo piekło, przez które przechodziła Platforma Obywatelska po 2015 r. Jest takie słynne ujęcie, gdy ogłoszono wyniki pierwszej tury wyborów prezydenckich, w której Andrzej Duda wyprzedził Bronisława Komorowskiego. Kamery uchwyciły minę Andrzeja Wajdy, który najwyraźniej był w szoku i nie potrafił pojąć, co się właśnie stało. Dokładnie w takim stanie oszołomienia znaleźli się dzisiaj politycy Zjednoczonej Prawicy.

Pięć kroków żałoby – zaprzeczenie, gniew, targowanie, depresja, akceptacja – wydaje się całkiem nieźle pasować do procesu odrywania PiS od władzy. Politycy Zjednoczonej Prawicy przeszli już etap zaprzeczania („wygraliśmy wybory trzeci raz z rządu”) i właśnie osiągnęli szczytową fazę etapu gniewu. Pozostaje zatem tylko czekać, kiedy również ta faza się wypali, a PiS-owcy zaczną się targować z nową władzą, a następnie – po odrzuceniu i wyśmianiu – popadną w polityczną depresję, po której przyjdą dopiero zrozumienie, opamiętanie i akceptacja swojej sytuacji.

Im szybciej politycy przejdą do fazy akceptacji, tym szybciej zawrócą ze ścieżki opozycji totalnej. Dopóki się to nie stanie, dopóki PiS-owski mainstream będzie miał twarz Antoniego Macierewicza i Krystyny Pawłowicz, a sama partia nie wystosuje racjonalnej oferty dla ogółu Polaków, dopóty będzie przegrywać kolejne wybory. Nawet teraz zamiast szukania partnerów obserwujemy atak na wszystkie pozostałe formacje i odgradzanie się murem od każdego spoza własnego obozu. Przykładem jest choćby niedawne nawoływanie do wykluczenia z prezydium Sejmu Krzysztofa Bosaka – a zatem kogoś, kogo poparcie będzie bardzo cenne w drugiej turze wyborów prezydenckich.

Gdyby kolejne wybory odbywały się za cztery lata, być może taktyka umacniania partii przez budowę mitu „koalicji 13 grudnia” miałaby jakies szanse powodzenia. Rzeczywistość wygląda jednak w ten sposób, że już za chwilę czekają nas wybory samorządowe, potem europejskie, a za nieco ponad rok – prezydenckie. Kroczenie ścieżką opozycji totalnej gwarantuje porażkę kolejno we wszystkich tych potyczkach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wypada od czasu do czasu zajrzeć do mediów i zająrzeć, a tam – aż strach patrzeć. Wszyscy, z krótkim przystankiem na uwolnienie aresztowanych dwóch posłów, zajmują się walką o telewizję publiczną, choć pewien ważny aspekt umknął nam z widoku i zdaje się, że lud plemienny – jak zwykle – zajmuje się pobocznościami, nie zaś istotą sprawy. Spektakl telewizyjny jest żenujący, ale trzeba go tu wstępnie omówić, by porzucić go jako pozorny, gdyż dotyczy de facto powtarzalnego mechanizmu III RP – walki plemion o swoje media, a właściwie o zagarnięcie mediów finansowanych przez podatnika na korzyść promocji własnej formacji ideologicznej.

Obóz liberalnych zamachowców medialnych „ma” swoje media. „Gazeta Wyborcza” czy TVN to media nie tyle wspierające obóz nowej władzy, ile wręcz wskazujące mu kierunki działań politycznych i to jeszcze w czasach, kiedy dzisiejsi rządzący grzali ławy opozycyjne. Urabia nie elektorackich rzesz akolitów to już pochodna tej działalności, mająca przysporzyć poparcia, zamienianego kartką wyborczą na władzę. Media, co jest trendem światowym, w dodatku eskalowanym w kraju medialnego Bantustanu, którym jest Polska, są w przeważającej mierze lewicowo-liberalne. I u nas mamy taki „koncern”. To jemu przeciwstawił się PiS, ale za państwowe, czyli przejął dobra publiczne w celu posuwania swego ideolo. Oczywiście sam tego nie wymyślił. Media publiczne wchodzi w skład dóbr do każdorazowego przejścia przez aktualną władzę. Robiła to każda władza i... będzie robić.

Dzisiejsza sytuacja jest jednak trochę inna. PiS nie stworzył rynkowej alternatywy medialnej, tylko publiczną i ta, z dobrodziejstwem całego inwentarza, prędzej niż później i tak przejdzie w zasób aktualnych władz. A więc po utracie władzy PiS został praktycznie na golasa: nie rozumiał i chyba do końca nigdy nie zrozumie, że budowanie mediów zaczyna się od finansów, czyli od rozeznania i subtelnej gry z rynkiem reklamowym. Media lewicowe od tego zaczęły, od źródeł swego finansowania, są tam dobrze i na stałe umoszczone, a PiS nie. Nigdy nie był i nie będzie. Za przykład może posłużyć sytuacja z wycofywaniem się reklamo-

dawców z telewizji Republika. Toż to kompletny absurd. Pod kuriozalnym pretekstem słów Jana Pietrzaka wykonano manewr wycofania się z reklamowania w tej telewizji.

Absurd tego posunięcia polega na tym, że podczas gdy miliony widzów wygnanych z propisowskiej telewizji publicznej przeszły do jej erzacu, którym jest TV Republika, reklamodawca, któremu zależy przecież na zasięgach, właśnie TERAZ powinien przerzucić tam budżety reklamowe, idąc za widownią. Ale nie, jest odwrotnie: właśnie zwiżają budżety, co dowodzi jednego – tu nie chodziło o zasięgi i reklamę swych produktów. Pie-

plemienną wojną o media, w której obie strony zamieniają pluralizm na dualizm medialny, czyli cwańszą, zblatowaną formę monopolu, chodzi o coś innego. W tym czasie kompletnie zmonopolizowała się scena medialna w Polsce. Niepostrzeżenie dla widza, ku zgrozie niecynicznych obserwatorów rynku.

Najpierw o korzyściach z konkurencji rynkowej. Wiadomo, że mechanizm ten jest zbawienny dla każdego rynku, medialnego zaś w szczególności. Dobrodrojeństwo konkurencji jest samonapędzającym się systemem, który sam strzeże podstawowych dóbr konsumenta: dobrej jakości, niskich cen, dostępności, elimi-

Monopol na propagandę



Jerzy Karwelis

Media publiczne wchodzi w skład dóbr do każdorazowego przejścia przez aktualną władzę. Robiła to każda władza i... będzie robić. Dzisiejsza sytuacja jest jednak trochę inna

niądze na reklamę były daniną, okupem składanym mediom władzy, by ta życzliwiej patrzyła na pośredniego sponsora. Przy takim podejściu więc, gdy władza się zmienia, strumień kasy na okup zostaje przekierowany i nie podąża za widownią. Co dowodzi, że działania komercyjne nie są nakierowane na odbiorców, a na regulatorów po to, by pozyskać ich łaskawość.

ZBAWIENNA DEMONOPOLIZACJA

Dlaczego w Polsce jest to jeden z ostatnich aktów plemiennych tragedii i dlaczego zaraz tragedii? Ano dlatego, że zajęci tą

nacji graczy słabszych czy nieuczciwych. Kapitalizm wdrożony to rozumiał, co w emanacji interesów suwerena, którą jest władza, prowadziło do ustrojowych rozwiązań antytrustowych, hamujących powstanie monopolu ze swymi wszelkimi wadami.

Teraz, kiedy wpływ wielkich korporacji na politykę rozsiadł się dobrze w fotelu kierowcy, te działania państwa, jedno z najbardziej podstawowych nawet dla skrajnych liberałów gospodarczych, są w światowym zaniku. Ba, skorporacjonizowana polityka już nie

■ tylko nie niszczy monopolu, lecz także je inicjuje swymi regulacjami, eliminując różnorodność konsumenckich propozycji ze strony przedsiębiorców, czy podnosi regulacyjne koszty progu wejścia na rynek. Najbardziej zgrzytliwym i głośnym akordem tego posępnego marszu żałobnego dla konkurencyjności kapitalizmu były czasy covidowe, gdzie lockdowny były praktycznie wymierzone w mały biznes, z czego skorzystał ten duży, w ogóle nieobjęty zakazami.

Brak tego mechanizmu konkurencyjności jest szczególnie szkodliwy w przypadku mediów. Tak jak w gospodarce przy monopolu obniża się jakość, znika różnorodność i rośnie cena, tak w przypadku monopolizacji mediów jakość dostępu do spluralizowanej informacji zamienia się w nachalną propagandę, widz traci na znaczeniu na rzecz prymarnej roli sponsora. Konsument mediów nie może w sytuacji zmonopolizowania tego rynku „uciec” gdzieś do konkurencji, bo ta jest wyeliminowana. Nie mogąc więc „ukarać” odejściem od nachalnego medium, skazany jest na monopol, czasem łudzi się, że konsumuje go z krytycyzmem, ale jest to samozakłamanie – nie można stać suchym na deszczu, nie mając parasola w postaci jakiejś alternatywy. Obniża się więc wtedy bezpośrednio jakość pracy dziennikarskiej, „mediaworkerzy” stają się sługami sponsorów, bo nie muszą zabiegać o uznanie odbiorcy, skoro liczy się nie odbiór widza czy czytelnika, tylko dotarcie do niego z przekazem sponsorskim, a to gwarantuje bezalternatywność monopolu. A sponsorem może być gracz i rynkowy (coraz bardziej zideologizowany), i polityczny. I w takich mechanizmach media zamieniały się w narzędzie propagandy, i to wcale już nie konsumenckiej, tylko tożsamościowej, wręcz – politycznej.

ZAPOMNIANY STRAŻNIK

U nas też tak jest, tyle że konstytucyjnie były wytworzone i mechanizmy, i instytucje stojące na straży pluralizmu rynku medialnego. Instytucją za to odpowiedzialną była Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, ciało konstytucyjne, którego powstanie i obsadzenie postaciami obserwowałem od początku ze smutkiem. Takim ciałem stojącym na straży demonopolizacji mediów Rada teraz nie

Zbójnickie przejęcie mediów przez Tuska może paradoksalnie skończyć odwieczne spory co do istoty mediów w Polsce. Te są zakłanane (głównie przez aktualną w danym czasie opozycję) jako wspólne dobro narodowe, używane zaś przez władzę jako narzędzie propagandy. Na zdjęciu: Marek Czyż, nowa twarz TVP

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER



Może wyjść na to, że walka polityczna o media publiczne skończy się ich marginalizacją, jeśli nie całkowitą likwidacją

jest, ale chyba nigdy nie była. Od początku zajmowała się tym rynkiem z pozycji politycznych, polityczną siekierką dzieliła pasma częstotliwości, czyli dobra narodowe, to ona stworzyła załączki dzisiejszego oligopolu telewizji prywatnych, o radiu już nie wspominając.

I tak już nieświęta Rada została pozbawiona swej roli; głównie za pomocą myku ustawowego, który wykonał PiS

na początku czasu swego prosperity, czyli w 2016 r. Konstytucyjna kadencyjność Rady wymuszała pewną medialną powściągliwość w realizacji zasady, że „polityczny zwycięzca bierze wszystko”. Kadencja członków Rady, zazwyczaj z poprzedniego układu politycznego, „wystawała” czasowo poza reset wyborów i nowa władza musiała męczyć się z nominatami ze starego rozdania. Było to powodem różnych egzotycznych koalicji, ale jakoś to działało. PiS postanowił to zmienić i na mocy ustawy powołał Radę Mediów Narodowych, która zajęła się mediami publicznymi w podważanej obecnie formule spółek handlowych specjalnego przeznaczenia. Wybito więc Radzie Radiofonii najważniejszy ząb (czyli decyzyjność co do mediów publicznych), którym mogła kąsać nową władzę, ale kwestię



regulacji rynku pozostawiono w jej gestii. I Rada się odpłaciła, kompletnie odpuszczając kwestię pluralizmu rynku mediów.

MONOPOL KORZYSTA Z ZAMIESZANIA

Jako że PiS się zadowolił realizacją swego ideolo na płaszczyźnie wypożyczenia sobie mediów publicznych, na rynku prywatnym mamy już kompletny monopol. Popatrzmy – taki Soros, obcokrajowiec przecież (a głównym przeznaczeniem Rady było dbanie o „polskość” rynku medialnego z limitami udziałów podmiotów zagranicznych), to ma już ważne udziały w większości polskich mediów. No bo i akcje „Wyborczej”, a właściwie Agory, czy „Rzeczpospolitej”. Soros tu się rozpycha i ostatnio zainwestował w Wirtualną Polskę. W trzech najwięk-

szych portalach internetowych mamy więc na pierwszym miejscu niemieckiego Axla, potem Sorosa, a trzecie miejsce zajmuje Interia, która przeszła z niemieckiego Bauera do Zygmunta Solorza-Żaka. Agora ma swoją sieć rozgłośni radiowych w całym kraju i zdobyła klejnot do korony – Radio Zet. Korporacja Axel Springer też sobie radzi: wiodące tytuły prasowe plus kolejna perełka – Onet. Konglomerat TVN to także dobrze złożony organizm.

Oba koncerty uciekły władzy do... Amerykanów. TVN tuż przed niedobłą zmianą sprzedał się Discovery i teraz PiS nie mógł go ruszyć, bo znalazł się pod kuratelą ambasady amerykańskiej, co uwidoczniło się zwłaszcza wtedy, gdy ambasadoressa Mosbacher upomniała PiS przy okazji „lex TVN”, że takie numery nie przejdą. Axel zrobił ten sam numer, ale w centrali i przecież nie przeciwko PiS – sprzedał się Amerykanom w 2019 r., co w sposób podobny do TVN-owskiej amerykańskiej kryszki dało mu pośrednio w Polsce polityczną ochronę do rozrabiania w kraju coraz częściej niemieckich interesów. Wszystko wszak przecież będzie wybaczone naszemu strategicznemu sojusznikowi. Wszystkie te twory, plus lewacki pośredni sort drobniejszych tytułów, tworzą bezalternatywne środowisko medialne, promujące wszelkie łże-wartości lewicowego postępu globalizmu. Stało się to osmatycznie, krok po kroku, nie wiadomo kiedy. Dla widza, który tego nie rozumie. Bo co go obchodzą nowi właściciele ulubionego tytułu czy stacji?

Jaki jest mechanizm tego trendu, czyli co odpuszcza Rada? Rada ma obowiązek śledzić możliwe koncentracje jednorodnego kapitału w mediach, by zapobiegać ciągotom trustowym. Nie robi tego i podejrzewam, że nie z niewiedzy. Koncentracja kapitału jest łatwa do namierzenia po stosunkach właścicielskich. Jeżeli właścicielem niech i stu fundacji aktywnych na rynku medialnym w formach właścicielskich jest jeden dobroczyńca, to łatwo to namierzyć. A jeśli się namierzy, to łatwo zweryfikować znaczenie takiego faktu i wyciągnąć z tego blokujące konsekwencje.

My się tu ekscytujemy bojami plemion o jakieś studio i nadajniki, a tu podskórnie trwa proces kluczowy dla wolności słowa w Polsce. I, jako że

odbywa się on w obszarze własności przyklepanej regulacyjnie, będzie bardzo trudny do odwrócenia. Będziemy żyli w ciągłym monopolu medialnym, a dwa plemiona będą walczyły jedynie o to, by go przejąć, z tym że jeśli chodzi o PiS, to ten będzie dybał „jedynie” na media publiczne, gdyż przez osiem lat dowiódł, że nie jest w stanie zbudować medialnej rynkowej alternatywy, sądząc, że będzie rządził wiecznie, mając w rękę media publiczne i próbując je odkleić od rynkowych zasad. Uznając ten rynek za wrogi na tyle, by nawet nie próbować go kształtować.

NIEOCZEKIWANY KONIEC SPORU

Zbójnickie przejęcie mediów przez Tuska może paradoksalnie skończyć odwieczne spory co do istoty mediów w Polsce. Te są zaklinane (głównie przez aktualną w danym czasie opozycję) jako wspólne dobro narodowe, używane zaś przez władzę jako narzędzie propagandy własnych działań i dokonań. Dziś silni ludzie i pan podpułkownik rozwalają na trwałe ten organizm. Im bowiem nie zależy tak bardzo na jego przejęciu, a bardziej na jego uciszeniu. Mają przecież „swoje” media. Te podskakują z radości, bo publiczna alternatywa albo zniknie, albo się osłabi. Na tyle, że gros pieniądza reklamowego przepłynie do nich. Rozwalanie mediów publicznych byłoby więc pewną spłatą długu, który u niepublicznych mediów zaciągnął Tusk, bo to one były jego głównym narzędziem politycznym w czasach opozycyjnej smuty. Podkreślały napięcie, wskazywały winnych, tropiły pazernych władców, zwotywały i relacjonowały demonstracje.

Teraz dostają kawał rynku, opuszczony przez nowych władców mediów publicznych, którzy – jak widać – mają już, nie tylko formalnie, zapędy likwidatorskie. Tak więc może wyjść na to, że walka polityczna o media publiczne skończy się ich marginalizacją, jeśli nie całkowitą likwidacją. Te stopnieją do masy upadłościowej na korzyść ich prawdziwych likwidatorów: bloku mediów niepublicznych, dla których Tusk stał się tylko maczetą torującą drogę do kompletnego monopolu. Dla nich – finansowego, dla Tuska – ideologicznego.



Paweł Chmielewski

Śmierć Benedykta XVI głęboko zmieniła Kościół. Dopóki Józef Ratzinger żył, dopóty papież Franciszek nie ważył się dokonywać nazbyt otwarcie rewolucyjnych zmian; wołał je sugerować, zapowiadać, nieco skrywać... 31 grudnia 2022 r. opustoszał klasztor Mater Ecclesiae w Ogrodach Watykańskich, w którym mieszkał „emerytowany” następca św. Piotra. Od tego czasu Jorge Mario Bergoglio poczuł, że ma prawdziwą władzę, i zaczął podejmować radykalne, wstrząsające Kościołem decyzje. Tak jakby chciał powetować sobie prawie 10 lat oczekiwania na śmierć poprzednika

W Polsce pierwsza rocznica śmierci Benedykta XVI przeszła spokojnie; kościelne media publikowały ciepłe wspomnienia o papieżu Niemcu, a niektóre stacje radiowe czy telewizyjne poświęciły mu krótkie audycje. Nieco inaczej było we Włoszech. W Italii trwa dziś bardzo ożywiona debata o przyczynach abdykacji Józefa Ratzingera. Wrzenia było tak wiele, że dyrektor mediów watykańskich, wpływowy i ceniony przez papieża Franciszka dziennikarz Andrea Tornielli, poczuł się zmuszony opublikować artykuł, w którym zapewniał gorąco, że sprawa ustąpienia z urzędu poprzednika Franciszka została już całkowicie wyjaśniona i nie można w tej kwestii powiedzieć nic więcej, jak tylko, że 86-letni Ratzinger czuł się zbyt stary i słaby, by dalej sprawować swój urząd. Cóż, jego następca skończył niedawno 87 lat i sił do prowadzenia nawy Kościoła bynajmniej mu nie brakuje; a i sam Ratzinger, jakkolwiek słaby nie czułby się w 2013 r., przeżył jeszcze niemal 10 lat.



FOT. VATICAN POOL/GETTY IMAGES

Pontyfikat kryzysu

Wyjaśnienia Torniellogo nie wszystkich przekonują, a służby watykańskie mogą być szczególnie zaniepokojone o stabilność Kościoła od 18 grudnia 2023 r., kiedy za zgodą i pełną aprobatą Franciszka prefekt Dykasterii Nauki Wiary opublikował deklarację o błogosławieniu par homoseksualnych. Setki biskupów na całym świecie odrzuciły ten dokument, a wielu hierarchów uznało go wprost za tekst heretycki. Uczynił tak np. kard. Robert Sarah – doświadczony kuralista i wieloletni współpracownik zarówno Benedykta XVI, jak i samego Franciszka. W tej sytuacji rosnąca liczba katolików zadaje sobie pytanie, jak to możliwe, że urzędujący papież głosi tak kontrowersyjne nauczanie, i siłą rzeczy przypominają sobie oni o wszystkich wątpliwościach związanych z rezygnacją Ratzingera. Tych

nigdy nie brakowało, począwszy od kwestii prawnych, przez zadziwiający sposób życia, który obrał po abdykacji Benedykt, nosząc dalej białe szaty i używając papieskiego imienia, a kończąc na interpretacjach mistycznych, które każą uważać go za tzw. katechona – tajemniczą postać z listu św. Pawła do Tesaloniczan, która powstrzymuje nadejście Antychrysta.

Tę ostatnią interpretację rozpoznał w ostatnim czasie słynny niemiecki dziennikarz Peter Seewald, autor bestsellerowych wywiadów z kard. Ratzingerem i biografii byłego papieża, monumentalnej, choć napisanej nieco pośpiesznie i z pewnym nieładem. Seewald kilkakrotnie mówił w mediach, że spotkał się z Benedyktem kilka tygodni przed jego śmiercią. „Emeryt” miał mu powiedzieć, że bardzo się dziwi, iż

Bóg pozwala mu żyć tak długo. Według Seewalda Ratzinger był przekonany, że Pan czyni tak z konkretnego powodu: aby jego osoba pozostała znakiem autentycznego przesłania Chrystusa... Właśnie w tym kontekście Seewald przywołuje biblijną figurę katechona.

Nie wiemy, czy Benedykt naprawdę postrzegał swoją rolę w takich kategoriach; to w końcu tylko relacja, nawet jeżeli przekazana przez dobre źródło. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że niemal 10-letni okres dziwnej kohabitacji papieskiego „emeryta” i Franciszka w Watykanie był czasem pełnym poważnych napięć. W pierwszych latach pontyfikatu Jorge Maria Bergoglio Ratzinger zachowywał wprawdzie taktowne milczenie, a w wywiadach mówił o swoim następcy w ciepłych słowach. Jego różne dziwne wypowiedzi czy zachowania zrzucił na karb kultury latynoamerykańskiej i specyficznego „południowego stylu”. Sytuacja zmieniła się w roku 2016, kiedy Franciszek opublikował adhortację „Amoris laetitia”, udzielając – w formie nieco zawołowanej, ale dla takiego teologa jak Ratzinger idealnie czytelnej – zgody na udzielanie Komunii Świętej rozwodnikom w powtórnych związkach oraz wprowadzając do Kościoła taką naukę o roli sumienia, którą Ratzinger ostro zwalczał z pozycji strażnika wiary u boku św. Jana Pawła II. Z krótkich notek czy listów, które pisał wówczas Ratzinger – np. z okazji śmierci swojego przyjaciela kard. Joachima Meisnera albo do zaledwie dwa lata młodszego kard. Waltera Brandmüllera – wiemy, że bardzo silnie niepokoił się stanem Kościoła.

Prawdziwy kryzys przyszedł w roku 2020, kiedy papież Bergoglio planował wydanie dokumentu podsumowującego słynny Synod Amazoński. Ratzinger pozwolił wtedy na publikację swojego obszernego artykułu o celibacie kapłańskim. Problem polegał na tym, że Franciszek publicznie sugerował, że zamierza nieco poluzować dyscyplinę, czyniąc – przynajmniej w niektórych regionach – bezzenność nie obowiązkiem, ale opcją do wyboru. Benedykt w swoim tekście pokazał tymczasem biblijne pochodzenie celibatu i jego wewnętrzną, ścisłą więź z kapłaństwem. Publikacja tego tekstu, która nastąpiła dzięki zaangażowaniu kard. Roberta Sarah, wywołała praw-

dziwe trzęsienie ziemi: została powszechnie odczytana jako ingerencja w plany Franciszka. Bergoglio w efekcie nie poruszył kwestii celibatu, ale nie ukrywał też gniewu. Najpierw ukarał prywatnego sekretarza Benedykta XVI, abp. Georga Gänsweina, który w owym czasie pełnił zarazem funkcję prefekta rezydencji Franciszka, Domu św. Marty. Franciszek polecił mu nie przychodzić więcej do pracy. Dosłownie kilka tygodni później papież postanowił też uderzyć w Mszę tradycyjną, tak drogą Benedyktowi XVI. Rozesłał do biskupów na całym świecie ankietę w sprawie oceny tej Mszy, przygotowując sobie w ten sposób argumenty do obłożenia jej sankcjami. Rzeczywiście, rok później wydał dokument „Traditionis custodes”, w którym odwołał zarządzenia swojego poprzednika, które w powszechnej ocenie były jednym z najważniejszych dokonań pontyfikatu Ratzingera. Franciszek nie poinformował Benedykta, co zamierza zrobić; papież emeryt dowiedział się o tym z gazety. Jak powiedział abp Gänswein, Ratzinger silnie to przeżył i odebrał jako „cios”. Papież Bergoglio mógł pozwolić sobie na taki despekt, bo był przekonany, że Benedykt tym razem nie zareaguje: będzie respektował jego decyzje, jako że papież jest najwyższym strażnikiem liturgii Kościoła. W zgodnej ocenie dużej części publicystów konserwatywnych i liberalnych Franciszek przekroczył swoje uprawnienia, ale Benedykt rzeczywiście milczał, wyrażając swój ból wyłącznie w prywatnych rozmowach z Gänsweinem.

Jorge Mario Bergoglio nie pozwolił sobie jednak na wiele więcej z najbardziej radykalnymi decyzjami, ewidentnie czekając na śmierć poprzednika. Cóż, czekał się i zaczął działać. W lipcu 2023 r. ogłosił, że prefektem Dykasterii Nauki Wiary – urzędu, któremu przez ponad 20 lat przewodził Ratzinger – zostanie Victor Manuel Fernández, argentyński teolog, którego za pontyfikatu Benedykta XVI Watykan posądzał o heretyckie poglądy (jak dziś widzimy, raczej słusznie). Mając Fernándezu u boku, Franciszek rozpoczął prawdziwą ofensywę doktrynalną. Na początku października ubiegłego roku ogłosił, że Komunia dla rozwodników to



PAWEŁ CHMIELEWSKI
„PONTYFIKAT KRYZYSU”
WYDAWNICTWO
ESPRIT 2023

nie jest tylko jakaś „interpretacja” jego adhortacji, ale nowe nauczanie i wszyscy biskupi powinni je przyjąć. W październiku przeprowadził synod w Rzymie, którego konkluzją było orzeczenie o „brakach” nauki katolickiej wobec takich fenomenów jak transgenderyzm. W listopadzie oznajmił, że teologia musi przejść „rewolucję kulturalną” i ma odłąd pielęgnować „różnorodność”. Wreszcie w grudniu

wprowadził niesławne błogosławieństwa dla par homoseksualnych.

Tej gwałtowności i pośpiechowi dźwigną się nawet największe liberalne media światowe; przykładowo kilka tygodni temu „The New York Times” pisał o decyzjach Franciszka, owszem, w pochlebnym tonie, ale przyznając, że doktrynalny blitzkrieg Bergoglio jest ewidentną reakcją na śmierć Benedykta i próbą wykorzystania ostatnich lat, które mogą pozostać starzejącemu się Franciszkowi. Choć przez ostatnie lata przyzwyczailiśmy się do najrozmaitszych ekscesów najwyższej władzy kościelnej, to czegoś takiego rzeczywiście jeszcze nie było. Co więcej, papież zaczął też karać swoich przeciwników: tych, którzy sympatyzują z teologią Jana Pawła II i Benedykta XVI. Najpierw usunął z urzędu biskupa Josepha Stricklanda z Tyler w USA, a później ukarał finansowo kard. Raymonda Burke’a. Wiem, że inni biskupi związani z obozem krytyków Franciszka sądzą, że wkrótce papież może zwrócić się również przeciwko nim.

W tej trudnej sytuacji jest doskonale zrozumiałe, że katolicy patrzą na Stolicę Apostolską z rosnącym zdumieniem i zadają sobie pytania o to, do czego tak właściwie dąży Jorge Mario Bergoglio i jaka tak naprawdę była rola emerytowanego papieża, tego dziwnego „biskupa w bieli”, który przez tyle lat żył u boku Franciszka, najwyraźniej powstrzymując go samą swoją obecnością i choćby możliwością zabrania głosu przed podjęciem wielu skrajnych decyzji.

Pytania o prawdziwe przyczyny abdykacji Benedykta XVI nie były jeszcze nigdy tak aktualne. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Artykuł powstał w oparciu o książkę „Pontyfikat kryzysu. Dlaczego ustąpił papież Benedykt XVI”.

BARTŁOMIEJ ZBORSKI: Poświęcaś wiele miejsca kobietom w życiu Orwella. Kochał je, były wręcz jego obsesją. Tak jak jego pierwsza młodzięca miłość – Jacintha Buddicom?

DAVID TAYLOR: To właśnie jej miał się oświadczyć w 1927 r., a jego nieoczekiwany wyjazd do Birmy, gdzie służył w policji kolonialnej, miał być spowodowany tym, że mu odmówiła. Zresztą korespondowali ze sobą niemal do jego śmierci. Ona zmarła w 1993 r. A jednak kobiety niemal zawsze odwzajemniały jego uczucia. Uważały go przy tym za daleko przystojniejszego, niż wygląda na zdjęciach, tego zdania była np. też już nieżyjąca Lys Lubbock, redaktorka pisma „Horizon”. To ta piękna brunetka, była modelka, na drugim planie słynnego zdjęcia przedstawiającego Sonię Brownell, drugą żonę Orwella, którą poślubił, będąc niemal na łożu śmierci.

Ale po śmierci pierwszej żony Eileen, gdy pozostał samotny z adoptowanym synkiem Richardem i potrzebował kobiecego towarzystwa, miłości, także opieki, popadł w desperację.

Tak, wtedy bardzo, rzekłbym, topornie zaczął zalecać się do znacznie młodszych kobiet, przeważnie z kręgów literackich, które nawet słabo znał. One nie były gotowe do takiego związku...

A przecież był wtedy już nieźle znanym autorem „Folwarku zwierzęcego”. Gdyby wiedzieli...

No właśnie. Ale prawdziwe i z czasem ogromne pieniądze zaczęły spływać po wydaniu „Roku 1984”. Tyle tylko, że on sam był już śmiertelnie chory i nie na wiele mu się przydały. Ale np. mógł już pozwolić sobie na długopis.

???

Była to wtedy kosztowna nowość, od niedawna dostępna w Europie. Niewielu pisarzy było na nią stać. Niektóre partie „Roku 1984” pisane są już długopisem, zwanym od nazwiska jego węgierskiego wynalazcy „biro”. Mógł także zakupić dla siebie w USA i sprowadzić inną cenniejszą nowość – streptomycynę. Pozwolenie na taki prywatny import i za specjalny przywóz leku samolotem (pamiętajmy, że powojenna Anglia była krajem bardzo dotkniętym wojną, pogrążonym niemal w nędzę, racjonowano tam żywność itd.) wydał ówczesny brytyjski minister zdrowia. Niestety, kuracja tym antybio-



Z Davidem Taylorem, autorem najnowszej biografii George’a Orwella „Orwell. A New Life”
rozmawia Bartłomiej Zborski

Długi cień Orwella



Na pierwszym planie: Sonia Brownell, druga żona Orwella. W tle: Lys Lubbock, redaktorka pisma „Horizon”, która miała odrzucić oświadczenia pisarza

FOT. GEORGE ORWELL ARCHIVE/UCJL SPECIAL COLLECTIONS DIGITAL GALLERY

tykiem, choć początkowo obiecująca, też nie przywróciła mu sprawności płuc.

Listy Brendy Salkeld, Eleanor Jacques oraz dzienniki Janette Parlade, które w roku 2018 udostępniono badaczom twórczości Orwella (dwóm pierwszym z tych dam również się oświadczał) ujawniają nieznane jego oblicze.

Tak, dotyczy to jego pobytu w Southwold na początku lat 30. Ten okres w życiu Orwella był zawsze najmniej znany i zarazem najbardziej tajemniczy. W zasadzie to on ukształtował w pełni jego charakter i psychikę. Moja biografia rzuca zupełnie nowe światło na jego życie m.in. dlatego, że dotarłem do kilku osób, które go znały, które jeszcze żyją lub żyły i z którymi nie rozmawiał żaden z jego wcześniejszych biografów.

A przecież on sam wyraził przed śmiercią życzenie: nie chcę, by pisano moje biografie.

Pierwsza i tak ukazała się dopiero w 1981 r.; była autoryzowana, w tym sensie, że Bernard Crick napisał ją przy współpracy Soni Orwell.

Tyle że zabrakło u niego wielu ważnych rozmów.

No tak, choć przecież wtedy żyło znacznie więcej osób znających Orwella i jego rodzinę. Mnie, po żmudnych poszukiwaniach, udało się dotrzeć m.in. do 93-letniego Stuarta Warda. Znalazłem go w Southwold, okazało się, że mieszka zaledwie kilka mil ode mnie... Odnalazłem również kobietę uczestniczącą w ślubie Orwella, który zawarł w szpitalu z Sónią; pozostawiła ona dokładną i niezwykle ciekawą relację z tej uroczystości. Również córkę niani jego adoptowanego syna oraz wnuka rodziców pomocy domowej jego rodziny w Southwold. To, co mi powie-dzieli, bardzo zmienia utrwalony w naszej świadomości wizerunek Orwella.

W takim razie dlaczego twoja biografia uchodzi za przełomową?

Może dlatego, że eksponuję w niej mity, którymi sam Orwell z premedytacją otoczył swoje życie oraz twórczość. Pokazuję go wielostronnie, przez percepcję innych; tych, którzy go znali. Moi poprzednicy chyba zbyt często budowali mu pomniki. Oto drobny, lecz znaczący przykład: gdy w roku 1945 Orwell spotkał się w powojennym Paryżu, po raz pierwszy i jedyny w życiu, z angielskim

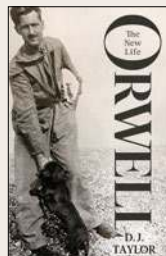
pisarzem P.G. Wodehouse'em (tym od kamerdynera Jeevesa), ów stwierdził potem, że tamten jest „swirusem (an odd bird) o osobowości wypaczonej przez system szkolnictwa i nieszczęśliwe dzieciństwo”. Zresztą Orwell poświęcił mu potem jeden ze swoich najlepszych esejów „W obronie P.G. Wodehouse’a” poświęcony jego przypadkom życiowym (po wojnie Wodehouse był oskarżany o kolaborację podczas wojny z nazistami) oraz kwestii współpracy z wrogiem w ogóle.

Jednak głosu Orwella nie odnalazłeś w żadnych archiwach?

Nie i chyba nigdy się nie dowiemy, jak brzmiał głos Orwella; według zachowanych świadectw utracił on dźwięczność, gdy Orwell został postrzelony w gardło przez snajpera podczas hiszpańskiej wojny domowej. Szelakowe płyty, na które nagrywano jego audycje emitowane przez BBC na Daleki Wschód,

Moja biografia rzuca zupełnie nowe światło na życie Orwella m.in. dlatego, że dotarłem do kilku osób, z którymi nie rozmawiał żaden z jego wcześniejszych biografów

niestety zniszczono. Skądinąd wiadomo, że audycje te nagrywano także w sekcji nasłuchów goebbelsowskiego ministerstwa propagandy, ale wszystkie te płyty – jeśli ocalały – przejęło po zakończeniu wojny NKWD, znajdują się więc one w „czarnej dziurze”, bo Sowietci odmawiają udostępnienia czegokolwiek, co jest w ich posiadaniu, a dotyczy jego osoby. A przecież wiadomo na pewno, że dysponują skonfiskowanym mu dziennikiem, który prowadził w Hiszpanii; ktoś, kto czytał jego fragmenty, twierdzi, że zawarte w nim materiały zawierają wiele informacji kompletnie zmieniających obraz ówczesnej sceny politycznej. A także jego własny wizerunek z miesięcy, gdy walczył po stronie Republiki.



DAVID TAYLOR
„ORWELL.
A NEW LIFE”
LITTLE BROWN
BOOK GROUP
2023

Ciekawe, że nie ma również Orwella na taśmie filmowej czy w archiwach telewizji BBC, a przecież za jego życia telewizja już w Anglii istniała, a on sam ją oglądał.

Tak, to też frapująca sprawa; powiem tylko, że swego czasu specjalne zespoły badawcze przeglądały cierpliwie, kadr po kadrze, niemal wszystkie filmy dokumentalne „z epoki”, to znaczy z takich miejsc w Anglii i z takich okresów, że przypadkowo jego charakterystyczna postać (był bardzo wysoki i szczupły) mogła zostać utrwalona. Rezultat był zaskakujący, a szczegóły można znaleźć w biografii.

Czy myślałeś kiedykolwiek, co by było, gdyby Orwell dożył przynajmniej osiemdziesiątki? Kogo by wspierał swoim piórem? Bo chyba nie formację uchodzącą obecnie za lewicę z jej 56 płciami, genderem, wokeizmem, ideologią LGBT, poprawnością polityczną w stylu O'Briena z „Roku 1984”, przyklekaniem na stadionach na cześć bandziora itd. A przecież on sam był przez całe życie socjalistą, członkiem lewicy...

Hm, rzecz można, że długi cień Orwella rzeczywiście skłania do takich rozważań, ale są to tylko spekulacje myślowe, nic więcej. Do Orwella odwołują się dziś chyba wszystkie obozy polityczne... Pamiętam np., że Anthony Powell utrzymywał, że gdyby dożył on lat 80., byłby przeciw ruchowi na rzecz rozbrojenia nuklearnego, że poparłby naszą wojnę o Falklandy itd. Powell był konserwatystą do szpiku kości, a jednocześnie należał do najbliższych przyjaciół Orwella. Także współczesny amerykański prąd neokonserwatyizmu umieścił go na najwyższym miejscu w panteonie swoich świętych... Osobiście wątpię, czy on sam byłby z tego powodu zadowolony, jednak on sam również w pewnym sensie to przewidział.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment biografii na str. 58–59.



David Taylor – brytyjski pisarz, teoretyk literatury, orwellista. Autor monumentalnej biografii George'a Orwella pt. „Orwell. A New Life”, która ukazała się wiosną ubiegłego roku w Anglii i w USA. Jej polska premiera przewidziana jest na 2024 r.

Orwell

złoto głupców

Niemal od dnia dostarczenia „Roku 1984” do londyńskiego biura oficyny Secker & Warburg czytelnicy tego utworu zaczęli interpretować go opacznie. Marketingowcy od Seckera dobrze wiedzieli, że mają w rękach bestseller, powieść, która – jak to ujął David Farrar, wspólnik Warburga – „jest wybitnie powyżej średniej”



Tymczasem manuskrypt „Roku 1984” trafił do rąk pierwszych czytelników. Wszyscy bez wyjątku, Leonard Moore, jego agent literacki oraz redaktorzy, byli przeświadczeni, że oto mają przed sobą coś, co być może jest wydarzeniem bez precedensu. List Orwella do wydawcy Fredrica Warburga był w zasadzie odpowiedzią na dwie obszerne pochwały, które tamten wysłał mu w trzecim tygodniu grudnia. Skromny i powściągliwy ton tego listu – Orwell dopiero w trzecim akapicie wspomina, że cieszy się, iż Warburgowi spodobała się jego powieść – ostro kontrastuje z treścią wewnętrznego memorandum, które kilka dni wcześniej otrzymali pracownicy oficyny. „Ta powieść należy do najbardziej przerażających utworów, jakie kiedykolwiek czytałem – napisał Warburg. – Nasuwały się oczywiste porównania z »Żelazną stopą« Jacka Londona – jednak jeśli chodzi o prawdopodobieństwo i grozę, to on [Orwell] przewyższa tego przecież niepośledniego autora”.

Po czym, całkiem dorzecznie, przedstawia kilka supozycji dotyczących tej powieści. Dwie z nich miały charakter ściśle polityczny. Oto, co w powojennej Europie zagrożonej hegemonią sowiecką – stwierdził – znalazło się na celowniku autora: „Mamy tu Związek Radziecki do entej potęgi, jest i jakiś Stalin, który nigdy nie umrze, jest też tajna policja wyposażona we wszelkie zdobycze nowoczesnej tech-

niki. »Rok 1984« jest »powieścią grozy« i jako taki mógłby posłużyć za scenariusz filmu grozy, który, gdyby zyskał licencję na międzynarodowe rozpowszechnianie, mógłby zabezpieczyć na 1000 lat wszystkie kraje zagrożone komunizmem”.

Jednocześnie Warburg zdawał sobie sprawę z tego, do jakich propagandowych celów powieść ta zostanie zapewne wykorzystana, usłyszemy mianowicie – zaopiniował – że stanowi ona „ostateczny rozbrat autora z socjalizmem, nie z socjalizmem równości i ludzkiego braterstwa, którego Orwell już się nie spodziewa po partiach socjalistycznych, lecz z socjalizmem spod znaku marksizmu i rewolucji menadżerów”.

FAŁSZYWE INTERPRETACJE

Wszystko to – kontynuuje Warburg – „jest spokojnie warte milion głosów oddanych na partię konserwatywną”. Jednak dwie następne sugestie Warburga są już ściślej związane z artystycznym wymiarem powieści. Z jednej bowiem strony, jak utrzymuje, „Rok 1984” jest drugą częścią trylogii rozpoczętej „Folwarkiem zwierzęcym”, z perspektywą na trzecią powieść, „w której ujrzemy drugą stronę obrazu”. Z drugiej natomiast, a w ślad za nim poszli później niektórzy recenzenci tego utworu, wskazuje na bezpośredni związek choroby Orwella z jego stanem umysłowym. „Nieodparcie nasuwa mi się przypuszczenie, że mógł ją napisać tylko

ktoś, kto, być może tylko chwilowo, stracił wszelką nadzieję, z przyczyn związanych ze stanem cielesnym, aż nadto widocznych”. Jeśli tak, jeśli uznamy, że miały one mniej lub bardziej bezpośredni wpływ na proces twórczy, to być może należałoby uznać „Rok 1984” za „książkę gruźliczą”, beletrystyczny odpowiednik ostatnich listów Aubreya Beardsleya, posępną i wyolbrzymioną, a tchnącą z niej pesymizm niesłuchanie wzmożony przez stan fizyczny autora.

Jednak nie wszystkie z tych domniemywań były poprawne: by posłużyć się przykładem tylko jednej fałszywej interpretacji, oto uznać, że Oceania jest czymś w rodzaju wiekiściego piekła, pozbawionego na zawsze wszelkiej nadziei, oznacza zignorować możliwość interwencji proli, ludzi, „w których sercach, lędźwiach i myślach gromadzi się siła zdolna w przyszłości wstrząsnąć światem”. Ponadto jest również apendyks „Zasady nowomowy” napisany w czasie przeszłym, najwyraźniej wypowiedź będącą obiektywną analizą lingwistyczną, sporządzoną, jak można się domyślać, przez kogoś, dla kogo nowomowa jest przedmiotem zainteresowania historycznego, lecz nie współczesnego.

Nie leży przy tym w moich zamiarach posądzanie wydawcy Orwella, jako krytyka, o niedostatek zdrowego rozsądku; chcę tylko pokazać, w jaki sposób niemal od dnia dostarczenia „Roku 1984” do lon-



George Orwell, lata 40. XX w.

FOT. ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

dyńskiego biura oficyny Secker & Warburg czytelnicy tego utworu zaczęli intepretować go opacznie; na to niebezpieczeństwo sam Orwell był bardzo wyczulony i dopóki żył, dopóty nieustannie starał mu się przeciwdziałać. Odbił już szybką wymianę zdań z Rogerem Senhouse'em, który poczynił pewne sugestie w odniesieniu do okładkowej notki wydawniczej („Naprawdę nie uważam, że sugestie, które zawiera szkic, który pan mi wysłał, są właściwe – strofował go – według nich, moja książka jest skrzyżowaniem thrillera z opowieścią miłosną & w moich zamiarach nijak nie leżało, żeby była ona przede wszystkim czymś takim”).

Mniej więcej w podobny sposób późniejsza korespondencja Orwella z młodym hollywoodzkim scenarzystą Sidneyem Sheldonem, który zaproponował (ostatecznie do podpisania umowy nie doszło) adaptację powieści na scenę Broadwayu, ujawnia pewne obawy autora, że jego utwór może być klasyfikowany wyłącznie jako antykomunistyczny traktat. Nie jest on antysowiecki – sugerował Sheldon – lecz antytotitalitarny; jest on jakby salwą armatnią wymierzoną w autokratyzm w sensie ogólnym, nie zaś w jego dominującej po wojnie wersji. Orwell zgodził się z nim.

BESTSELLER

Marketingowcy od Seckera dobrze wiedzieli, że mają w rękach bestseller,

powieść, która – jak to ujął David Farrar, wspólnik Warburga – „jest wybitnie powyżej średniej”. W tym wypadku właściwy nakład to co najmniej 15 tys. egzemplarzy. Co jednak zadecydowało o tym, że „Rok 1984” jest utworem o tak wyrazistym, niesamowitym oddziaływaniu, tchnącym – jak uznali Warburg i jego współpracownicy – dosłownie z każdej stronicy? [Pisarz i krytyk literacki] Malcolm Muggeridge, czytając, jeszcze przed publikacją, egzemplarz próbny, z właściwym sobie dystansem światowca uznał ją za „dość odrażającą”, zawiera ona bowiem, jak uznał, jedynie wątłe odniesienia „do czegoś, co mogłoby nastąpić”, a jej autor osiąga efekt, posługując się okropnościami, które są zwyczajnie „głupie”. Lecz najwyraźniej trafił jak kulą w płot. Wspomniany wyżej Farrar zauważył bowiem, że Orwell dokonał tego, czego nie ma nawet w późnowiktoriańskich naukowych romansach H.G. Wellsa, mianowicie wykreował dystopijny świat, tak dalece przekonujący, że czytelnik jest naprawdę przejęty losem postaci. Krajobrazom Oceanii nadała autentyzmu świadomość pierwszej generacji czytelników, że Winston i Julia przebywają, jeszcze przed ich zatrzymaniem, w otoczeniu rozpoznawalnym jako powojenny Londyn, wprawdzie upstrzony kraterami po wybuchach bomb, brudny zszargany, w którym znajduje się jednak mnóstwo znajomych obiektów; koszmarny świat całodobowej inwigilacji, przytalonego strachu – jednocześnie zespoleony ze scenarią ich własnej wyobraźni.

Osadzony w rzeczywistości Pasa Startowego Jeden, stolicy grupy terytoriów prowadzących nieustanną wojnę z rywalizującymi kompleksami państw Wschódazji i Eurazji, z zastraszonymi obywatelami pozostającymi na fasce reżimu, tyranizowanymi wszechwidzącym okiem Wielkiego Brata, reżimu zaangażowanego na co dzień w brutalne tłumienie sprzeciwu i ustawiczne manipulowanie przeszłością. „Rok 1984” bywa często postrzegany jako radykalne odejście Orwella od wcześniejszej twórczości. Faktycznie jednak utwór ten pozostaje w ścisłym związku z jego czterema realistycznymi powieściami z lat 30. Nie ogranicza się to do zwykłej prefiguracji – ot, choćby te nieustanne

sugestie dotyczące tego, co ma nastąpić, które można wyłowić, czytając wnikliwie „Wiwat aspidistra!” czy „Brak tchu” – bo jest to kwestia znacznie bardziej kluczowa dla światopoglądu autora. Tematem bowiem wszystkich jego powieści są nieudane bunty, męzne próby przeciwstawienia się zniewalającym ortodoksjom podejmowane przez bohaterów, którzy ostatecznie powracają – przywołani do porządku i pokonani – do punktu wyjścia. Podobnie jak Gordon Comstock, Winston Smith wyobraża sobie, że można zrewoltować się przeciw instytucjom narzucającym swoją wolę, by w końcu przyznać, że odniesione zwycięstwo jest zwycięstwem nad samym sobą, zwycięstwem wyrażającym się w słowach, że on sam „kocha Wielkiego Brata” [...].

SPÓŹNIONA ZAPŁATA

Przyjaciele, którzy przyjeżdżali odwiedzać Orwella w sanatorium Cranham, byli coraz bardziej przerażeni jego stanem wywołanym chorobą; Mary i Tosco Fyvelowie wspominali wprawdzie, że znajduje się w pełni władz umysłowych, lecz „był przeraźliwie wychudzony, twarz miał zmizerowaną i bladą jak wosk”. Były też jednak i dobre wiadomości – finansowe. Na jego konto bankowe wciąż napływały tantiemy za „Folwark zwierzęcy”, a ponieważ rysowały się również perspektywy na honoraria za nową powieść, Orwell mógł zlecić firmie księgowej, z której usług korzystał, rozłożenie swoich wpływów w czasie, na kilka lat, choć ponieważ górna granica podatku dochodowego wynosiła wtedy ponad 90 proc., fiskus zażądał od niego połowy dochodów z ostatnich 12 miesięcy. On jednak już przeczuwał, że pieniądze zaczęły nadchodzić zbyt późno. To złoto głupców – powiedział Mary Fyvel, gdy napomknęła mu o tym niespodziewanym uśmiechu szczęścia – złoto głupców [...].

David Taylor

Tłumaczył Bartłomiej Zborski.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

1. George Orwell, „Rok 1954”, tłum. Tomasz Mirkowicz, Warszawa 1998, s. 244.
2. „Fairy gold” – monety, którymi w angielskich bajkach mamili łatwowiernych ludzi wróżki i które po pewnym czasie zamieniały się w zeschnięte liście, strąki fasoli, ciasteczka imbirowe itd. Przenośność: pieniądz o złudnej wartości.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

„Mały”
Katyń

O Katyniu (i szerzej – sowieckich zbrodniach ludobójstwa) powinni już słyszeć i wiedzieć wszyscy, choć tak oczywiście nie jest. Zresztą zbrodnie tej miary mają nawet dziś w Polsce swych zjadłych obrońców. Bryluje w tym choćby bezkarny od lat syn jednej z dzisiejszych posłanek, który stwierdził, że „polscy oficerowie w Katyniu zasłużyli sobie na śmierć”.

Nie było to jednak przecież wyjątkowe miejsce tego typu zbrodni (jeśli chodzi o skalę, to tak). Są bowiem znane i opisane liczne miejsca, w lokalnych przekazach określane „małymi Katyniami”. Należą do nich sowieckie obozy koncentracyjne po 1944 r. na ziemiach polskich. Było ich co najmniej kilkanaście. Do najbardziej znanych należał koncлагier nr 10 – Rembertów. Warto jednak pamiętać również o tych mniej znanych, takich jak Kąkolewnica na Podlasiu. Chodzi o uroczysko Baran koło Radzyna Podlaskiego. Gdy latem 1944 r. zatrzymał się front sowiecko-niemiecki, stacjonowały tam jednostki tzw. 2. Armii „ludowego” WP i podległe jej służby, czyli Informacji Wojskowej, aparatu polityczno-wychowawczego oraz wojskowego sądownictwa.

Podlasie należało do dobrze zorganizowanych formacji Polskiego Państwa Podziemnego. Poza AK działały tam również NOW, NSZ i BCh prowadzące działalność niepodległo-

ściową. Był to dla nich okres wyczekiwania, jakie zapadną decyzje odnośnie do polskiej konspiracji; Sowietom byli bowiem zaledwie „sojusznikami naszych sojuszników” i wszędzie na swej drodze zaciekle niszczyli polskich niepodległościowców. Pytanie było oczywiste, co robić dalej, dlatego polskie struktury konspiracyjne czekały na generalne rozstrzygnięcia. Sowietom oraz ich „sojuszniczy” z nowo utworzonej Polski Ludowej nie mieli takich dylematów, nastawieni byli na fizyczną eksterminację swych przeciwników.

Okrutne, krwawe represje komunistów zaczęły przybierać w fasady prawne (parafrazując pewnego klasyka, można powiedzieć, że realizowali prawo, „tak jak my je rozumiemy”). Ofiar, w postaci zamordowanych żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego, mogło być nawet 2 tys. Do dziś ich nie policzyliśmy. Ekshumacje (zapewne częściowe) wykazały, że morderstwa popełniane były z wyjątkowym okrucieństwem.

Symbolem Kąkolewnicy są m.in. donosiciele Zbigniew Safjan (na skutek jego donosu zamordowany został tam żołnierz AK Jan Nessler) czy sędzia wojskowy Mordechajel Marcin Danzyg – morderca sądowy, który później trafił aż do Najwyższego Sądu Wojskowego! Po latach (gdy był już w PRL... adwokatem) tłumaczył się, że zajmował się wyłącznie sprawami kryminalnymi. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Śmierć kata
Warszawy

Niemcy błyskawicznie zareagowali na zamach na Franza Kutscherę. Natychmiast rozpoczęli poszukiwania jego uczestników, a jednocześnie zarządzili masowe łapanki. W ciągu jednej doby aresztowano blisko 600 osób, a dzień po zamachu, w miejscu jego przeprowadzenia, rozstrzelano 100 mężczyzn.

Kolejne 200 osób rozstrzelano w ruinach getta, to jednak nie było wszystko. 10 lutego rozstrzelano następne 140 osób na Woli i Ochocie i bliżej niesprecyzowaną liczbę aresztowanych na terenie dawnego getta. Dzień później na ulicy Leszno powieszono 27 osób, a 15 lutego rozstrzelano ok. 40 osób na ulicy Senatorskiej. Były to jednak ostatnie egzekucje uliczne w Warszawie, od tej chwili aż do wybuchu powstania warszawskiego nie mordowano już publicznie mieszkańców miasta, nie podawano też informacji na temat liczby i nazwisk straconych. Pod tym względem zamach spełnił swoje zadanie.

Niestety, po wojnie bohaterowie zamachu, którzy przeżyli powstanie warszawskie, trafili na „czarną listę” UB i zapłacili najwyższą cenę. W maju 1952 r. zamordowano Zdzisława Poradzkiego („Kruszynkę”) służącego wówczas w stopniu majora w Ludowym Wojsku Polskim. „Rayski” (Aleksander Kunicki), który rozpoznawał Kutscherę i jego zwyczaje, wprawdzie przeżył wojnę,

ale został oskarżony o współpracę z gestapo (!) i skazany na karę śmierci. Na szczęście wykonanie wyroku zostało wstrzymane, a kolejny proces oczyścił go z zarzutów. Zmarł w 1986 r.

Michał Issajewicz („Miś”) nie wziął udziału w powstaniu warszawskim. Aresztowany w maju 1944 r. trafił do obozu koncentracyjnego Stutthof, udało mu się jednak przeżyć. Po wojnie został inżynierem budownictwa lądowego, był też konsultantem przy filmie „Zamach” Jerzego Passendorfera (premiera 12 stycznia 1959 r.) opowiadającym o akcji na Kutscherę. Zmarł w Warszawie w 2012 r.

Wojnę przeżyły także łączniczki, które sygnalizowały wyjazd z domu samochodu z katem Warszawy. „Hanka” (Hanna Rewska) pracowała jako geodeta, związała się z kołami opozycyjnymi i w 1958 r. została skazana za kolportaż paryskiej „Kultury”. Wprawdzie wyrok bezwzględny więzienia został zawieszony, straciła jednak pracę, a jej nazwisko objęto zapisem cenzury. W efekcie nie wymieniano go w książkach czy artykułach na temat zamachu. Zmarła w 1970 r.

Z uczestników akcji najdłużej żyły „Kama” (Maria Stypułkowska) i „Dewajtis” (Elżbieta Dziębowska). Obie przeżyły powstanie, pierwsza z nich została pedagogiem, druga po wojnie ukończyła studia muzykologiczne. Obie zmarły w 2016 r. ©©

Michał Rachoń w swoim sztandarowym porannym programie rozmawia z zaproszonymi gośćmi o bieżących wydarzeniach i najważniejszych tematach ostatnich godzin w polskiej polityce.



#JEDZIEMY

@michalrachon

Od poniedziałku
do piątku

7:35

w Telewizji Republika



Jacek Przybylski

Jest coraz bardziej prawdopodobne, że w listopadowych wyborach Amerykanie zdecydują o zmianie lokatora w Białym Domu. Według najnowszych sondaży szanse na pokonanie prezydenta Bidena mają zarówno Donald Trump, jak i jego republikańscy konkurenci: Nikki Haley oraz Ron DeSantis

Już w styczniu 2025 r. na 47. prezydenta Stanów Zjednoczonych może zostać zaprzysiężony kandydat Partii Republikańskiej. Czy będzie to Donald Trump? Na razie wiele na to wskazuje. Były prezydent zmiażdżył rywali w prawyborach w Iowa, zdobywając ponad 51 proc. głosów. Tak wyraźnego zwycięstwa nie odniósł jeszcze nigdy żaden z kandydatów od 1972 r., a więc od momentu, gdy pierwszy raz w tym stanie odbyły się prawyborcy (sam Trump w 2016 r. zdobył tu zaledwie 24 proc.). Jego rywale w wyścigu po nominację Partii Republikańskiej zostali bardzo daleko w tyle. Drugie miejsce w Iowa zajął gubernator Florydy Ron DeSantis (zdobywając 21 proc. głosów), a trzecie była ambasador USA przy ONZ Nikki Haley (z poparciem 19 proc.). Czwarty z kandydatów – 38-letni biznesmen hinduskiego pochodzenia, Vivek Ramaswamy – otrzymał w Iowa zaledwie 8 proc. głosów. Szybko ogłosił więc, że wycofuje się z wyścigu, i oficjalnie poparł starania o nominację Donalda Trumpa.

MARATON, A NIE SPRINT

Prawyborcy w niewielkim rolniczym stanie Iowa mają jednak znaczenie głównie symboliczne. Zdobyć tu można zaledwie 1,6 proc. delegatów. A poza tym historycznie rzadko wskazywały ostatecznego zwycięzcę wyścigu po partyjną nominację i Białą Dom. W ciągu pięciu dekad tylko sześciu wygranych w Iowa zostało oficjalnymi kandydatami, a jedynie trzech zwycięzców w tym stanie zostało później prezydentami USA (Jimmy



W wyścigu po nominację zostało już tylko troje kandydatów (od lewej): Donald Trump, Ron DeSantis i Nikki Haley. FOT. AP/EAST NEWS

Triumf Trumpa

Carter w 1976 r., George W. Bush w roku 2000 oraz Barack Obama w 2008 r.). Iowa nie odzwierciedla bowiem struktury demograficznej i politycznych preferencji całej Ameryki. Prawyborcy w tym stanie są jednak ważne z innego powodu: pozwalają ograniczyć liczbę kandydatów. Zresztą w tym roku wielu wykruszyło się, jeszcze zanim mieszkańcy Iowa, mimo siarczystego mrozu, ruszyli do głosowania. Z 14 kandydatów marzących o nominacji na politycznym ringu zostało już tylko troje.

Kluczowe znaczenie dla ich politycznej przyszłości może mieć wtorek 23 stycznia w New Hampshire. To kolejny niewielki stan (zdobyć można tu zaledwie 40 z ponad 2,5 tys. delegatów na lipcową konwencję Partii Republikańskiej), ale wynik wyborów może już wskazać ostatecznego partyjnego rywala Donalda Trumpa.

Nikki Haley już w ubiegłym tygodniu przekonywała, że to już się stało i że teraz jest to tak naprawdę wyścig dwójga

kandydatów: jej i byłego prezydenta. Była ambasador USA przy ONZ bez ogródek atakowała Trumpa, wytykając mu jego zaawansowany wiek (ma 77 lat) i przekonując, że tylko ona daje Ameryce nadzieję na zakończenie kosztownej wizji ponownego starcia Bidena z Trumpem. Haley tym samym podjęła kluczową decyzję: woli zmierzyć się z byłym prezydentem niż grzeczными wypowiedziami zapewnić sobie propozycję walki o wiceprezydenturę u boku Donalda Trumpa.

Haley liczy na zwycięstwo w New Hampshire (ewentualnie bardzo silne drugie miejsce), gdzie dużą grupę głosujących stanowią bardzo umiarkowani wyborcy, a następnie na wygraną w Karolinie Południowej. Taki scenariusz mógłby przekonać część wyborców, że wyścig po nominację wbrew pozorom wcale nie jest jeszcze przesądzony. Na razie jednak średnia wyciągnięta z wyników ostatnich ogólnokrajowych sondaży jest dla rywali byłego prezydenta bez-

litosna: Trump może liczyć na poparcie na poziomie ponad 63 proc., a Haley i DeSantis niecałych 12 proc.

ROZCZAROWANI BIDENEM

Spiralę rosnącego poparcia dla polityków z Partii Republikańskiej najbardziej nakręca urzędujący prezydent Joe Biden. Trzy lata jego straszliwie nieudolnych rządów sprawiły bowiem, że od Partii Demokratycznej odwracają się jej najwięksi zwolennicy. Ekipa Bidena nie zdołała rozwiązać żadnego z istotnych problemów trapiących Amerykę. I chociaż polaryzacja poglądów w USA jest tak olbrzymia, że wydaje się być nawet większa niż w Polsce, to obecny prezydent ma ogromny problem z mobilizacją elektoratu, który zapewnił mu zwycięstwo w wyborach w 2020 r.

Nieudolność Bidena sprawia, że najnowsze sondaże wskazują jasno: urzędującego prezydenta ma szanse pokonać każdy z głównych kandydatów w wyścigu po nominację Partii Republikańskiej. Wielu Amerykanów jest bowiem przekonanych, że kogokolwiek by w listopadzie wybrali, to i tak będzie o wiele lepszy niż Joe Biden.

Według sondażu CBS News/YouGov najwyraźniej potencjalny pojedynek z obecnym gospodarzem Białego Domu wygrywa Nikki Haley – ciesząca się ogromnym poparciem wśród Amerykanów z wyższych wykształceniem, a także wśród mieszkańców amerykańskich przedmieść oraz wśród umiarkowanych oraz niezależnych wyborców. Pięćdziesięcioletnia była ambasador USA przy ONZ oraz była gubernator Karoliny Południowej może zdobyć głosy większej liczby wyborców, którzy wcześniej głosowali na Bidena. Eliminuje ona także przewagę Joe Bidena nad politykami Partii Republikańskiej w kobiecym elektoracie. Ma również świetne notowania wśród tych, którzy chcą głosować na polityka pełnego empatii (49 proc. popiera Haley, a kolejne 49 proc. Bidena) oraz skłonnego do kompromisu (50 proc. głosowałoby na Haley, a 48 proc. na Bidena). Jednocześnie była dyplomatką cieszy się dużo większą popularnością wśród tych, którzy chcą prezydenta potrafiącego pokazać siłę (59 proc. takich wyborców głosowałoby na Haley, a tylko 39 proc. na Bidena). Efekt? W starciu o Białą Dom Nikki Haley mogłaby według sondażu liczyć na

poparcie 53 proc. głosujących, a Joe Biden na 45 proc. Gubernator Ron DeSantis w pojedynku z urzędującym prezydentem wygrałby według tego sondażu 51 do 48 proc. Najmniejszą przewagę nad Bidenem zyskałby zaś Trump – poparłoby go 50 proc. ankietowanych, a na Bidena głosowałoby 48 proc. respondentów.

GOSPODARKA I IMIGRACJA

Przeciwnicy Trumpa oskarżają go nie tylko o dokonanie najpoważniejszego „zamachu na demokrację” w historii USA, lecz także o tendencje autorytarne. Jego zwolennicy kochają go zaś m.in. za to, że w przeciwieństwie do Bidena Donald Trump jako prezydent zrealizował wiele złożonych wyborcom obietnic. Zwolennicy byłego prezydenta liczą więc na to, że po powrocie do Białego Domu weźmie się za konkretne działania zmierzające do poprawy sytuacji gospodarczej Ameryki, a także zatrzymanie ogromnej nielegalnej imigracji. Zwolennicy Trumpa przekonują także, że tylko tak charyzmatyczny przywódca jak były prezydent może wprowadzić rządy twardej ręki, pokonać chaos i przywrócić w Ameryce prawo i porządek. Co bardzo ważne, aż 49 proc. Amerykanów sądzi, że jeśli wygra Trump, to finansowo będzie im się wiodło lepiej (o Bidenie sądzi tak tylko 21 proc. respondentów).

Jednakże w historii USA nie było jeszcze liczącego się kandydata, na którym ciążyłoby tak wiele zarzutów karnych (gdyby we wszystkich sprawach został rzeczywiście skazany i usłyszałby maksymalny wymiar, to groziłoby mu grubo ponad 700 lat więzienia). I chociaż w Iowa większość wyborców (aż 80 proc.) deklarowała, że sprawy sądowe Trumpa uważa za polityczne próby podkopania szans tego kandydata, to jednak kolejne wyroki skazujące mogą teoretycznie sprawić, że utraci on poparcie istotnej części elektoratu. Z sondażu dla ABC News wynika bowiem, że jeśli Trump zostanie skazany, to zdaniem jednej trzeciej sympatyków Partii Republikańskiej nie będzie się już nadawał na prezydenta.

Dodatkowo w Sądzie Najwyższym na rozstrzygnięcie czekają decyzje takich stanów jak np. Kolorado, które zdecydowały o wykluczeniu Donalda Trumpa z wyborów prezydenckich, powołując się na kontrowersyjną interpretację jednego z przepisów, który ze względu na jego

udział w „buncie” (szturmie na Kapitol) miałby odbierać mu prawo do kandydowania.

WYBORY KLUCZOWE DLA ŚWIATA

Wprawdzie sondaże pokazują, że polityka zagraniczna dla amerykańskich wyborców liczy się o wiele mniej niż kwestie gospodarcze czy problem z migrantami, ale niezależnie od wyniku listopadowych wyborów w USA jedno jest już pewne: wynik tegorocznego głosowania może zmienić losy świata. Wpływanie bowiem zarówno na geopolitykę, jak i na gospodarki różnych krajów. Przedsmak można było już poczuć w ubiegłym tygodniu. Miażdżąca przewaga Trumpa w Iowa wystraszyła część inwestorów i była jednym z powodów spadków na warszawskiej giełdzie oraz gwałtownego osłabienia złotego wobec głównych walut, w wyniku którego dolar pierwszy raz w tym roku przekroczył granicę 4 zł.

Zagraniczni inwestorzy obawiają się wpływu, który na pozycję Polski może mieć powrót do Białego Domu byłego prezydenta, zwłaszcza w kontekście toczącej się tuż za wschodnią granicą wojny rosyjsko-ukraińskiej. Po ogłoszeniu wyników w Iowa Donald Trump zabrał bowiem głos m.in. na tematy międzynarodowe i kolejny raz podczas kampanii odniósł się do problemu największej od drugiej wojny światowej wojny w Europie. – Rosja nigdy nie zaatakowałaby Ukrainy, gdybym to ja był prezydentem. Putin i ja dobrze się dogadywaliśmy, dogadywaliśmy się bardzo dobrze – to dobra rzecz, nie zła rzecz – przekonywał Trump. Część komentatorów odczytuje te słowa jako zapowiedź „przehandlowania” Ukrainy. Wizja ponownych rządów byłego prezydenta jest więc odbierana przez część inwestorów jako dodatkowe ryzyko dla Polski i – szerzej – Europy Środkowej i Wschodniej. Ponadto gdyby Trump zdołał przekonać Putina choćby do zawieszenia broni, inwestorzy powinni zareagować na to pozytywnie. Groźby dotyczące opuszczenia NATO przez USA mogłyby z kolei przekonać europejskich sojuszników Ameryki do ponownego zwiększenia wydatków na obronność i – pomijając strach przed retoryką charyzmatycznego przywódcy Partii Republikańskiej – przynieść Staremu Kontynentowi więcej zysków niż strat.

Lai Ching-te (znany też jako William Lai) z pewnością zdążył już przywyknąć do obelg miotanych wobec niego przez władze w Pekinie.

W trakcie ostatniej kampanii wyborczej chińscy komuniści starali się przekonać Tajwańczyków, że ten 65-letni lekarz, od czterech lat sprawujący funkcję wiceprezydenta Tajwanu, to podżegacz wojenny, amerykańska marionetka, wróg pokoju i generalnie człowiek, który bawi się zapałkami w składzie prochu.

Chińczycy z kontynentu stawiali więc sprawę jasno: głos na Lai to opowiedzenie się za wojną z potężnym Pekinem. Z kolei głos oddany na jego głównego kontrkandydata z Kuomintangu (KMT) to opowiedzenie się za normalizacją stosunków z ChRL, ściślejszą współpracą i wiążącym się z tym wzrostem dobrobytu mieszkańców wyspy. Pokazując „marchewkę”, chińscy komuniści machali też jednak na ostatniej prostej kampanii „kijem” w postaci nasilonych prowokacji wojskowych wokół wyspy, a nawet nad nią. Tajwańczycy w ciągu ostatnich tygodni wielokrotnie obserwowali bowiem przeloty balonów wypuszczanych z terytorium ChRL. Obiekty te zbliżały się do baz tajwańskich sił zbrojnych i przypominały mieszkańcom kraju, że Pekin cały czas „czuwa”. Presja czerwonego mocarstwa nie przyniosła jednak spodziewanych rezultatów i Tajwańczycy wybrali „podżegacza wojennego”.

Wynik wyborów przyjęty został na szczytach władz w ChRL z ogromnym niezadowoleniem, choć już od listopada wiadomo było, że to właśnie kandydat Demokratycznej Partii Postępu (DPP), wiceprezydent u boku sprawującej drugą kadencję prezydent Tsai Ing-wen z tej samej partii, ma ogromne szanse, by dać DPP bezprecedensową trzecią kadencję.

W listopadzie okazało się bowiem, że główni kontrkandydaci Lai Ching-te nie są

Smokowi nie w smak



Piotr Włoczyk

Chińskie władze bardzo nerwowo zareagowały na wyniki wyborów prezydenckich na Tajwanie. Wiele wskazuje na to, że w Cieśninie Tajwańskiej zrobi się w najbliższym czasie jeszcze goręcej



Lai Ching-te po swoim zwycięstwie stara się uspokajać gorączkowe nastroje na szczytach władz ChRL. FOT. LOUISE DELMOTTE/AP/EAST NEWS

w stanie porozumieć się ze sobą i wystawić jedną kandydaturę. To z kolei musiało się skończyć rozbiem głosów i wygraną kandydata, który obiecywał kontynuację kursu prezydent Tsai obranego na utrwalanie odrębności wyspy wobec kontynentalnych Chin i umacnianie tajwańskiej tożsamości.

OBROŃCA (DE FACTO) SUWERENNOŚCI

„Tajwan już jest suwerennym, niepodległym państwem o nazwie Republika Chińska” – powiedział Lai w zeszłym roku w wywiadzie z Bloombergiem, powtarzając tym samym stanowisko prezydent Tsai. Ponadto, by nie przekraczać czerwonej linii wyznaczonej przez Pekin, zarówno urzędująca prezydent, jak i jej następcy powtarzają, że nie ma potrzeby ogłaszać oficjalnie niepodległości. Po swoim zwycięstwie Lai starał się uspokajać gorączkowe nastroje na szczytach władz ChRL i podkreślał potrzebę współpracy z Chinami i budowania mostów.

Tożsamość Tajwanu stanowi największą różnicę między DPP a opozycyjnym KMT. Politycy tej drugiej partii nie stawiają na ostrzu noża kwestii odrębności Tajwanu, sygnalizując gotowość do pewnych ustępstw na rzecz Pekinu, choć prawdą jest też, że w ostatnich latach KMT – widząc nastroje panujące wśród Tajwańczyków – stonowało swój entuzjizm wobec kontynentu. Hou You-yi, kandydat Kuomintangu w ostatnich wyborach (dołączył do partii, jeszcze gdy kierował nią Czang Kaj-szek), podkreślał, że w trakcie swoich rządów nie będzie poruszał kwestii zjednoczenia.

Na to nie ma bowiem w tajwańskim społeczeństwie przyzwolenia. Wszystkie sondaże pokazują, że zdecydowana większość Tajwańczyków jest za utrzymaniem status quo lub wręcz powolnym zmierzaniem w kierunku ogłoszenia niepodległości. Natomiast za natychmiastowym lub stopniowym zjednoczeniem z Chinami (czyli po prostu wchłonięciem przez ChRL) opowiada się mniej niż 10 proc. obywateli. Również mniej niż 10 proc. respondentów uważa Chiny za partnera godnego zaufania.

Spore różnice między dwoma głównymi kandydatami na urząd prezydenta Tajwanu widać również w kwestiach wojskowych. Lai popiera zwiększanie wydatków na obronność (obecnie wynoszą

one jedynie 2,5 proc. PKB, czyli mniej niż np. w USA), budowę własnych okrętów podwodnych, zacieśnianie współpracy wojskowej z USA, a także intensyfikowanie szkolenia wojskowego młodych Tajwańczyków. Z kolei jego kontrkandydat nie widzi potrzeby zwiększania siły armii, co uważa za niepotrzebną eskalację w relacjach z „Wielkim Bratem” z kontynentu.

Reakcje świata zachodniego na zwycięstwo Lai odebrane zostały przez Pekin właśnie jako eskalowanie napięcia. Chińscy komuniści uważają, że wybory na wyspie to „wewnętrzna sprawa Chin” i w związku z tym nikt inny (szczególnie USA) nie ma prawa zabierać w tej kwestii głosu. Pekin zareagował alergicznie już na same gratulacje dla Lai wystosowane przez Białą Dom. Amerykanie ewidentnie nie mają zamiaru ustępować Chinom pola w grze o Tajwan, bo już następnego dnia po wyborach wysłali na wyspę swoją delegację. I choć w jej skład wchodził Stephen J. Hadley, narodowy doradca USA do spraw bezpieczeństwa w administracji Busha juniora, oraz James B. Steinberg, zastępca sekretarza stanu za czasów Obamy), to i tak komunistyczne władze uznały to za pogwałcenie zasady „jednych Chin”. W myśl tej polityki Amerykanie nie utrzymują stosunków z Tajwanem, uznając dyplomatycznie jedynie ChRL.

EMERYTOWANI „NAUCZYCIELE”

Wszystko wskazuje na to, że kadencja Lai będzie jeszcze bardziej wyboista pod kątem relacji z Chinami niż ostatnie osiem lat. Pekin przestał rozmawiać z Tajpej w 2016 r., gdy Tsai Ing-wen wygrała wybory i wyraźnie zakomunikowała Xi Jinpingowi, że pod jej rządami nie będzie mowy o jakimkolwiek procesie zjednoczeniowym. W tym samym roku doszło do rozmowy, która jasno pokazała Chińczykom, że sytuacja na Tajwanie zmierza w niebezpiecznym dla nich kierunku. Po raz pierwszy od 1979 r., gdy Jimmy Carter przerzucił uznanie dyplomatyczne z Tajwanu na ChRL, doszło do bezpośredniej rozmowy amerykańskiego prezydenta (choć wówczas jeszcze elekta) z przywódcą tego wyspiarskiego kraju. Gest Donalda Trumpa doprowadził do furii chińskie władze i dał przedsmak tego, co miało się niedługo zacząć dziać w relacjach Waszyngtonu i Pekinu.

Następca Tsai Ing-wen uważany jest przez otoczenie Xi Jinpinga za polityka jeszcze bardziej radykalnego od niej pod względem zabezpieczania odrębności Tajwanu, a obaj ostatni amerykańscy prezydenci bardziej wyraźnie niż ich poprzednicy sygnalizują, że będą gotowi na wiele, by utrzymać status quo.

USA do niedawna prowadziły wobec Tajwanu politykę strategicznej niejednoznaczności, bez jasnych deklaracji. Prezydent Joe Biden zerwał z nią, kilkakrotnie jasno deklarując, że Ameryka będzie broniła Tajwanu w przypadku chińskiej inwazji. Utwardzaniu stanowiska Waszyngtonu towarzyszy coraz bardziej stanowczy ton ze strony Xi Jinpinga. W listopadzie zeszłego roku, w trakcie spotkania z Bidenem w Kalifornii, prezydent ChRL podkreślił, że „kwestia Tajwanu pozostaje najważniejszą i najbardziej wrażliwą kwestią w stosunkach amerykańsko-chińskich”. Xi Jinping nie mówi już, że zjednoczenie Chin i Tajwanu musi się dokonać pokojowo (a wręcz nie wyklucza użycia siły), a podczas ostatniego przemówienia noworocznego podkreślił, że zjednoczenie to „dziejowa konieczność”.

I choć w reakcji na ostatnie wybory na wyspie Biden podkreślił, że USA nie popierają niepodległości wyspiarskiego kraju, to jednak Waszyngton wysłał coraz bardziej jednoznaczne sygnały. W zeszłym roku Amerykanie po raz pierwszy przeznaczili środki na transfer uzbrojenia dla Tajwanu (w ramach programu FMF), przekazując temu państwu sprzęt wyciągnięty z własnych magazynów.

„The New York Times” spekuluje, że Ameryka może umieścić na wyspie wojskowy sprzęt logistyczny, co Pentagon robi już w innych państwach regionu, przygotowując „grunt” pod wysyłanie dostaw uzbrojenia i amunicji na wypadek wojny. „Tajemnicą poliszynela jest też to, że na Tajwanie jest coraz więcej amerykańskich doradców wojskowych, głównie emerytowanych oficerów – pisze „NYT”. – Niektórzy przedstawiciele tajwańskiego rządu nazywają ich »nauczycielami angielskiego«. W trakcie rządów Lai może ich przybyć znacznie więcej”.

A wszystko to dzieje się wokół cieśniny, przez którą przepływa niemal połowa morskiego transportu kontenerowego...

Specjalna operacja antypolska



Maciej Pieczyński

Najpierw do niewoli trafił rzekomo „polski najemnik”. Następnie FSB zatrzymała „polskiego szpiega”. Moskwa demonizuje i zarazem przecenia Warszawę. W oczach kremlowskiej propagandy Polska to agresywne mocarstwo, które zagraża zarówno Rosji, jak i Ukrainie

Miesiąc temu w walkach pod Krynkami Rosjanie rzekomo wzięli do niewoli Polaka, walczącego po stronie Ukrainy. Nagranie przedstawiające zatrzymanie najemnika opublikował na swoim Telegramie Władimir Saldo, szef okupacyjnej administracji obwodu chersońskiego. Widać na nim, jak rosyjscy żołnierze udzielają rannemu jeńcowi pomocy. Słychać, jak jęczy z bólu i krzyczy coś niezrozumiałego. „Co ty, Polak jesteś?” – dopytuje żołnierz. Jeniec potwierdza. Mówi: „Da, Polak”, stawiając akcent, zgodnie z rosyjską fonetyką, nie na „o”, tylko na „a”. 11 stycznia „Rossijskaja Gazeta” opublikowała na stronie internetowej fragment rozmowy z rzekomym jeńcem, który leży na szpitalnym łóżku i mówi zmodyfikowanym głosem. Nie wiadomo, czy to na pewno jego głos. Ust nie widać, a twarz jest zamazana. Przedstawia się jako Dawid Wojewódzki. Mówi po polsku. Ma jednak bardzo wyraźny rosyjski akcent. Popelnia błędy językowe, wskazujące na to, że jego ojczystym językiem nie

jest polski, tylko rosyjski właśnie. Mówi, że jest z „miejsca Puławy”. Wywiad jest wyraźnie zmontowany. Najpierw wyświetla się kadr z tekstem pytania, a następnie widzimy i słyszymy odpowiedź „Polaka”. Skąd się wziął na froncie? „Pieniądze, chciał zarabotać pieniądze” – odpowiada „Dawid Wojewódzki”. Po rosyjsku „ja chciałem zarobić” to „ja chotiel zarabotać”. Dalej opowiada, że „ukraińska armia uciekła, a ja został się jeden” (ros. „a ja ostalsja odin”). Pytany o to, co zamierza dalej robić, stwierdził, że „pomyśleć jeszcze rano” (ros. „rano” – wcześniej), bo źle się czuje. Wie jednak, że „nie chce kontaktować z ZSU”, bo „kiedy była sytuacja słoźna” (ros. „słoźna” – trudna), oni po prostu ubiegli” (ukraińscy towarzysze broni mieli go porzucić na polu walki). Dodał też: „Dziękuję Rosjan wojskowych (po rosyjsku dziękuje się nie komuś, czemuś, tylko kogo, czego), bo pomagają dziś mnie”. Stwierdził również, że w Rosji jest traktowany bardzo dobrze. „Teraz Dawid wzywa swoich polskich rodaków, aby nie powtarzali jego błędów i nie ryzykowali

życiem dla pieniędzy, bo przecież dla niego Ukraińcy nie ryzykowali i zostawili go rannego” – relacjonował Saldo na Telegramie.

CZARNY SEN ROSJANINA

Dzień po publikacji wywiadu z „polskim najemnikiem” kremlowskie media poinformowały o zatrzymaniu przez FSB „polskiego szpiega”. A dokładniej – Rosjanina, który rzekomo współpracował z polskim wywiadem. W zamian za informacje o działalności strategicznie ważnego przedsiębiorstwa w Penzie, w którym pracował, dostał obietnicę pomocy w wyjeździe za granicę. Polskie MSZ zaprzeczyło tym rewelacjom.

FSB opublikowała nagranie z zatrzymania „szpiega” i przeszukania w jego mieszkaniu. Film wygląda jak ekranizacja najczarniejszego snu Rosjanina, karmionego kremlowską propagandą o nazistowskim Zachodzie, wspierającym również nazistowski „reżim kijowski”. W szafie wiszą kurtki: jedna z naszytą amerykańską flagą, druga moro z szewronem w barwach narodowych Niemiec, trzecia też moro, z naszywką – symbolem NATO. Jest też zdjęcie, na którym widać, jak zatrzymany hajluje, broszura po polsku o Waffen-SS, obrazek z Hitlerem, dolary, podręcznik do nauki języka ukraińskiego, a także... polska konstytucja.

Oczywiście zarówno w przypadku „najemnika”, jak i „szpiega” mamy do czynienia z niezdarną inscenizacją, z fałszerstwem tak ordynarnym, że nikt poważny nie jest w stanie w nie uwierzyć. A przynajmniej nikt poważny na Zachodzie. Obie historie są raczej towarami propagandowym na użytek wewnętrzny. Prosty Rosjanin, nieznający języków obcych, uwierzy, że „Dawid Wojewódzki” mówi po polsku. Nie zdziwi się też, że NATO-wski szpieg jest wielbicielem Hitlera i polskiej konstytucji jednocześnie. Przecież zgodnie z kremlowską narracją III Rzesza była tylko kolejną emanacją Zachodu, który od wieku próbuje podbić Rosję, przywdziewając różne maski. Obie fejkowe opowieści mają jedynie dowiedzieć, że obecna wojna toczy się nie tylko z Ukrainą, lecz także z całą potęgą „kolektywnego Zachodu”. Jego forpocztą, „psem łańcuchowym”, najbardziej rusefobicznym krajem Europy, jest natomiast Polska.

Od momentu, gdy stało się jasne, że Ukraina walczy z Rosją przy wsparciu państw NATO i UE, oficjalni przedstawiciele Kremla czy nieoficjalni propagandyści regularnie formułowali pod adresem Zachodu groźby ataków rakietowych czy wręcz atomowych. Polska, jako kraj przyfrontowy i najbardziej zaangażowany we wsparcie Kijowa, nie tylko militarnie, lecz także emocjonalnie, była tych gróźb adresem szczególnym. Rosjanie zdają sobie sprawę z tego, że w Warszawie żadna zmiana władzy nie zmieni nastawienia do wojny na Ukrainie. Gdy Warszawa w oficjalnej terminologii Kaliningrad zaczęła nazywać Królewcem, Dmitrij Miedwiediew zaproponował zmianę nazwy Polski na „Carstwo Polskie w składzie Federacji Rosyjskiej”. Władimir Sołowiew często nawołuje do zbombardowania Warszawy. W jednym ze swoich programów zasugerował, że Polska, jako „była rosyjska gubernia”, powinna „wrócić na łono matuszki Rosji”, w której składzie rozwijała się gospodarczo. W wielu innych wypowiedziach kremlowskich i prokremlowskich propagandystów forsowana jest teza, że okresem największego rozkwitu państwa polskiego były czasy PRL. Często pojawia się też ni to groźba, ni to prognoza, że „awanturnicza polityka Warszawy” wobec Ukrainy doprowadzi do powtórki z historii. Czyli do kolejnych rozbiorów.

Najwięcej jednak o polityce Warszawy mówi się w Rosji w kontekście relacji z Kijowem. Jak wiadomo, rzekomym celem „specoperacji” jest walka z neobanderowcami w ramach „denazyfikacji” Ukrainy. Kremlowskie media często przypominają o ludobójstwie na Wołyniu. Naiwnością byłoby jednak twierdzić, że Moskwa może być dla Warszawy w tej sprawie sprzymierzeńcem. Po pierwsze, Polacy w oczach Kremla to tacy sami „naziści” jak Ukraińcy. Oni mają na sumieniu Wołyń, a my – „zbrodnie” Armii Krajowej i Żołnierzy Wyklętych. Według Rosjan do wojny nie doprowadził pakt Ribbentrop-Mołotow, tylko uległa wobec Hitlera postawa Zachodu. A przede wszystkim Polski.

KRYTYKA ZA IMPERIALIZM

W putinowskiej propagandzie Ukraińcy krytykowani są za nacjonalizm, a Polacy czasem za nacjonalizm, najczęściej jednak za imperializm. Tę narrację można streścić następująco. O pano-

wanie nad Europą Wschodnią przez kilka wieków toczyła się walka między dwoma mocarstwami: Rzeczpospolitą i Moskwą, ostatecznie rozstrzygnięta na korzyść tej ostatniej. Polska do dziś nie potrafi się z tą klęską pogodzić. Odczuwa fantomowe bóle po utraconym imperium. Stąd tak wielka jej aktywność w polityce wschodniej. Celem Warszawy nie jest powstrzymanie rosyjskiego imperium, tylko odtworzenie własnego.

Rosjanie mierzą nas swoją miarą. I właśnie stąd te pojawiające się bardzo często po 24 lutego 2022 r. insynuacje na temat rzekomych agresywnych zamiarów Polski wobec „sojusznika”. Kłamstwa o tym, że Warszawa planuje odzyskać Ukrainę Zachodnią, padają z ust nie tylko publicystów, lecz także rzeczniczki MSZ Marii Zacharowej czy nawet samego Władimira

Według propagandy Kremla „rozbiór Ukrainy” to dla Warszawy tylko przystanek na drodze do prawdziwego celu

Putina. Pomysł Jarosława Kaczyńskiego, by wysłać misję NATO na Ukrainę, słowa Andrzeja Dudy o metaforycznym „braku granic” między Polską a Ukrainą, fantazje na temat federacji polsko-ukraińskiej czy spekulacje Radosława Sikorskiego o rzekomo imperialnych zamiarach PiS na początku wojny – to wszystko, zdaniem rosyjskich propagandystów, niezbite dowody na to, że polskie czołgi już grzeją silniki, aby ruszyć na Lwów. Również wszelkie wzmocnienia polskiej armii komentowane są jako element przygotowań do wojny – czy to z Rosją, czy to z Ukrainą.

Narracja Kremla i jego tub propagandowych idzie dwutorowo. Polacy są straszeni ukraińskim nacjonalizmem. Ukraińcy – polskim imperializmem. Paradoksalnie to drugie ostrzeżenie formułowane jest o wiele częściej. Rosjanie traktują Ukraińców jak swoich rodaków, południowo-zachodni odłam rosyjskiego świata, który sztucznie oderwał się od macierzy pod wpływem zachodniej propagandy. Dlatego próbują odwołać się do cywilizacyjnej wspólnoty prawosławnych wschodnich Słowian, których współ-

nym językiem jest rosyjski, a wspólnym wrogiem – „polski pan”. Kiedyś szlachta Rzeczypospolitej gnębiła ukraińskich chłopów, siłą zmuszając ich do przyjęcia katolicyzmu. Dziś polscy politycy, na zlecenie USA i NATO, zmuszają zwykłych Ukraińców do walki z bratnim narodem rosyjskim i przyjęcia lewackiej ideologii Zachodu (o tym, że Ukraińcy przede wszystkim walczą o niepodległość, mowy nie ma – przecież nie są odrębnym narodem, więc ich aspiracje to spisek wrogów Rosji, a nie szczere uczucia). Polacy są tutaj prawdziwym czarnym charakterem. Nie dość, że szykują się do inwazji na sąsiada, to jeszcze prześladują uchodźców. Rosyjskie media alarmują z troską, że w krajach UE – w tym w Polsce – Ukrainkom odbiera się dzieci. Blokada granicy przez przewoźników komentowana była jak prawdziwa wojna. Wojna, w której giną ludzie – ukraińscy kierowcy. Gdy Duda porównał Ukrainę z tonącym, który brzytwy się chwytą, Zacharowa się z nim przewrotnie zgodziła. Stwierdziła mianowicie, że Warszawa, wspierając kolejne „zamachy stanu” w Kijowie i dostarczając „kijowskiej juncie” broń do walki z Rosją, sama w ten sposób ciągnie „sojusznika” na dno.

A jednocześnie wcześniej Moskwa sama wielokrotnie proponowała Warszawie, w różnych formach, różnymi kanałami, rozbiór Ukrainy. Polska nigdy się na to nie zgodziła, więc teraz sama jest oskarżana o chęć podboju sąsiada. I tylko Rosja może obronić bratni naród przed zakusami „panów”.

Jednak, jak przekonuje kremlowska propaganda, „rozbiór Ukrainy” to dla Warszawy tylko przystanek na drodze do prawdziwego celu, którym jest... zniszczenie nienawidzonej Rosji. Rękami Ukraińców i Amerykanów. Moskwa zatem raz nie docenia Polski, a raz przecenia. Raz jesteśmy wyśmiewani jako mało znaczące państwo, piesek, który głośno szczeka, ale ugryźć nie jest w stanie. A raz demonizowani, przedstawiani jako główny motor napędowy zachodniej rusofobii. Rosjanie nie mogą się zdecydować, czy „imperialna Rzeczpospolita” istnieje tylko w fantazjach za-kompleksionych polskich polityków czy też może powoli staje się faktem. Pewni są jednego – jesteśmy dla nich wrogiem.

Nowy król Danii Fryderyk X z żoną Marią i była królowa Małgorzata II (panowała aż 52 lata)

FOT. IDA MARIE ODGAARD/RITZAU SCANPIX/AP/EAST NEWS

Karoca kontra limuzyna

Trudno przecenić miejsce i znaczenie, które w życiu narodów mają rytuały i symbole. Małgorzata II nie przypadkiem wybrała 14 stycznia na dzień swej abdykacji. Dokładnie tego dnia w 1972 r. wstąpiła na tron po śmierci swego ojca Fryderyka IX. Ta sama data może teraz stać się punktem odniesienia dla jej następcy. Tylko okoliczności nie są tak bolesne jak przed laty, gdy młoda królowa, w żałobie po śmierci ojca, podczas uroczystości ubrana była na czarno.

W przeciwieństwie do pełnych rozmachu niedawnych uroczystości koronacyjnych Karola III w Londynie ceremonia



Teresa Stylińska

Duńska królowa Małgorzata II w niedzielę 14 stycznia ostatni raz wystąpiła w roli monarchini. Tego dnia złoconą królewską karocą przejechała ulicami Kopenhagi do pałacu Christiansborg, siedziby parlamentu, gdzie na posiedzeniu Rady Państwa podpisała akt abdykacji. Wróciła limuzyną. Jej najstarszy syn, który z tą chwilą stał się Fryderykiem X, odwrotnie: jako książę udał się do pałacu samochodem, wrócił zaś karocą, już jako król

w Kopenhadze była prosta i skromna. Jej punktem kulminacyjnym było ogłoszenie przez premier Mette Frederiksen z balkonu pałacu Christiansborg, że od tej chwili królem Danii jest Fryderyk X. On sam krótko powiedział – nie ukrywając wzruszenia, co nie uszło uwadze obserwatorów – że „pragnie być królem, który jednoczy” i że „to zadanie przyjmuję z dumą, szacunkiem i radością”.

JAK GROM Z JASNEGO NIEBA

Duńczycy żegnali swą królową z miłością, wielkim żalem i ogromnym wzruszeniem – najlepszy dowód, że traktowali ją nie jak odległą monarchinię na tronie, lecz jak kogoś bliskiego. Wielu podkreślało, że Małgorzata była dla nich jak matka, że stanowiła źródło duchowego wsparcia czy też – jak to określiła pani premier – „uosobienie narodu”. Małgorzata II panowała 52 lata, dla wielu poddanych jej obecność była najbardziej stałym ze stałych punktów odniesienia, źródłem spokoju i pewności (podobnie zresztą jak obecność Elżbiety II w Wielkiej Brytanii). Niejeden miał okazję spotkać ją osobiście, bo Małgorzata regularnie odbywała podróże po kraju.

„Będąc w Danii, trudno nie dostrzec, jak ważna jest dla ludzi rodzina królewska. Dannebrog, duńska flaga, jest wciągana na maszt, by uczcić urodziny jej członków, oni sami zaś uświetniają niezliczone imprezy publiczne. Ogromne wsparcie, które okazano rodzinie podczas choroby i po śmierci księcia Henryka [małżonka Małgorzaty – przyp. red.] w lutym 2018 r., pokazuje, jak mocno Duńczycy popierają monarchię” – tak jej miejsce w życiu Danii opisywał ostatnio magazyn „Your Danish Life”.

Zapowiedź abdykacji spadła więc na poddanych Małgorzaty jak grom z jasnego nieba. Nawet jeśli wcześniej po cichu spekulowano, że może ona zdecydować się na ustąpienie z tronu, pogłosek nie brano poważnie. Sądono, że Małgorzata będzie panować do śmierci, kierując się poczuciem obowiązku, takim samym jak to, które kazało Elżbiecie II trwać do ostatniej chwili na posterunku. Bo zresztą Małgorzata nie kryła, że brytyjską królową, swą wcale nie tak odległą kuzynkę, traktuje jak wzór poważnego traktowania obowiązków. Do zmiany zdania skłoniły Małgorzatę problemy

zdrowotne. Przed rokiem przeszła poważną operację kręgosłupa, która na dłuższy czas wyłączyła ją z pracy.

To z jednej strony uświadomiło jej ograniczenia, które przychodzą z wiekiem (ma już 83 lata), z drugiej zaś pokazało, że książę Fryderyk, dziś 55-letni, który przez ten czas wyręczał ją w obowiązkach publicznych, wypełnia je bez zarzutu. To wszystko razem wzięte znalazło wyraz w deklaracji, która padła w pamiętnym noworocznym wystąpieniu królowej. „Operacja – mówiła królowa – skłania do zastanowienia się nad przyszłością. Czy nadszedł już może czas, by przekazać obowiązki następnemu pokoleniu? I ja uznałam, że tak. Ten czas nadszedł”.

GDZIE SĄ REPUBLIKANIE?

„Gdy królowa Małgorzata niespodziewanie ogłosiła, że zamierza abdykować, nagle cały kraj przestał świętować. Byłem akurat na sylwestrowym spotkaniu i właśnie rozmawiałem z brytyjskim dziennikarzem. »Fantastycznie! – wykrzyknął. – Co za wspaniała decyzja! Dlaczego wszyscy europejscy królowie nie abdykują?«. Spokojnie zauważyłem, że gdy w Wielkiej Brytanii czasami słyszę tego rodzaju uwagi, w Danii jeszcze nie spotkałem republikanina. Ani jednego”.

Autor tekstu opublikowanego na łamach brytyjskiego tygodnika „The Spectator” jest duńskim biznesmenem, który dzieli czas między Danią i Wielką Brytanią. Z tej perspektywy zastanawia się, co powoduje, że skandyhawscy królowie cieszą się tak wielką popularnością. Trudno przy tym nie dostrzegać, że w Danii sympatia i szacunek, które otaczają zarówno rodzinę królewską, jak i samą instytucję monarchii, to w decydującej mierze zasługa Małgorzaty. Gdy wstępowała na tron, mniej niż połowa Duńczyków – tylko 42 proc. – uważała, że to dobrze, iż ich kraj jest królestwem. Dziś monarchię popiera ponad 82 proc.

Na taki bezprzykładny skok złożyły się zarówno cechy duńskiej monarchii, jak i osobiste przymioty Małgorzaty. Nie są to sprawy, które łatwo można oddzielić, zważyć i przeliczyć. Na pewno nie bez znaczenia jest to, że duńska monarchia nie jest kosztowna i obywatele nie mają powodu do narzekania, że płacą bają-

skie sumy na utrzymanie ludzi uprzywilejowanych przez swe urodzenie. Do tej pory wprowadzie, jak pisze magazyn „Your Danish Life”, nie sporządzono bilansu, który pokazałby, czy i jak ponoszone wydatki przekładają się na wpływy (z kontaktów handlowych umacnianych dzięki królewskim wizytom zagranicznym, z turystyki itp.), koszty jednak nie

**Duńczycy żegnali
swą królową
z miłością, wielkim żalem
i ogromnym wzruszeniem**

są na tyle duże, by warto było płakać nad każdą wydaną koroną (Dania, przypominajmy, nie zgodziła się na przyjęcie euro i pozostaje przy koronie). Wydatki na monarchię to 343 mln koron rocznie, w tym 82 mln na koszty bezpośrednio związane z utrzymaniem dworu i rodziny.

W dodatku – to niezaprzeczalny plus – rodzina królewska wykazuje chwałębną skłonność do samoograniczania się. Od ubiegłego roku tytuły królewskie, a wraz z nimi apanaże, straciło czworo wnuków królowej – dzieci jej młodszego syna Joachima, obecnie attaché wojskowego w ambasadzie Danii w Waszyngtonie. Stało się to źródłem rodzinnych niesnasek, królowa jednak, choć bardzo nad tym bolała, nie cofnęła decyzji. Ostatnio zaś postanowiono, że choć dzieci króla Fryderyka tytuły książęce zachowują, to z finansowania publicznego będzie korzystał tylko najstarszy z nich, 18-letni książę Chrystian, od 14 stycznia następcą tronu. Duńska monarchia musi dotrzymać kroku współczesności.

POPIELNICZKA W ZASIĘGU RĘKI

Nie każdy król może pochwalić się dokonaniem wykraczającym poza ściśle zdefiniowany obszar monarszych obowiązków czy akceptowanych czynów sportowych. Pod tym względem Małgorzata stanowi przypadek jedyny w swoim rodzaju: to królowa pracująca. Poza tym, że musiała wypełniać obowiązki wynikające z jej pozycji jako głowy państwa – podpisywanie ustaw, udział w posiedzeniach Rady Państwa, ■

■ prowadzenie konsultacji w sprawie tworzenia rządów, udział w uroczystościach państwowych, wizyty zagraniczne i goszczenie gości ze świata w Danii – zostawiła sobie spory margines na zajęcia quasi-zawodowe, związane z jej zainteresowaniami artystycznymi. Królowa jest uznaną ilustratorką książek, a także projektantką scenografii i kostiumów, ostatnio do filmu Netflix'a „Ehregard. Sztuka uwodzenia” znanego reżysera Billiego Augusta.

Nie mniejsze jednak wrażenie robi niezależność Małgorzaty, która nie uważa, że musi pod każdym względem dotrzymywać kroku współczesności. Okazało się, że wiele współczesnych wynalazków można ignorować bez uszczerbku dla reputacji. Małgorzata nie korzysta z Internetu, nie używa telefonu komórkowego – „i bardzo mi z tym dobrze”, jak kiedyś zauważyła. Za to dużo pali i nie zamierza przestać dopóty, dopóki – jak mówi – „będzie mieć popielniczkę w zasięgu ręki”.

Współczesne zasady monarchii konstytucyjnej radykalnie ograniczają królom i ich rodzinom możliwość zabierania głosu na tematy polityczne i budzące kontrowersje. Nie może być inaczej, jeżeli monarcha ma stać ponad podziałami i być królem dla wszystkich. A jednak Małgorzata zlekceważyła obowiązujący dziś kanon poglądów, gdy wyraziła wątpliwość, by zmiany klimatu mogły być skutkiem działalności człowieka. I nic się nie stało. Gdy przed laty król Szwecji Karol Gustaw XVI skrytykował energetykę atomową, burzy nie było końca.

Dodajmy do tego spokojne życie i brak skandali. Jedyny za panowania Małgorzaty poważny zgrzyt – choć mimo wszystko nie skandal – wywołał jej mąż, hrabia Henri de Laborde de Montpezat, francuski dyplomata, który po latach wspólnego życia dał wyraz niezadowoleniu, że zamiast tytułu „króla małżonka” nosi skromniejszy tytuł „księcia małżonka”. Na znak dezaprobaty na jakiś czas opuścił dwór, w dodatku zaś nie życzył sobie, by pochowano go razem z Małgorzatą.

Autor artykułu w „Spectatorze” popularność monarchii przypisuje także istotnym cechom społeczeństwa duńskiego. Po pierwsze, Duńczycy są społeczeństwem dość, jak na kraje Zachodu, jednorodnym. Imigranci stanowią 8 proc.

Duńska monarchia jest pod wieloma względami wyjątkowa. Na przykład wśród obecnie istniejących jest najstarsza

mieszkańców – niemało, mniej jednak niż w Holandii, Szwecji czy Wielkiej Brytanii. Społeczeństwo bardziej homogeniczne, nierozdzielane konfliktami, o których przed laty nikomu się nie śniło, łatwiej skupia się wokół wspólnych spraw. Po drugie, 72 proc. Duńczyków to zarejestrowani członkowie duńskiego Kościoła luterńskiego, który nie został zepchnięty na margines tak bardzo, jak Kościoły – katolicki czy protestanckie – w innych krajach. Po trzecie, patriotyzm, który nie jest czymś wstydliwym. Duńczycy lubią manifestować przywiązanie do ojczyzny, wywieszając flagi i używając małych chorągiewek w charakterze dekoracji.

Z DANII NA INNE TRONY

Królewskie dynastie mają z reguły stały zestaw imion, które przewijają się przez kolejne pokolenia. Król Ludwik to oczywiście Francja, Jerzy i Edward – Anglia, Karol i Jakub – Szkocja, Alfons – Portugalia. Na tym polu jednak żadna rodzina królewska nie wykazuje się taką konsekwencją jak dynastia duńska. Od 1513 r., czyli przez ponad 500 lat, na duńskim tronie zasiadali wyłącznie Fryderykowie i Chrystianowie!

A Małgorzata? W tym akurat przypadku symboliczna kłamra spinająca średniowiecze i współczesność powstała w sposób niezamierzony. Gdy Małgorzata II przyszła na świat jako najstarsze dziecko Fryderyka IX, nikt nie sądził, że zostanie królową. Duński tron dziedziczono w linii męskiej, a para królewska – Fryderyk IX i królowa Ingrid – mogła przecież z powodzeniem doczekać się syna. Tak się nie stało i rodzina królewska dochowała się tylko trzech córek. Imię Małgorzaty jednak też nawiązuje do przeszłości Danii. Małgorzata I, jej poprzedniczka sprzed 600 lat, to władczyni, za której rządów w 1397 r. zawarto unię kalmarską łączącą Danię, Norwegię i Szwecję, a pośrednio także Finlan-

dię, która przez kilkadziesiąt lat wchodziła w skład Królestwa Szwecji.

Skandynawska unia istniała niewiele ponad 120 lat, pozostawiła jednak trwałe skutki. To dzięki unii Dania, najmniejsze z jej państw, weszła w posiadanie terytoriów zamorskich, które przejęła od Norwegii. Chociaż Islandia w międzyczasie zdołała się odłączyć, to Grenlandia i Wyspy Owcze pozostają pod władzą Danii, nawet jeśli jest to władza ograniczona. Dodajmy, że kraje nordyckie od stuleci łączą tysiące więzów w każdej bez mała dziedzinie, włącznie z więzami dynastycznymi.

Dania to mały kraj i mało kto wie, że duńska monarchia jest pod wieloma względami wyjątkowa, poczynając od tego, że wśród obecnie istniejących jest najstarsza – pierwszy duński władca Gorm Stary rządził od roku 936 do 958. Jeszcze bardziej jednak zdumiewa to, że przez ponad 1000 lat zachowana została całkowita jej ciągłość. Nigdy żaden król duński nie został obalony i ścięty, jak zdarzyło się w Anglii, czy wygnany, jak w Hiszpanii. Co więcej, kolejne dynastie były zawsze bocznymi gałęziami domu panującego. W ten sposób stara dynastia oldenburgska stała się dynastią Oldenburg-Glücksburg. Co zaś szczególnie ciekawe, duńska monarchia dała początek dwóm innym. Nowe państwa – Grecja i Norwegia – swych królów, którzy przybrali imiona Jerzego I i Haakona VII, wyszukały sobie i znalazły w Danii.

Pozostaje oczywiście powszechnie zadawane pytanie, jakim królem będzie Fryderyk X. Jest dobrze wykształcony, zresztą jako pierwszy przedstawiciel rodziny królewskiej zdobył stopień naukowy (na uniwersytecie w Aarhus, z nauk politycznych), ma za sobą służbę we wszystkich rodzajach wojsk, jest wysportowany i nie stroni od wyzwań, takich jak udział, w 2000 r., w trwającej cztery miesiące wyprawie przez Grenlandię. Z żoną Mary Donaldson, australijską prawniczką, ma czworo dzieci, które uczą się w szkołach publicznych. I jest, jak to określają światowe media, „climate friendly”, co oczywiście ma być komplementem. Kredyt zaufania ma w każdym razie ogromny. A czy będzie powielał dobry styl działania matki czy też, co zaleca mu wielu, wypracuje swój własny – to się dopiero okaże.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



SCHWARZENEGGER I ZA DROGI ZEGAREK

Znany aktor i były gubernator Kalifornii został zatrzymany na lotnisku w Monachium. Celnicy poprosili go o otwarcie bagaży, a w nich znaleźli zegarek Audemars Piguet o wartości 26 tys. euro, którego Arnold Schwarzenegger nie zgłosił służbom celnym. Służby uznały, że wwiezienie takiego dobra z USA na teren Niemiec powinno zostać zgłoszone jako import, i wszczęły wobec aktora karne postępowanie skarbowe. Na nic zdały się tłumaczenia Schwarzeneggera, że zegarek wiezie na Światowy Szczyt Klimatyczny i chce go oddać na aukcję podczas kolacji rozpoczynającej ten zjazd. Po trzygodzinnym przesłuchaniu nałożono na niego karę – 35 tys. euro.

FOT. EWA JACOWIN/INVISIONAR/FEST NEWS

MINISTER BEZ LODÓWKI

Belgijska sekretarz stanu do spraw azylu i migracji, Nicole de Moor, straciła ze swojego biura ekspres do kawy i lodówkę. Skonfiskował je komornik. Tak wykonał orzeczenie sądu w sprawie, którą wnieśli nielegalni migranci. W zeszłym roku władze usunęły ich z pustostanu w Brukseli, a oni poskarżyli się do sądu, że nie zapewniono im innego dachu nad głową. Sąd nałożył na rząd karę za każdy dzień pozostawiania tych ludzi na ulicy. Minister de Moor stwierdziła, że płacenie tych kar nie rozwiąże kryzysu. No i teraz nie napije się kawy w biurze.

GRECKIE WESELE

Premier Grecji – jednego z najbardziej konserwatywnych krajów na kontynencie – przedstawił propozycję legalizacji „małżeństw” jedнопłciowych. „To, co zamierzamy przegłosować, to równość małżeńska, czyli wyeliminowanie jakiegokolwiek dyskryminacji w związku z orientacją seksualną” – zapowiedział w mediach Kyriakos Mitsotakis. Z obecnych sondaży

wynika, że większość Greków sprzeciwia się legalizacji takich „małżeństw”.

NOWOCZESNY KIM

Wszystko się zmienia, nawet dyktatury. Skoro ludzie ufają influencerom, którzy w filmikach opowiadają im, jak wygląda świat, to z tego narzędzia postanowił skorzystać także północnokoreański reżim. Kim Dzong Un zatrudnił anglojęzyczną influencerkę, która w Internecie zaczęła zachwalać zalety narciarskiego kurortu Masikryong. Przekonuje, że zameldowanie w hotelu jest wygodne, pokój czysty, a widok z okna wspaniały.

AWANTURA DOMOWA Z PAPUGĄ

W belgijskim miasteczku Limellete sąsiedzi poculi się zaniepokojeni odbywającą się za ścianą awanturą domową. Przeraziły ich wrzaski. Zaalarmowali policję, która wysłała na miejsce patrol interwencyjny. Funkcjonariuszom otworzyli zaskoczeni domownicy, którzy tłumaczyli, że mają w domu papugę – ta, gdy się zdenerwuje, potrafi przeraźliwie krzyczeć. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Szczęśliwy jak Polak!

Mieszkańcy których państw są najbardziej zadowoleni z życia? Według najnowszych danych Eurostatu najszczęśliwsi są co prawda Austriacy, ale zaraz na drugim znajdują się Polacy (ex aequo z Finami i Rumunami) przed Belgami, Holendrami, Czechami, Włochami, Francuzami, Hiszpanami i bardzo daleko przed Bułgarami, Niemcami, Grekami czy Chorwatami.

Opublikowane w ubiegłym tygodniu przez unijnych statystyków dane dotyczą co prawda roku 2022, ale rekordowo niskie bezrobocie, jeden z najwyższych

w Europie wskaźników bezpieczeństwa na ulicach miast, a także to, że Polska była w 2023 r. jednym z motorów wzrostu gospodarczego w Unii Europejskiej, sugerują, że w ubiegłym roku nad Wisłą również było wiele powodów do zadowolenia.

Prognozy na przyszłość też nie są złe. Jeśli uda się trzymać z dala od UE i NATO rosyjskiego niedźwiedzia, to Polska powinna nadal należeć do grona gospodarczych prymusów. Polacy powinni więc stawiać się coraz bardziej majętnei (według raportu „Global Wealth Report 2023”, tworzono

przez banki UBS i Credit Suisse, w ciągu ostatnich dwóch dekad wartość majątku przeciętnego Polaka zwiększyła się ponad pięciokrotnie). Ekonomiści UniCredit spodziewają się, że w latach 2024 i 2025 gospodarki krajów Europy Środkowej oraz Europy Wschodniej (EU-CEE) będą rozwijać się w tempie ok. 3 proc. rocznie. Tymczasem kraje Zachodu będą się rozwijać w tempie zaledwie 0,5 proc.

Do polityków – i to wszystkich opcji – wypada więc mieć tylko jedną prośbę: nie zmarwnijcie tej szansy.



**Z Adamem Abramowiczem,
rzecznikiem małych i średnich przedsiębiorstw
rozmawia Tomasz Cukiernik**

(Nie)dobrowolny ZUS



TOMASZ CUKIERNIK: Na jakim etapie jest sprawa dobrowolnego ZUS dla przedsiębiorców?

ADAM ABRAMOWICZ: Od pięciu lat zabiegam o to, żeby zmienić ten niesprawiedliwy i szkodzący gospodarce system. Razem z komitetem obywatelskim, który powołali przedsiębiorcy, proponuję zmiany na system niemiecki. Tam przedsiębiorca składki na ubezpieczenie samego siebie płaci dobrowolnie. To przyjęło na swoje sztandary kilka partii politycznych, jak Konfederacja czy PSL. Jeszcze w poprzedniej kadencji został złożony podpisany przez kilkunastu posłów projekt dobrowolnego ZUS. Jednak nie został on przez panią marszałek dopuszczony do procedowania. W tej kadencji Konfederacja już wniosła ten projekt. Liczę na to, że Trzecia Droga poprze te rozwiązania.

Jednak posłowie Konfederacji i Trzeciej Drogi nawet łącznie nie są w stanie przegłosować takiej ustawy.

To prawda. Dlatego się cieszę, że kiedy nastąpiła próba tworzenia rządu, premier Morawiecki powiedział, że przyjmuje dobrowolny ZUS jako rozwiązanie, które będzie realizował, więc jak się głósy PiS dołożą, to już będzie większość.

Dlaczego dla przedsiębiorców jest to ważna kwestia?

Ten system, który jest, jest systemem rujnującym ludziom życie. Takiego systemu nie ma w żadnym innym państwie europejskim. Składki są liczone albo od dochodu – tak jest na Słowacji, w Czechach czy na Litwie, albo jest to system zbliżony do KRUS – np. w Wielkiej Brytanii, gdzie są niska składka i niska emerytura. Przy niskich dochodach przedsiębiorca płaci tam w przeliczeniu 60 zł miesięcznie i emeryturę otrzymuje niewielką. Albo jak w Niemczech, gdzie jest system dobrowolny. Tylko u nas jest bardzo wysoki ryczałt – w 2024 r. 1600 zł plus minimalna składka zdrowotna 382 zł. Czyli przedsiębiorca musi co miesiąc zapłacić ponad 1982 zł bez względu, czy coś zarobił czy nie. Przy takim systemie przedsiębiorca może wpaść w spiralę zadłużenia. Nie ma i nie płaci. Musi też z czegoś żyć. Niektórzy mówią, że wtedy ma zamknąć firmę. Tylko że zamknięcie firmy to nie jest tak, jakby się zgasiło światło. To są zobowiązania, kredyty, czynsze, pracownicy. Zresztą każdy przedsiębiorca liczy, że mu się uda, i ciągnie dalej działalność. Mimo że nie zarabia, musi płacić tę comiesięczną składkę, co prowadzi do tego, że się zadłuża.

W 2013 r. rząd PO-PSL zauważył problem zadłużenia przedsiębiorców za ich własne składki i przeprowadził abolicję.

Darował długi.

Minęło 10 lat i znowu mamy 210 tys. przedsiębiorców windykowanych przez ZUS. Zadłużonych jest jeszcze więcej. Czyli 210 tys. rodzin zniknęło z oficjalnego obiegu i próbują się ratować, zarabiając w szarej strefie. Ten system zawsze będzie produkował zadłużonych. Jeśli nie na dobrowolny ZUS – tak jak jest w Niemczech – to może zmienić ten system na system typu KRUS, ale zmienić trzeba.

Ten system jest chyba najbardziej destrukcyjny dla najmniejszych firm...

Niekoniecznie. To jest destrukcyjne dla tych, którzy mają niski dochód. Na rynku nie można założyć minimalnego dochodu na wzór minimalnej płacy. Można mieć dużą firmę, która ma niskie dochody, i ten przedsiębiorca musi zapłacić ten wysoki haracz. Nie pomaga mu to w wyjściu z kłopotów, tylko jeszcze dobija jego firmę. Nasi politycy nie chcą zrozumieć, że jesteśmy jedynym krajem, który coś takiego ma.

Ten system jest przedłużeniem myślenia komunistycznego, żeby niszczyć przedsiębiorców?

To jest system, który zabija miejsca pracy w Polsce i który stworzył firmom barierę wejścia na rynek. Preferuje tych



Obecny system zabija miejsca pracy w Polsce i tworzy firmom barierę wejścia na rynek

bardziej dochodowych kosztów tych, którzy dopiero próbują rozwinąć skrzydła. Jak ktoś ma 100 tys. zł dochodu miesięcznie i ma zapłacić 2 tys. zł, to nie będzie dla niego problemem. Nie jest to dla niego tak znaczący wydatek, jak dla przedsiębiorcy, którego dochód wynosi 3 tys. zł. To jest system całkowicie oderwany od rzeczywistości. Państwo zmusza człowieka do zapłacenia jakiejś daniny bez względu na to, czy na tę daninę zarobił czy nie.

Nie widzi pan w dobrowolnym ZUS niebezpieczeństw? Mam na myśli kwestie braku świadczeń społecznych dla przyszłych emerytów czy choćby dla przyszłych matek.

Oczywiście trzeba racjonalnie podejmować decyzje. W Niemczech połowa przedsiębiorców jest w systemie państwowym, połowa poza tym systemem. Z tej drugiej połowy 70 proc. znajduje się w systemach prywatnych. Każdy jakoś myśli o swojej przyszłości. Tylko nie ma przymusu. System prywatny ma to do

siebie, że jest dobrowolny – jeśli się nie płaci, to się nie odkładają pieniądze, ale nikt komornika nie wysyła, nie niszczy komuś życia.

Mówi się, że mamy nieodpowiedzialnych ludzi w Polsce, w związku z tym będziemy ich zmuszać do płacenia, a efekt takiego myślenia jest taki, że już 210 tys. osób jest poza systemem. Ponadto w Polsce 4 mln ludzi poza emerytami i studentami są nieaktywne zawodowo. Przecież oni też muszą z czegoś żyć. Albo utrzymuje mąż, albo żona, albo pracują za granicą, albo w szarej strefie.

Trzeba dać ludziom wolność decydowania o sobie. W Niemczech dobrowolny ZUS dobrze funkcjonuje.

Ale jeżeli politycy nie chcą dać ludziom wolności, to niech wprowadzą system brytyjski, czyli przyjmą przedsiębiorców do KRUS. Matki na działalności to kolejny przykład schizofrenii tego systemu. Przedsiębiorcy muszą zapłacić składkę od podstawy wynoszącej 60 proc. prognozowanej średniej wynagrodzeń, ale może zadeklarować większą podstawę – maksymalnie 250 proc. średniej. Kobiety przedsiębiorcy, biorąc pod uwagę, że zechcą być w ciąży, wybierają tę najwyższą podstawę, bo z wyższej podstawy świadczenia są większe. Wtedy przychodzi ZUS, twierdzi, że kobieta ma za niski dochód, żeby przyjąć taką podstawę, i wydaje decyzję o odmowie świadczeń. Motywuje to tzw. sprawiedliwością społeczną. Ale kiedy dochody są tak niskie, że nie pozwalają zapłacić minimalnej składki, wtedy „sprawiedliwości społecznej” już ZUS nie stosuje i wysyła komornika.

Jakie widzi pan pozytywne propozycje dla przedsiębiorców ze strony nowej koalicji rządowej?

Przede wszystkim ten dobrowolny ZUS. Bardzo dużo przedsiębiorców głosowało na tych, którzy mówili, że ten dobrowolny ZUS wprowadzą – na Trzecią Drogę czy Konfederację. Druga sprawa to propozycja, by za zwolnienie lekarskie od pierwszego dnia zasiłek płacił ZUS. To jest logiczne i dawno powinno zostać wprowadzone. Nie wiadomo, dlaczego jest tak, że przedsiębiorca płaci za pracownika składkę ubezpieczeniową, a następnie jak pracownik jest chory, czyli nastąpiło to zdarzenie, od którego się ubezpieczył, ZUS nie płaci. Padła też obietnica ryczałtowej składki na ubezpieczenie zdrowotne. Dzisiaj płacenie procentowe budzi wśród przedsiębiorców ogromne kontrowersje. Przedsiębiorcy płacą wysokie składki zdrowotne i to z kilku tytułów, a i tak do lekarza chodzą prywatnie. Kiedy Koalicja Obywatelska obiecała powrót do składki ryczałtowej, to było to bardzo dobrze przyjęte przez przedsiębiorców. Były też drobniejsze sprawy – wakacje od ZUS, czyli zmniejszenie tej składki ryczałtowej o jedną dwunastą. To idzie w dobrym kierunku, bo jeśli nie wprowadzą dobrowolnego ZUS, to niech chociaż obniżą składkę. Czy też wypłacanie urlopowego w postaci połowy najniższego wynagrodzenia – to jest obniżenie podatków, czyli też ruch w dobrym kierunku. Była jeszcze propozycja, wzięta od nas, wprowadzenia przynajmniej półrocznego *vacatio legis* na zmiany dotyczące działalności gospodarczej. Spisaliśmy wszystkie obietnice, które padły, a które popieramy, dołączyliśmy także inne postulaty, które trzeba pilnie wprowadzić. Nazwaliśmy to Nową Polityką Gospodarczą i wysłaliśmy do premiera, ministra rozwoju i wszystkich parlamentarnych klubów.

Czy ze strony tej koalicji widzi pan jakieś niebezpieczeństwa dla przedsiębiorców?

Padają propozycje, że tydzień pracy ma być czterodniowy. To by spowodowało spadek poziomu życia Polaków, ponieważ dobrobyt bierze się z pracy. Może przyjemnie by się pracowało cztery dni, ale po jakimś czasie okazałoby się, że przyjemnie, ale biednie. Drugie zagrożenie to ciągły pęd na zwiększanie płacy minimalnej. Powinna być jedna generalna zasada,

■ którą związki zawodowe chciały, czyli że płaca minimalna jest równa połowie prognozowanej średniej, skorygowana o współczynnik niewyliczania wynagrodzeń z małych firm do 10 osób. Wrócił temat tzw. testu przedsiębiorcy. Politycy znowu chcą nam dyktować, w jakiej formie mamy zarabiać na życie. Według tych, którzy chcą robić ten test najlepiej, żeby wszyscy pracowali na etatach. Tych, którzy dobrowolnie wybrali prowadzenie działalności gospodarczej, należy zmusić do jej zaprzestania.

W połowie roku ma wejść w życie elektroniczny Krajowy System e-Faktur. To dobre rozwiązanie?

Niektórzy się go obawiają. Ja nie uważam, żeby to było zagrożenie. Zagrożenie będzie tylko wtedy, jeśli będzie to wprowadzone za szybko, bez możliwości dostosowania się firm. Trzeba zwrócić uwagę na technikę wprowadzania. Jeżeli ktoś uczciwie wystawia faktury, a robi to zdecydowana większość przedsiębiorców, to nic mu się nie zmienia. To jest uszczelnienie systemu dla tych, którzy faktur nie wystawiają. Chcielibyśmy, żeby wszyscy płacili podatki, bo niepłacenie podatków to jest nieuczciwa konkurencja dla tych, którzy uczciwie płacą. Ponieważ jednak wprowadzenie tego systemu to duże wyzwanie dla wszystkich, wystąpiłem do ministra finansów, aby 1 lipca 2024 r. KSe-F objął tylko duże podmioty, średnie od 1 stycznia 2025 r., małe od 1 lipca 2025 r., a mikro od 1 stycznia 2026 r.

Jak bardzo polskim małym i średnim firmom szkodzą unijne regulacje?

Unijne regulacje szkodzą poprzez nakładanie kolejnych biurokratycznych obowiązków. Na przykład czy po wprowadzeniu RODO obywatele mają poczucie, że ich dane są bardziej chronione, niż były? Nie sądzę. Za to w firmach muszą być inspektorzy danych osobowych, trzeba było ponosić koszty wprowadzenia tego systemu. Zamiast otwierać stronę w Internecie, musimy najpierw klikać jakieś zgody, które klikamy automatycznie, bo i tak bez tego nie można by oglądać strony. To są tego typu wprowadzane zasady, które nie dają zakładanego celu, powodują za to koszty i mitręgę biurokratyczną. W tej chwili największym zagrożeniem jest raportowanie ESG. To są oczekiwane przez polityków działa-

nia w firmach nie na rzecz uzyskiwania lepszej efektywności, jakości, najniższej ceny przez tę firmę, tylko na rzecz zmiany świata na lepszy według tych, którzy to zaplanowali. W firmie trzeba będzie dbać, żeby było ekologicznie w rozumieniu unijnych urzędników, żeby w firmie był ład korporacyjny, np. odpowiednia liczba sygnalistów. Żeby była taka, jak jest oczekiwana, proporcja płci. Daj Boże, żeby to dotyczyło tylko dwóch płci, a nie więcej. I sprawy społeczne, które firma miała by robić w duchu Komisji Europejskiej. To jest coś niesamowitego, ponieważ myśmy już to kiedyś przeżywali. Firma nie ma dbać o zysk, dochód, oferować jak najwyższej jakości towary i usługi, tylko ma się zajmować czym innym i jeszcze to raportować. To jest koncepcja prymatu polityki nad gospodarką. O ile te duże spółki już są do tego zobowiązane i one w większości się z tego cieszą, o tyle mamy raport, ile to będzie kosztowało małe i średnie firmy, jeśli będzie dotyczy-

Unijne regulacje szkodzą poprzez nakładanie kolejnych biurokratycznych obowiązków

to także ich, a takie plany ma Bruksela. Będzie to ponad 20 mld zł rocznie. To ogromna kwota. Czy ci mali to udźwigną? Już pojawiają się firmy i proponują swoje usługi – 8–10 tys. zł za tzw. audyt, a potem po kilka tysięcy miesięcznie za robienie tych raportów. To jest ogromne zagrożenie. Sprawdziałem, jak głosowali polscy europarlamentarzyści. Kilku było przeciw, ale solidarnie w poprzek wszystkich partii większość była za. Nie wiem, dlaczego tak się stało. Czy się nie orientowali, za czym głosują? Powinien być ogromny protest już na poziomie tych dużych firm. Trzeba robić alarm, żeby już teraz nie przyjmować schodzenia tych przepisów w dół i pokazywać, że te koszty przygniotą małe firmy. Niech sobie te korporacje to robią, jeśli chcą, ale nie obciążajmy małych firm.

Korporacje są zadowolone, bo liczą, że same sobie poradzą, bo kolejną sprawoz-

dawczość jakoś upchną w budżecie, ale te regulacje wykończą małe firmy i ubędzie im konkurencji. Wszystkie firmy ma to kosztować ok. 30 mld zł rocznie.

Jak unijna polityka energetyczno-klimatyczna wpływa na polskie małe i średnie firmy?

Unijna polityka wpływa na ceny prądu poprzez opłaty, które trzeba odprowadzać za emisję CO₂. A im wyższa cena prądu, tym wyższa cena usługi czy towaru. Wpływa tak samo, jak każde zwiększenie kosztów. Stajemy się mniej konkurencyjni wobec innych krajów. Jest to ewidentnie szkodliwe działanie, tak jak szkodliwym działaniem jest pomysł, żeby w 2035 r. zabronić rejestracji wszystkich samochodów oprócz elektrycznych.

Mamy w Polsce bardzo dużą gałąź przemysłu automotive, która produkuje części do samochodów, i będzie ona musiała pozwalniać pracowników. Szacuje się, że w całej UE zniknie 600 tys. miejsc pracy. To jest jakieś szaleństwo, które próbuje się nam narzucić. Mam nadzieję, że to się uda jakoś uchylić.

Jakie widzi pan nowe niebezpieczeństwa dla polskich przedsiębiorców ze strony Unii Europejskiej?

W tej chwili ESG jest najbardziej widoczne i ideologicznie wtłaczane. Unia Europejska daje też sporo korzyści. Mamy wspólny rynek, co polskiej gospodarce dało duży zastrzyk możliwości i rozwoju. Polskie firmy się na tym rynku sprawdzają. Rozwijają się, rosną i działają skutecznie. Powinien być utrzymany wspólny rynek, który daje wszystkim krajom możliwość zwiększania dobrobytu mieszkańców. A wszystkie te polityczne nowinki, które są wdrażane – prymat polityki nad gospodarką – tylko szkodzą. Myśmy to już przerabiali w poprzednim systemie, kiedy polityka dominowała nad gospodarką, i w firmach byli nawet przedstawiciele partii, którzy sprawdzali, czy przedsiębiorstwo realizuje te polityczne cele. Jeśli mamy robić tę sprawozdawczość, to będzie coś podobnego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Adam Abramowicz
jest rzecznikiem
małych i średnich
przedsiębiorstw.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Witajcie
w Tuskostanie!

To już nie III RP; to Tuskoland, Tuskostan – lub jakkolwiek tak.

Donald Tusk – wszechwładca i wielkorządca Tuskostanu (bo chyba już nie zwykły premier), zaprowadza bowiem w dawnej III RP całkiem nowy porządek prawny – porządek bezprawny. Dziś w Tuskostanie nie obowiązują już żadna zasada żadnej kadencyjności żadnych władz; dziś w Tuskostanie obowiązują zasada nagiej siły politycznej. Zwycięzca przejmuje – a raczej po prostu bierze – wszystko, na co ma ochotę. I bierze to, kiedy chce; jeśli ma kaprys – to bierze dziś, w tej chwili, a choćby i w środku nocy, jeśli tylko najdzie go na to chęć.

Bierze wszystko, „zgodnie z prawem, tak jak my je rozumiemy” – cytując wszechwładcę i wielkorządcę Tuskostanu. Czyli bierze albo po Bodnarowsku – to znaczy najpierw bierze, a potem – jak wyjawiał „minister sprawiedliwości” Adam Bodnar, spec od kruczków prawnych – „szuka jakiejś podstawy prawnej”, albo bierze po Sienkiewiczowsku – czyli jak to z kolei ma w zwyczaju „minister kultury” Bartłomiej Sienkiewicz – po prostu bierze z użyciem „silnych ludzi” ubranych w mundurki jakiejś agencji ochrony, i już żadnym „szukaniem podstawy prawnej” nie zawraca sobie głowy, bo przecież i tak „sądy są po jego stronie”.

I to się oczywiście wszędzie „w Europie” i „w Ameryce” podoba, nikt nie zgłasza zastrzeżeń. Ukontentowani są

ambasador USA Mark Brzezinski, ściskający się z Adamem Bodnarem, gdy ten „szuka jakiejś podstawy prawnej”, i cała administracja prezydenta Bidena, z nim na czele. Swej radości z „odbijania Polski” przez „silnych ludzi” nie ukrywa elita UE – wszyscy jej naczelni europosłowie i eurokraci, a Věra Jourová, „wiceprzewodnicząca od spraw wartości i przejrzystości” KE, wprost nie może się Tuskostanu nachwalić.

Lowszem, zgadza się, w Polsce nigdy nie było w tej materii – przejmowania władzy przez nową, zwycięską koalicję – idealnie. Bywało, że prawo falandyzowano – by użyć sformułowania ukutego od nazwiska twórcy tej „doktryny” Lecha Falandysza; to znaczy naginano je, rozciągano, przykrawano do swoich potrzeb. Zawsze jednak do tej pory starano się obowiązującego prawa jakoś tam się trzymać czy choćby tylko zachowywać pozory trzymania się go.

Natomiast dziś – po przejściu władzy z rąk PiS przez anty-PiS – nikt już tym nawet nie zaprzęta sobie głowy. Dziś wszechwładca i wielkorządca Tuskostanu oświadcza nam wprost, jasno i otwarcie, i to nie półgębkiem, lecz głośno, donośnie: „Mamy gdzieś obowiązujące prawo! I co nam państwo zrobią?” I nie kryje przy tym dumy ze swojej „sprawczości”. A zatem: witajcie w Tuskostanie!

I aż nie chce mi się nawet myśleć, co też po tym wszystkim może zrobić PiS, jeśli kiedyś odzyska władzę. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Urszula
„90 Procent”
Zielińska

Dla publicysty wielką satysfakcją jest, jeśli jakiś wymyślony przez niego bon mot czy przewisko wchodzi do powszechnego użycia. Mnie kilka razy taka sztuka się udała. Na przykład przewisko Estymacja przyjęło się wobec pani Olgi Semenjuk-Patkowskiej. Przypomnę, że jego źródłem były przemądre wywody ówczesnej wiceminister z okresu pandemii, gdy ta w wywiadach nadętym

wiada się za redukcją emisji CO₂ o 90 proc. do 2040 r. Następnie to stwierdzenie szybko zdementowała jej szefowa, pani Paulina Hennig-Kloska (ta od wciskania ludziom wiatraków).

Zafascynowany śmiałym planem pani Urszuli „90 Procent” Zielińskiej wysłuchałem kilku jej publicznych wypowiedzi i nabrałem pewności, że pani wiceminister nie była w stanie ogarnąć intelektem konsekwencji tego, za czym się opowiada. Myślę, że gdyby ktoś dał jej do powtórzenia fragment „Pamiętek Soplicy” (byłe nie za długi), informując, że to stanowisko Donalda Tuska w sprawie przyjęcia euro, powtórzyłaby bez namysłu. To ten typ umysłowości.

Ta historia mówi nam o dwóch kwestiach. Po pierwsze – że pani Hennig-Kloska (ta od wiatraków) nie ma kontroli nad własnym resortem. Po drugie – że jeśli ktoś miał nadzieję, iż zmiana władzy będzie oznaczała widoczne podniesienie parametru IQ w rządzie, to musiał się srodze rozczarować.

Liczę, że przewisko „90 Procent” się w przypadku pani Zielińskiej przyjmie. Na pocieszenie powiem pani wiceminister, że u osób mniej zorientowanych w polityce i nieznających jego genezy może ono wzbudzić nawet spory szacunek. ©

**Pani wiceminister
wypaliła, że Polska
opowiada się za
redukcją emisji CO₂
o 90 proc. do 2040 r.**

językiem usiłowała uzasadniać jawnie absurdalne posunięcia władzy i w tym celu namiętnie używała słowa „estymacja”.

Może teraz przyjmie się w takim razie przewisko, które chciałbym nadać innej tytance intelektu, tym razem z przeciwnej strony plemiennej wojenki – pani Urszuli Zielińskiej z Zielonych (koalicjanta Platformy Obywatelskiej w ramach KO), wiceminister klimatu i środowiska. Pani wiceminister udała się oto na nieformalne spotkanie ministrów środowiska UE i wypaliła tam, że Polska opo-



SUZUKI JIMNY 1,5 ALLGRIP PRO

To nie jest auto dla zwykłego zjadacza chleba. Nie zachwyci liczbą koni mechanicznych, wielką pojemnością silnika ani przyspieszeniem od zera do setki. A jednak Jimny to jedna z najładniejszych, a jednocześnie najlepszych i najkorzystniej wycenionych terenówek na rynku.

Oficjalnie czwarta generacja legendarnego auta terenowego – sprzedawana z homologacją ciężarową N1 – to świetny model dla tych, którzy potrzebują niezawodnej maszyny do jazdy w najtrudniejszym terenie. Ale to nie tylko samochód dla myśliwych, leśników, elektryków czy geodetów. To również wyjątkowo fajna niewielka zabawka (ma jedynie 3,64 m długości) dla naprawdę dużych chłopców, którzy potrafią docenić liczący aż 210 mm prześwit, ramę nośną, sztywne zawieszenie oraz świetne terenowe właściwości napędu ALLGRIP Pro z przekładnią redukcijną.

W niewielkim, dwuosobowym autku wrażenie robi bagażnik, który ma aż 863 l pojemności i – jak przystało na auto z homologacją ciężarową – kufer jest oddzielony od kabiny potężną kratką.

Kanciaste kształty oraz okrągłe reflektory od razu przywodzą na myśl Mercedesa Klasy G. Na romantyczne wypadki się jednak raczej nie nadaje, chyba że wybranka serca chciałaby się przenieść myślami w przełom lat 80. i 90. Jimny to bowiem typowa terenówka, więc w kabinie próżno szukać jakichkolwiek luksusów. Jest surowo, minimalistycznie, choć też trochę nostalgicznie. Analogowe zegary otaczają klasyczne kwadratowe obudowy, a w nowiutkim testowym egzemplarzu nad radiem znalazło się nawet miejsce na odtwarzacz płyt CD (informacja dla pokolenia Z: były kiedyś takie przenośne serwisy streamingowe; będziecie jeszcze mieli na historii). We wnętrzu znajdziemy wyłącznie

twarde, odporne na zarysowania plastiki. Są one bardzo dobrze spasowane. Na pochwałę zasługują również wygodne fotele z funkcją podgrzewania.

Żeby nie było całkiem retro, Suzuki zastosowało też w Jimnym parę nowinek z XXI w. Przy wielofunkcyjnej kierownicy są przyciski do obsługi zestawu głośnomówiącego, który można bezprzewodowo sparować ze smartfonem, do dyspozycji kierowcy poza wspomaganiem ruszania na wzniesieniu i zjazdu ze znieśienia są również tempomat, a także takie systemy bezpieczeństwa jak np. Lane Assist, system wspomagania hamowania awaryjnego czy też układ reagowania przedkolizyjnego z kamerą monoskopową i czujnikiem laserowym. Jest tu nawet funkcja automatycznego przełączania świateł drogowych.

16 zaworowy silnik ma pojemność 1,5 l i moc 102 KM. Ręczna skrzynia ma pięć biegów. Średnie spalanie podczas testu w cyklu mieszanym wyniosło 7,3 l/100 km, ale na drogach krajowych bez trudu można obniżyć je do 6 l/100 km. Na autostradzie przy silnym wietrze emocje rosną już przy 100 km/h. Teoretycznie prędkość maksymalna wynosi 145 km/h, ale w praktyce już przy 130 km/h rozsądek nie pozwala dociskać pedału gazu. Auto staje się wówczas mało stabilne, a hałasu we wnętrzu nie jest już w stanie zagłuszyć nawet najlepsza składanka na CD.

Mimo to siermiężny i kanciasty Jimny pod wieloma względami jest jednak bezkonkurencyjny. I naprawdę da się lubić. Egzemplarz z rocznika 2024 kosztuje 110,9 tys. zł. ©©

FOT. JAP

HUAWEI MATEPAD PRO 13.2"

Fantastyczny wyświetlacz, nowoczesne wzornictwo, świetny system audio oraz szybkie ładowanie – to największe zalety najbardziej zaawansowanego tabletu chińskiej firmy Huawei, który 22 stycznia oficjalnie zadebiutował w Polsce.

Największe wrażenie w tym modelu robi ekran. 13,2-calowy wyświetlacz w technologii OLED pokrywa aż 94 proc. przedniego panelu. Rozdzielczość obrazu to 2880 x 1920 pikseli (262 ppi), a maksymalne odświeżanie wynosi 144 Hz. Kolory są żywe, barwy świetnie odwzorowane, a czerń naprawdę czarna. Szkoda jedynie, że chińskim inżynierom nie udało się ukryć wcięcia dookoła obiektywu aparatu, bo przyjęte rozwiązanie nie odbiega od tych, które znane są z produktów takich firm jak Apple czy Samsung.

Design też może się podobać. Ramki otaczające ekran są minimalne. Ważący 580 g tablet jest też wyjątkowo cienki (ma zaledwie 5,5 mm grubości).

Również jakość wykonania nie budzi zastrzeżeń. Na pochwałę zasługuje system audio. Za dźwiękowe doznania użytkownika odpowiedzialnych jest sześć głośniczków, które brzmią zaskakująco dobrze jak na tak płaskie urządzenie.

Dzięki znajdującej się w zestawie ładowarce SuperCharge o mocy 88 W ładowanie przebiega szybko i sprawnie.

Sercem urządzenia jest ośmiordzeniowy procesor Kirin 9000S, czyli autorski chipset Huawei, który współpracuje z 12 GB pamięci RAM. Na dane producent oferuje 256 GB pamięci UFS 3.1 (szkoda jednak, że nie ma slotu na karty pamięci). Testowany model nie jest więc demonem prędkości, ale w codziennym użytkowaniu nie sprawia problemów. Aplikacje startują szybko i przeważnie wszystko działa płynnie, ale gdy uruchomi się jednocześnie kilka wymagających zadań, to tablet może złapać zadyszkę. Konkurencja w tej kategorii wygrywa.

Istotnym minusem Huawei MatePad Pro 13.2", działającego pod kontrolą Harmony OS 4, jest brak oficjalnego dostępu do usług Google, co da się jednak obejść na różne sposoby. Brakuje też czytnika linii papilarnych, choć rozpoznawanie twarzy działa w przypadku tego tabletu bez zarzutu. Aparaty fotograficzne działają przyzwoicie, ale do robienia zdjęć lepiej użyć smartfona.

Aby w pełni korzystać z możliwości nowego Mate Pad Pro, warto dokupić klawiaturę i rysik. M Pencil trzeciej generacji zasługuje na pochwałę, bo korzysta z technologii NearLink. Szybkość i precyzja jego działania mogą się więc spodobać artystom, studentom, dziennikarzom i wszystkim tym, którzy na tablecie robią notatki, rysują etc.

Cena testowanego tabletu to 4499 zł. ©©

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Król Staś i „Panie Kochanku”



JACEK KOMUDA

Zamek w Nieświeżu na łukaszewskiej Białorusi byłby imponującym przykładem potęgi dawnej Rzeczypospolitej i radziwiłłowskiego splendoru, gdyby go zrekonstruowano, a nie odbudowano, zmieniając architektoniczne detale, wyburzając część zamku i niszcząc jedną z galerii. Pomimo tego zespół wpisany jest na listę światowego dziedzictwa UNESCO, a w 2012 r. muzeum i odbudowana rezydencja zostały otwarte dla zwiedzających.

Forteca w Nieświeżu przeszła w ręce prywatne w 1446 r., kiedy król Kazimierz Jagiellończyk nadał ją bojarowi Mikołajowi Niemirowiczowi. Później zamek przeszedł w ręce Kiszaków, a wreszcie trafił do Mikołaja Radziwiłła „Czarnego”. Pod koniec XVI w. Mikołaj Krzysztof Radziwiłł „Sierotka” przebudował średniowieczną warownię na renesansową rezydencję, która do końca nie tylko pierwszej, lecz także II RP pozostawała w rękach jego rodu, stanowiąc stolicę nazwanej od niej ordynacji.

Niestety, wszystko, co zobaczymy dziś – meble, sztukaterie, zdobienia i obrazy – to albo kopie i rekonstrukcje, albo dzieła sztuki za-

kupione lub zgromadzone z innych kolekcji. Zamek w Nieświeżu został bowiem kilkakrotnie ograbiony, najgorszy okres zaś przeszedł po 17 września 1939 r., kiedy zajęli go Sowieci. Bogate zbiory zostały przekazane do muzeów lub rozgrabione, a sama rezydencja zamieniona w sanatorium i bardzo mocno zniszczona.

Czasami największej świetności zamek był koniec XVIII w., kiedy znajdował się w posiadaniu



FOT. DOMENA PUBLICZNA

księcia Karola Stanisława Radziwiłła, zwanego „Panie Kochanku”, postaci barwnej, facecjonisty, pijanicy i rozpustnika, a jednocześnie miłośnika sarmatyzmu i najbogatszego magnata chylącej się do upadku Rzeczypospolitej. O wielkości Nieświeża świadczy zaś przyjęcie, które zgotował przyjeżdżającemu do niego królowi Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu zwanemu dziś czasem z kolei Królem Stasiem. Była to zarazem celebrowanie zgody między nimi, gdyż „Panie Kochanku” należał do wielkich przeciwników króla i był konfederatem barskim.

Ostatniego władcę Rzeczypospolitej przyjął prawdziwie po radziwiłłowsku. Przepych tej ceremonii pokazać miał potęgę rodu, istniejącego zresztą do dziś. Przed samym miastem króla witały tłumy chłopów i szlachty – dzierżawców i sług Radziwiłła, w tym złota chorągiew ordynacji, której towarzyszyło „80 ludzi zbrojnych w armaturę starożytną, to jest w kirysach, nabójczykach i szyszakach żelaznych na głowach” – czyli prawdziwa chorągiew husarska, a właściwie jej rekonstrukcja, gdyż formację tę zlikwidowano w 1776 r. Władcę witał książę Karol Stanisław na tureckim koniu, czyli dzisiejszym arabie, przystrojonym w rząd pozostały po królu Janie III Sobieskim. Sam wojewoda był w mundurze wojewódzkim, w kołpaku sobolim z brylantami za kilkadziesiąt tysięcy dukatów.

Po wysłuchaniu przemów król udał się do zamku, do którego klucze

wręczał mu komendant cytadeli. W pokoju do audyencji oglądał tron po Janie III, portret gościa naturalnych rozmiarów, tkaniny i obicia, a także tapiserię z manufaktury w Nieświeżu, przedstawiającą Michała Radziwiłła odbierającego popis wojska litewskiego, obecnie znajdującą się w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie. Inne tkaniny przedstawiały historię domu książęcego Radziwiłłów.

W wielkiej sali Król Staś oglądał freski z geniuszami i własną podobiznę, w którą cnoty wkładały koronę. W tym czasie na dziedzińcu prezentowały się nadworne milicje radziwiłłowskie – dragoni, piechota, grenadierzy, artylerzyści i chorągwie ziemi kojdanowskiej. W sumie 2295 żołnierzy, których utrzymywał stale książę wojewoda wileński. Na koniec król obejrzał iluminację z 4 tys. lamp, a następnego dnia wizytował skarbiec. Oglądał ogromne zbiory porcelany, znowu pamiątki po królu Sobieskim, podarunki od różnych monarchów i... mumię egipską. Poniatowski sam darował Radziwiłłowi strzelbę – janczarę, pozostałą po Mikołaju „Sierotce”. Oglądał 12 koni rzeźbionych w drewnie, misę, którą papież Innocenty darował hetmanowi Żółkiewskiemu, ubiory, oręż i tarcze „ludzi dzikich indyjskich” i wiele innych osobliwości.

Po tym wszystkim czekały na króla obiad, a później koncert, balet i opera, którą skomponował sam książę Maciej Radziwiłł, wybitny kompozytor, polityk, zwolennik Konstytucji 3 maja. Następnego dnia król oglądał zbiory biblioteczne, listy i korespondencje. Wizyta skończyła się polowaniem na wilki – których Król Staś ubił własną ręką dwadzieścia kilka. Następnie odwiedził rezydencję letnią rodową w Albie. Dziś nie ma śladu po tych splendorach. ©



RYS. MART



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Miłość i wsparcie

Nie ma chyba silniejszej i bardziej bezwarunkowej miłości niż ta, którą dają dziadkowie swoim wnukom. Kochają mocno i wspierają mądrze, a swoją miłość okazują na każdym kroku. Babcią kuchnia pełna wspaniałych zapachów i smakowitych jest wspomnieniem niemal każdego z nas. Nasza babcia robiła najlepsze uszka i piekła wyśmienity pasztet z królika, który zawsze stygł w zimnej jak lód przykuchennej spiżarni. Dziadek natomiast był mistrzem w robieniu orzechowego tortu, a także wszystkiego, co było związane z majsterkowaniem – naprawiał w domu wszystko, tak aby zawsze pomóc babci. Miał swój mały przydomowy warsztat. Byli małżeństwem doskonałym, bardzo się wspierającym i kochającym, razem do końca.

W babcinej kuchni gotowało się na prawdziwym kaflowym piecu, nic się tam nie marnowało. Jak babcia robiła kruche ciasto, to potem z pozostałych białek robiła małe beziki, które były doskonałe jako dodatek do deserów. W niedzielę zawsze gotowała rosół, a na drugie danie podawała mięso z rosół z sosem chrzanowym. Piekła najlepszego kurczaka w prodiżu, a sekretem były przyprawy – sól, pieprz i czerwona papryka w proszku. Dzięki babci pieczemy do dziś tradycyjną bułkę drożdżową, którą podajemy na każde święta, a także robimy pishingera, czyli wafle przekładane domowym kajmakiem.

Powinniśmy pielegnować wspomnienia, bo dania z babcinej kuchni to prawdziwy smak

dzieciństwa, do którego warto powracać i który warto przekazywać dalej. Dania, z którymi mamy przyjemne wspomnienia, są dla nas podwójnie ważne – oprócz walorów smakowych dostarczają nam pozytywnych emocji i pomagają w łagodzeniu stresu. Takie dania nazywane są obecnie „comfort food” – mają one dobroczynny wpływ, bo wspomnienia z dzieciństwa budują w nas poczucie bezpieczeństwa.

Karnawałowe faworki – przepis babci

• 3½ szklanki – 525 g mąki pszennej • 6 żółtek • 1 szklanka – 230 ml gęstej śmietany • 1 łyżka masła miękkiego • 1 łyżka cukru pudru • 25 ml spirytusu • szczypta soli • folia spożywcza • 1 litr oleju lub 4 kostki smalcu do smażenia

Mąkę przesiewamy do miski, żółtka ucieramy z cukrem i masłem, dodajemy do mąki, następnie dodajemy resztę składników i zagniatamy, wyrabiamy na elastyczne ciasto, tak aby przypominało plastelinę. Takie ciasto owijamy folią spożywczą, mocno i energicznie ubijamy wałkiem przez ok. 10 min. Ciasto odkładamy, aby odpoczęło. Na stolnicę posypaną mąką rozwałkowujemy kawałek ciasta najcieniej, jak się da, wycinamy prostokąty 2–3 cm, pośrodku nacinamy i przekładamy jeden koniec przez środek. Smażymy na

mocno rozgrzanym tłuszczu z każdej strony na złoty kolor. Wyjmujemy i posypujemy cukrem pudrem. Smacznego! ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Słowa stare i nowe

Młodzieżowym słowem roku 2023 ogłoszono „rel”. Nigdy go nie słyszałam i obawiam się, że spora część „młodzieży” także. „Rel” podobno jest wyrazem zgody, oznacza aprobatę tego, co mówi rozmówca. Czyli zamiast „tak, racja, słusznie, zgadzam się” należy mówić „rel”, tako rzecze komitet językoznawczy. Jeśli chce się brzmieć młodzieżowo.

To chyba nie pierwszy raz, kiedy od ciał profesorskich dowiadujemy się, które słowo było najmodniejsze: z „dzbanem”, ze „śpiulkołotem” było podobnie. Często się okazuje, że słowo to nie tylko dorosli, lecz także domniemani młodociani użytkownicy słyszą po raz pierwszy. Jak się je wybiera? Jaki zakres mają badania? Czy uczeni skrzykują paru znajomych nastolatków i to oni dostarczają materiału badawczego?

To nic nowego, że każde pokolenie ma swój język, swoje słowa, swój dialekt. Polakom mieszkającym od dawna za granicą, odwiedzającym stary kraj trudno jest czasem zrozumieć, co mówią rodacy krajowi. Niektórzy emigranci lat 80. sądzą, że nadal aktualne jest „fajowy”, że na szkołę wciąż mówi się „buda”, a na rodziców „starzy” albo „wapno”. Nie wiem, może na rodziców ciągle mówi się „starzy”... Mnie, pokoleniu nie tak znów młodzieżowemu, wciąż nie przechodzi przez usta słowo „kasa”, zdobył lat 80., już tak szeroko używane,

że nawet nie uchodzi za słowo młodzieżowe. Ja pozostaję przyspawana do staromodnych „pieniędzy”. Pamiętam, że kiedy po prawie sześciu latach nieobecności w roku 1988 wróciłam do Polski, rozbawiło mnie słowo „impreza”. Nie było go, gdy wyjeżdżałam, dziś jest tak samo wrośnięte we współczesny język jak „kasa”.

Ale ja właściwie nie o tym. Zamiast o nowych, chciałabym o starych słowach. Jako namiętna czytelniczka pamiętników i listów ludzi urodzonych na przełomie wieków XIX i XX. odnotowałam parę osobliwości językowych, które nie będąc żargonem, tym bardziej młodzieżowym, są raczej słowami, które wciąż rozumiemy, ale których nie użylibyśmy dzisiaj.

Oto „śnadź” – ciekawa jeść, czy ktoś z czytających te słowa bez sprawdzania w Google wie, co to znaczy? Dalej – „projektuję”, w znaczeniu planuję, mam zamiar. „Onegdaj” w pierwotnym znaczeniu, czyli „przedwczoraj”, dziś używane jest powszechnie jako „niegdyś”. „Wprzód, najprzód” – też lekkie archaizmy – zastąpione przez „najpierw, wcześniej”... Dla mnie uroczo brzmi użycie rzeczownika w znaczeniu częściowym: „kup chleba, przynieś jabłek”, powszechne w literaturze XIX w. Dzisiaj powiemy: „kup chleb, przynieś jabłka”. Za to, niestety, jeśli jesteśmy przy dopełniaczu, to „napisz e-maila”, „zawiąż buta”, „zrób grilla” tak się wgrzyły w polszczyznę, że są nie do wykorzenienia. ©



DEKAMERONKI

Wirus z Davos

JERZY KARWELIS

W Davos się zbierają i warto tam zajrzeć, bo ta przecież tylko towarzyska organizacja World Economic Forum (jakoś tak), jak coś powie, to za dwa-trzy lata staje się to rzeczywistością. Jest więc kryształową kulą globalizmu, z której można wyczytać przyszłość. Polska traktuje to spotkanie jako targi swojej atrakcyjności inwestycyjnej, żyjąc jakby w innym paradygmacie, z czasów, w których inwestor jak pojadł bigosu, to nabierał ochoty do wyłożenia kasy między Odrą a Bugiem. Ale warto zajrzeć choćby po takie przyszłe wieki.

Popatrzymy: ogłoszenie o sesji w ścieżce „Długoterminowa strategia na rzecz klimatu, przyrody i energii”. Tytuł: „Przygotowania na chorobę X”. Założenia merytoryczne: „Biorąc pod uwagę ostrzeżenia Światowej Organizacji Zdrowia, że nieznana »choroba X« może spowodować 20 razy więcej ofiar śmiertelnych niż pandemia koronawirusa, jakie nowe wysiłki są potrzebne, aby przygotować systemy opieki zdrowotnej na liczne nadchodzące wyzwania”.

No to poczytajmy to dokładnie. Po pierwsze, okazuje się, że systemy zdrowia publicznego są działką z obszaru „klimat, przyroda i energia”. Jak widać, jest to dowód wprost, że pandemia ma coraz większe związki z klimatem, o co usilnie, acz

komicznie, stara się globalistyczny sanitaryzm. Komiczność polega na wywodzie, że to zmiany klimatyczne spowodowały, iż gatunki tracą orientację, grypa z łuskowca przeskakuje na nietoperza, a z niego na Chińczyka. Jak będzie zimniej, to ten proceder zaniknie. To elementarne, Watsonie.

Ale ciekawi także – cytuję – „nieznana choroba X”. No, skoro niby nieznana, to skąd wiadomo, że 20 razy groźniejsza od koronawirusa? To strasznie ciekawe, można rzec nawet, że to całkiem spore wyzwanie dla nauki. WHO wie, że grozi nam nieistniejąca choroba, zna jej epidemiologiczne parametry, choć, jak widać z „nieznaności”, nikt nie wie, jaki jest jej mechanizm transmisji, co robi z organizmem i jakie są objawy. Jezu, żeby tak wpuścili na taką sesję... Ja bym chciał tak posiedzieć i posłuchać, co mówi uczony świat o tym, jak zapobiegać chorobie, o której nawet nie tyle nie wiadomo, jak działa, ile nawet nie wiadomo, czy istnieje. Wiadomo tylko, że nadejdzie.

Ja mógłbym tam wystąpić – skoro nie wiadomo, co to za paskudztwo, to trzeba zapobiec na wszystkie sposoby. Nie wyłazić z domu, nie oddychać, rodzinę wykopać do przygotowanych baraków. Nie żyć. To będzie solucja – wszak wiadomo od polskiego reżysera, że życie to choroba śmiertelna roznoszona drogą płciową. ©©



#WARTO

Transterror

JAN POSPIESZAŃSKI

Szkocka Partia Narodowa postuluje wprowadzenie regulacji, które przewidują karę pozbawienia wolności do lat siedmiu dla rodziców, którzy nie zgodzą się na „zmianę płci” swoich dzieci. Ustawa to „twórcze rozszerzenie” pojęcia „terapii konwersyjnej”, która w wielu krajach Zachodu jest już penalizowana. Zakaz takiej terapii zyskał społeczną akceptację, gdy propagandyści LGBT ukazali ją jako siłowe zmuszanie do porzucenia skłonności homoseksualnych przez eksperymenty, elektrowstrząsy i reedukacyjne obozy.

Znając dokonania terapeutów, którzy skutecznie pomagali „wyjść na prostą” uwikłanym w homoseksualny tryb życia mężczyznom, wiem, na jak prymitywnym kłamstwie ufundowane są te zakazy. Niedawno na kanale Afirmacja TV rozmawiałem z Matthew Grechem, popularnym muzykiem z Malty, nawróconym byłym gejem, który dzięki głębokiej motywacji religijnej i terapii potrafił pokonać w sobie skłonności homoseksualne. Dziś na Malcie grozi mu więzienie za wygłoszenie w jednej z tamtejszych telewizji świadectwa nawrócenia i porzucenia homoseksualnego trybu życia.

Ale teraz rewolucjoniści spod znaku literki „T”, bazując na dawnych zakazach, zmienili definicję „terapii konwersyjnej”. Obejmuje ona również postawę niezgody z deklarowaną/odczuwaną (niepotrzebne skreślić) płcią transseksualistą.

Założmy, że mama lub tata chcą pomóc swojemu dziecku, które wymyśliło sobie, że jest „innej płci”, i tłumacząc mu, że może lepiej poczekać z blokerami dojrzewania, że nie da się zmienić płci i że uleganie takim zachciankom prowadzi do nieszczęścia – w świetle nowych regulacji rodzic realizuje wobec dziecka „terapię konwersyjną”. Taka próba ochrony dziecka przed genderowym szaleństwem to „łamanie prawa”, zagrożone karą do siedmiu lat więzienia.

Szwindel ufundowany jest na założeniu, że deklarowana przez dziecko płeć jest czymś stałym i obiektywnym. Zatem jeśli rodzic mówi do córki za imkami żeńskimi, nie pozwala jej faszerować się hormonami, amputować piersi, to oznacza, że chce zmienić jej „tożsamość płciową”, czyli realizuje w ten sposób „terapię konwersyjną”. Przepisy penalizujące takie zachowania mogą obejmować zmuszanie dziecka do ubierania się zgodnie z jego płcią (choć w przypadku Szkocji sprawę nieco komplikują tradycyjne spódniczki noszone przez mężczyzn). Opanowana przez lewicę Szkocja nawet w tym przypadku chce się odróżnić do centrum UK. Brytyjski rząd bowiem wprowadził ograniczenia dostępności do procedur tranzycji płci dla niepełnoletnich. Stało się to po ujawnianiu skandalicznych nadużyć w klinice Tavistock, gdzie pod pretekstem tzw. zmiany płci okaleczono tysiące dzieci, z których najmłodsze miało trzy lata. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Nieoswojone zwierzątka

Murem za Adamem, bo Adam ma na prawdę ciężko. Stop. Adam jest szefem, którego nikt nie lubi. Stop. No, może bez przesady, że nikt, ktoś go tam z podwładnych na pewno lubi, ustalamy kto. Stop. Ale tam lubi, nie lubi, szef nie od tego jest, żeby go lubiano. Stop. Problem Adama polega na tym, że nikt go nie słucha. Stop. No, może bez przesady, że nikt, może go ktoś słucha, ustalamy kto. Stop. Nawet jak Adam chciał już na mięciuteńko i idźcie sobie podwładni na urlopy, to ci prokuratorzy do niego: „Nie ty nam będziesz mówił, kiedy mamy iść na urlopy”. Stop. Ciężko ma Adam Bodnar z tymi prokuratorami Prokuratury Krajowej, no normalnie jakieś nieoswojone zwierzątka!

Człowiek zbierający pieniądze nie tylko rękoma dzieci, czyli Owsiak, przemówił. Stop. Rzekł mianowicie przed żniwami: „Zapraszam także Was, sympatyków Prawa i Sprawiedliwości, abyśmy wszyscy mogli unieść się nad tymi swarami, kłótniami i wszelkiego rodzaju sprzeczkami”. Stop. W sumie mogłoby napisać bardziej w swoim stylu: „Zapraszam Cię, sepsa... itd.”, ale widać chciał się ponościć. Stop.

Prawnik Marcin Matczak, który lubi sobie okrakiem przysiąc na barykadzie, napisał: „Skończmy z dyktatem emocji rozpalonych głów. Niech Giertych z Kaczyńskim załatwiają swoje stare pora-

chunki sami, niech wreszcie ludzie konfliktowi staną się u nas pośmiewiskiem, a nie wzorem do naśladowania”. Stop. Wtedy, ku zdziwieniu wielu, okazało się, że Giertych nie chce być jednak pośmiewiskiem i zażądał zablokowania profesora, replikując w tenże sposób: „Uważam, że p. Matczak, nazywając mnie »pośmiewiskiem« z tego powodu, że chcę rozliczenia PiS, przekroczył wszelkie normy. P. Matczak obraził nie tylko mnie, ale wszystkich, którzy uważają podobnie. Zablokowałem go na X i apeluję do internautów o to samo, póki nas nie przeprosi”. Stop. Mam gorącą prośbę do prof. Matczaka: proszę mnie nie przepraszać. Stop.

Spektakularną ewolucję przechodzi Jacek Siewiera, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Stop. Po wejściu policji do Pałacu Prezydenckiego po Kamińskiego i Wąsika udzielił wywiadu, w którym stwierdził, że procedura zatrzymania posłów była „legalna ze wszystkich stron”. Stop. Potem ktoś musiał mu uświadomić, że według jego szefa, prezydenta Dudy, policja przyszła do Pałacu po ludzi niewinnych i zrobiła to bezprawnie. Stop. Siewiera po namyśle udzielił więc wywiadu, a w nim: „Rozkazy wydane SOP i policji były bezprawne, niemoralne i urągające przyzwoitości”. Stop. Siewiera to trochę taki obecny dualizm prawny w jednym ciele. Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIERONIEWICZ

SPODE ŁBA

Pralki i ćpuny

Niezwyczajne doniesienia zaczynają napływać z ukraińsko-rosyjskiego frontu. Jak informuje czytelników portal gazeta.pl: „Rosjanie mobilizują także narkomanów”.

Potwierdzać to mają zeznania jednego z jeńców rosyjskich. Mężczyzna miał zgłosić się do wojska, aby uniknąć procesu grożącego mu ze strony drogówki za jazdę samochodem bez dokumentów. „Według żołnierza nie wyleczył się on z nałogu i kontynuował zażywanie narkotyków podczas walki w sektorze Zaporozża. Zabierał je ze sobą jako lekarstwo”.

Jeśli wśród werbowanych do armii piratów drogowych ktoś nie był zawczasu narkomanem, to niechybnie stanie się nim na służbie. „Rosyjskie dowództwo dostarcza wojskowym substancje odurzające i psychotropowe [...]”.

W rezultacie personel 108. Pułku Lotnictwa Szturmowego 7. Dywizji Lotnictwa Szturmowego RF systematycznie otrzymuje substancje odurzające i psychotropowe. Narkotyki te prowadzą do euforii i tępią ból. Żołnierze, którzy ich używają, są bardziej skłonni zgodzić się na udział w tzw. napadach bez obawy o obrażenia lub śmierć”.

Gazeta.pl nie wyjaśnia, w jakiego rodzaju „napadach” bierze udział personel pułku lotnictwa szturmowego, jednak jego obawy „o obrażenia lub śmierć” muszą być co najmniej uzasadnione. Jakim cudem tej zbieranie narko-

manów udało się dotychczas ująć z życiem?

Wyjaśnienie tego sekretu także podsuwa nam niezawodna gazeta.pl. „O ewentualnym udziale części zamiennych w rakietach, które spadały w Ukrainie, poinformował minister spraw zagranicznych Ukrainy Dmytro Kułeba. Urzędnik przytoczył dane Jeremak-McFaul Group, według których 44 proc. wszystkich komponentów elektronicznych w rosyjskiej broni zostało opracowanych przez zachodnie firmy. Rosja wykorzystuje pralki, kuchenki mikrofalowe i inne urządzenia gospodarstwa domowego nie do prania i gotowania, ale do wydobywania z nich poszczególnych części w celu zainstalowania ich w swoich pociskach i zabijania Ukraińców”.

Przestawiana przez większość polskich mediów armia rosyjska jawi się więc jako otepiały narkoman z zepsutą kuchenką mikrofalową. Wiele rzeczy Wspólnotie Europejskiej nie wyszło, ale urządzenia gospodarstwa domowego musimy mieć kosmicznej jakości. Z sukcesami stawiają one o kątą przemysł zbrojeniowy wielkiej światowej potęgi. Jeśli w walce pod ukraińskim niebem z jednej strony startują rakiety Storm Shadow, z drugiej zaś przeprogramowane pralki z dorobionymi skrzydłami, to przebieg starcia powinien być dawno rozstrzygnięty. Tymczasem nie jest, o czym milczą skromnie rodzimi producenci AGD. ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Czarny czas

Dziś mamy przyjemność poinformować, że czarny czas dla edukacji, średniowiecze, [...] właśnie się skończyło. Tymi słowami pani minister edukacji Barbara Nowacka zaanonsowała odwołanie przez siebie, w pierwszych godzinach swojego urzędowania, małopolskiej kurator oświaty pani Barbary Nowak. Anons zakończeniowy w wykonaniu pani minister Nowackiej (pomijając skuteczność samej decyzji o odwołaniu) ma tyle wspólnego z rzeczywistością, co wcześniejszy o ponad 30 lat anons zakończeniowy w wykonaniu Joanny Szczepkowskiej („Proszę państwa, 4 czerwca 1989 r. skończył się w Polsce komunizm”).

Kiedyś, w średniowieczu, Kościół potrafił wybić się na niezależność od moźnych tego świata.

Jakże potrzebne jest dzisiaj nowe „Dictatus papae”

Idąc tropem myśli pani minister edukacji, rektorzy uniwersytetów m.in. w Oxfordzie, Cambridge, Heidelbergu, Coimbrze, Padwie, Bolonii, Paryżu, Wiedniu, Salamance, Pradze i... Krakowie powinni ogłosić wszystkim pracownikom kierowanych przez siebie uczelni deklarację informacyjno-ekspiacyjną o treści następującej:

„Proszę państwa, właśnie dowiedziałem się od polskiej minister edukacji pani Barbary Nowackiej, że instytucja, którą kieruję i w której państwo pracują, jest miejscem, które rozpoczęło swoją działalność w mrocznym

czasie dla edukacji, w średniowieczu. Spójrzmy więc odważnie prawdzie w oczy, pracujemy w przeżytkach średniowiecza, od lat zarabiamy krocie dzięki instytucjom, które narodziły się w epoce, gdy normą były piekło kobiet i nietolerancja wobec ludzi LGBT+. Dlatego też inspirując się osiągnięciami polskiego ministra kultury w dziedzinie umacniania dziedzictwa narodowego poprzez działania likwidacyjne, z dniem dzisiejszym stawiam nasz uniwersytet w stan likwidacji. Nie może bowiem być tak, by dyplomy, granty i inne projekty naukowe afiliowane były przy instytucji wywodzącej się z mroków średniowiecza, tego czarnego czasu dla edukacji. W porozumieniu z innymi rektorami uniwersytetów mającymi tę ciemną plamę na swojej historii rozwijamy inicjatywę #me too ashamed of ma [Middle Ages]. Pierwszym moim zadaniem jako likwidatora jest zarządzenie dobrowolnego przyklekania przez wszystkich nauczycieli akademickich i studentów na początku zajęć w hołdzie wszystkim ofiarom tych ciemnych wieków europejskiej edukacji, epoki naznaczonej nietolerancją wobec kobiet oraz wobec osób o odmiennej od heternormatywnej orientacji seksualnej”.

W oczekiwaniu na rozwój akcji #me too ashamed of ma czytamy inne coming outy. Na łamach „GW”, gdzie od lat aż przelewa się od autorytetów moralnych, jeden z obsypanych nagrodami wszelakimi dziennikarzy zdecydował się na ruch wyprzedzający i w obszernym tekście przyznał się, jak to „źle kochał kobiety”. Rousseauizm, czytaj: kabotynizm opakowany jako moralne wzmoczenie, w czystej postaci. Ckliwy obrońca uczucio-

wości, chcący zdejmować ludziom kajdany nałożone im przez cywilizację chrześcijańską (mowa o Rousseau, nie o redaktorze z „GW”), w swoich „Wyznaniach” bez większej żenady opisywał, jak to oddawał swoje kolejne dzieci do sierocińca, przełamując opór ich matki. Jak tłumaczył miłośnik ludzkości i wyznawca religii naturalnej głoszącej, że człowiek bez trudu zawsze będzie dobry: „Wiem dobrze, że żaden ojciec nie jest bardziej czuły, niż ja mógłbym być wobec moich dzieci, gdyby tylko przyzwyczajenie choć trochę pomogło naturze”, a „serce ojca nie mogłoby nigdy wystarczająco mocno przemawiać za dziećmi, których on nigdy nie widział”.

Autor „Umowy społecznej” niebotycznie wysoko ustawił poprzeczkę wszystkim biorącym poprzez wieki udział w konkurencji pt. kabotynizm stosowany. Jest trudno, ale ludzie nie ustają w próbach pokonania tej poprzeczki. O redaktorze „GW”, tak troskającym się o prawa kobiet w „Samoobronie” i o los wszystkich Polek, gdy tylko Konfederacja dojdzie do władzy – była mowa. A cóż powiedzieć o papieżu Franciszku i szefie jego ważnej dykansterii (jak mawiają o godz. 19.30 w TVP) nauki wiary tłumaczących, że spełnianie kolejnych postulatów niemieckiej „drogi synodalnej” nie jest w żaden sposób sprzeczne z odwieczną nauką Kościoła.

Kiedyś, w średniowieczu, Kościół potrafił wybić się na niezależność od moźnych tego świata. Jakże potrzebne jest dzisiaj nowe „Dictatus papae” – odpowiednik tego, które w 1075 r. zainaugurowało ostatni, najbardziej dramatyczny etap odnowy Kościoła in capita et in membra. ©©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Czy w Polsce jest jakiś polityk, którego da się lubić? Tak zwyczajnie – po domowemu. Dawno temu Kuroń był lubiany, mimo że marksista. Teraz kto? Jakubiak? (W tym przypadku to być może tylko moje wrażenie). Reszty się nie lubi. Można ich popierać lub podziwiać, doceniać i uważać, że są skuteczni, ale się ich nie lubi. Polityk w Polsce nie jest do lubienia, tylko do nielubienia.

W USA mają miernik „lubialności” kandydata (most likeable) i sprawdzają to często. Popularność programu wyborczego z podziałem na popularność poszczególnych elementów tego programu to jedno, a „lubialność” to rzecz odrębna, która potrafi w pewnych sytuacjach zakryć słaby program lub inne braki kandydata. Bill Clinton był lubiany, choć jednocześnie okropny. Obama podobnie. A w Polsce? Czy jest jakiś polityk, którego zaprosiłbyś do domu z powodu tego, że to fajny gość i go lubisz?

W słownikach słowo „likeable” tłumaczone jest na „sympatyczny” – to byłaby prawda dla tekstów literackich, ale gdy rozmawiamy o kampanii wyborczej w USA, „likeable” to miernik tego, ile osób lubi danego kandydata, tak jak lubi się jednego wujka, mimo że ma idiotyczne poglądy polityczne, a drugiego wujka się nie lubi, mimo że ma poglądy w porządku.

W USA pytanie o to, czy polityk jest sympatyczny, to OSOBNE pytanie sondażowe. Trump sympatyczny jest niekoniecznie, niezbyt często, nie zawsze, ale go ludzie lubią. Nawet Hillary Clinton



FOT. W. CEJROWSKI / LUDJANOSAW / SHUTTERSTOCK

to mówiła wiele razy, że lubi Donalda Trumpa, choć ten jest, w jej mniemaniu, zadufanym w siebie bufonem, dyktatorem, hitlerem i tak dalej.

Szef każdej kampanii wyborczej zwraca uwagę na mierzalne parametry popularności swojego kandydata: rozpoznawalność, czyli sława – ile osób wie, kto to Pan X (np. Trump).

Popularność, czyli ile osób ma o polityku X pozytywną opinię, i tu można mieć opinię pozytywną, bo sprawny, mądry i skuteczny, ale nadal go nie lubić (miałem takiego nauczyciela matematyki).

Mierzy się też popularność poszczególnych elementów programu wyborczego – w tej chwili dla Amerykanów najważniejsza jest ich osobista sytuacja ekonomiczna (za Trumpa miałem dużo forsy i niskie ceny, za Bidena jest do dupy); na drugim miejscu jest sytuacja na południowej granicy (za Trumpa budowali mur, a gdy się ktoś przedał, to go odsyłali furgonetką z powrotem do Meksyku – za Bidena przez granicę przeszło nielegalnie 10 mln ludzi i nie wiemy, kto to taki ani gdzie teraz jest); trzecim punktem programu wyborczego, na który zwracają uwagę Amerykanie, jest sytuacja międzynarodowa (za Trumpa nie wybuchła żadna nowa wojna, kilka wygasło i się nas bali, a teraz... wszędzie wojny i nikt się już nie boi Ameryki).

Tydzień temu odbyły się w USA pierwsze prawyby

(w stanie Iowa), teraz odbywają się kolejne w stanie New Hampshire, a na początku marca będzie kulminacja w Superwtorek, gdy prawyby odbywają się w największej liczbie stanów naraz i jednego dnia można zgarnąć jedną trzecią wszystkich głosów potrzebnych do uzyskania nominacji. Latem odbędzie się Konwencja Partii Republikańskiej, na której republikanie oficjalnie ogłoszą swojego kandydata.

Wybory organizuje się w USA we wtorki. Gdyby ktoś zaproponował wybory w niedzielę, tak jak w Polsce, wówczas spotkałby się z atakiem ze wszystkich stron. Zaprotestowaliby np. chrześcijanie (katolicy, protestanci, mormoni...). Wybory sobotnie też odpadają, bo żydzi. Piątek odpada, bo mużułmanie. Ogólnie pomysł wyborów w dzień wolny od pracy Amerykanie oceniają jako odbieranie im praw wyborczych, bo dzień wolny od pracy jest dla rodziny, a nie dla państwa, czyli przeznaczony na pikniki i wyjazdy, sprawy domowe, religijne, a do wyborów się jedzie w normalny dzień pracy, przy okazji i po drodze.

W stanie Iowa Trump zgarnął wszystko i pobił wiele rekordów. To były najniższe wybory w historii, a mimo kosztownego mrozu ludzie przyszli na niego głosować. Jego przewaga nad pozostałymi kandydatami była największa w historii – Trump wziął ponad 50 proc. głosów, a dwóch kolejnych kandydatów – po ok. 20 proc. Ponad

30 punktów procentowych przewagi nad konkurentami to rekord. A do tego Trump wygrał we wszystkich hrabstwach (po naszymu: powiaty).

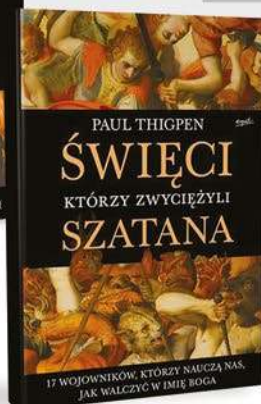
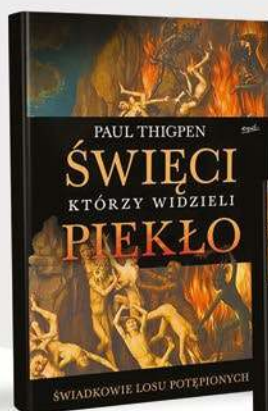
W TV oglądałem przeróżnych specjalistów i ekspertów komentujących ten fenomen. Byli zadziwieni, a niektórzy zszokowani, jak to w ogóle możliwe, że facet, który kandyduje po raz trzeci i ma na głowie kilka procesów kryminalnych, nadal wygrywa. Jak to możliwe, że miliarder wygrywa głosami klasy robotniczej? Jak to możliwe, że na tego okropnego białasa głosują Murzyni, Hindusi, Latynosi? I jak to możliwe, że zaczęli na niego głosować ludzie wysoko wykształceni, czyli ci, którzy poprzednio brzydzili się Trumpem? Jak to możliwe, że Trump zgarnął tylu ludzi niezdecydowanych (ani republikanie, ani demokraci – wyborca niezależny)? Co się tym ludziom stało? I jak to możliwe, że na Trumpa głosuje coraz więcej demokratów? Na sam koniec wieczoru zadano te wszystkie pytania redaktorowi lokalnej gazety w Iowa i on odpowiedział krótko: Ludzie po prostu bardzo lubią Trumpa.

„Lubialność” – Trump wygrywa w tej kategorii zdecydowanie, co jest dziwne, bo jednocześnie przeciwko rodaje kopniaki, ksywki, uszczypliwości, bywa wredny wobec przeciwnika, a jednak ludzie go lubią. Chodzi chyba o to, że z daleka widać, że jest prawdziwy, szczery, naturalny – gdy się wścieknie, to tak jak każdy z nas czasami. I nie próbuje tego ukrywać. Inni politycy mówią do kamery, że ktoś się „mija z prawdą” – Trump wali prosto z mostu „kłamczuch”. Ludzie to lubią, bo nikt normalny w domu nie powie „mijasz się z prawdą”, tylko zwyczajnie „nie kłam”. ©

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE
KSIĄŻKI

PAUL THIGPEN:
„ŚWIĘCI, KTÓRZY WIDZIELI PIEKŁO”,
„ŚWIĘCI, KTÓRZY ZWYCIĘŻYLI SZATANA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

405,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 487 zł

~~892 zł~~

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 3ec08d0516

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH

KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

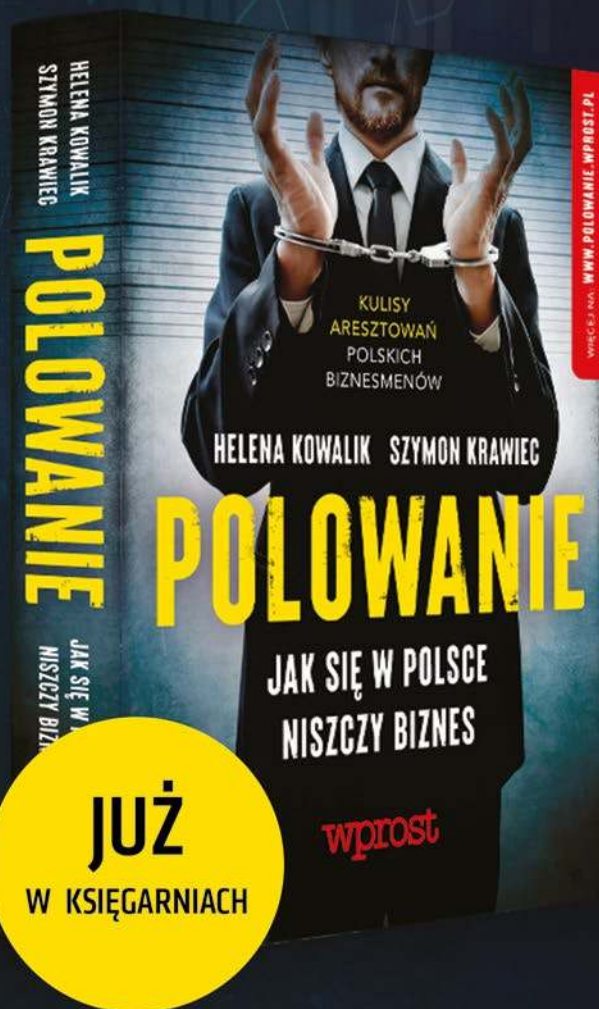
ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI
Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI
DZIENNIKARZE ŚLED CZY

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.



Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL



Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt
+48 539 953 631, +48 508 040 664

PARTNERZY:



Polska
Rada
Biznesu



ZPP
Związek Pracodawców
Pracodawców



WEI
Wieloletni Ekspert
Instytutu



Fundacja
Court Watch Polska



FUNDACJA
POMYŚL
O PRZYSZŁOŚCI

Comparic.pl



MY
COMPANY



Stowarzyszenia
Biznesowe

BRIEF